

morze i ziemia

P4 III 01262







morze i ziemia

ALMANACH
SPOŁECZNO-KULTURALNY
kwiecień 1980 r.

Zamek Książąt Pomorskich
ul. Korsarzy
70-540 Szczecin

Pr III
1262

REDAKCJA:

Ryszard Dżaman
Janusz Janowski (Red. graficzny)
Jerzy Jurczyk
Zbigniew Kosiorowski (Red. naczelny)
Marian Kowalski (Sekretarz)
Kazimierz Kozłowski
Stefan Pleśniarowicz (Fotoreporter)
Wojciech Termanowski (Fotoreporter)
Lidia Wójcik (Red. techniczny)

RADA PROGRAMOWA:

Janusz Bukowski
Henryk Chmielowski
Bogdan Dopierała
Eugeniusz Daszkowski
Michał Hempoliński (Przewodniczący rady)
Jerzy Pachlowski
Walerian Pawłowski
Guido Reck
Jerzy Piskorz-Nałęcki
Romuald Sawicki
Aleksander Winnicki

WYDAWCA:

Szczecińskie Towarzystwo Kultury
Zamek Książąt Pomorskich
Cena zł 20,—

S.Z.Graf. Zam. nr 309/I/A, 3000+25, U-5/32

Na okładce:

Fot. W. Termanowski (strona 1)
Prace z konkursu „Rodzina Szczecińska” (strona 2 i 3)

Egz. obow. 1116/80

W NUMERZE:

<i>Szczecin — rok 1945</i>	1
FELIKS WIDY-WIRSKI, <i>Ze wspomnień jeńca</i>	5
EDMUND BĄCZYK, <i>Wiosna w plecaku</i>	8
JADWIGA NAJDOWA, <i>Marian Tomaszewski w Szczecinie (1945—1950)</i>	12
JERZY JURCZYK, <i>Guido Reck</i>	13
STANISŁAW TELEGA, <i>Stanisława Marii Salińskiego przedziwny „życiorys szczeciński”, cz. I. Od Władystoku do Szczecina</i>	16
JACEK DĄBROWSKI, <i>Poezja Heleny Raszki — próba opisu</i>	19
HELENA RASZKA, <i>Wiersze</i>	20
HELENA RASZKA, <i>Pojedyncza i mnoga</i>	22
TADEUSZ GRABOWSKI, <i>Decyzje świadomego wyboru</i>	23
ANNA KRAJEWSKA, <i>Seweryn Koczorowski</i>	26
ALICJA MACIEJOWSKA, <i>Kwiaty z gryzlińskich pól</i>	28
KAZIMIERZ KOZŁOWSKI, <i>Narodziny środowisk artystycznych Szczecina (1945—1948)</i>	33
ANNA STANKIEWICZ, <i>O ideę najwyższą teatru</i>	36
STANISŁAW WIT WILIŃSKI, <i>Samotny w słońcu</i>	38
ALFRED WIELOPOLSKI, <i>Pomorze w wojnie francusko-pruskiej 1806—1807</i>	39
ANTONI CZUBIŃSKI, <i>Miejsce Polski w hitlerowskich planach ekspansji i podbojów w latach 1938—1945, część II</i>	42
STANISŁAW ZAJĄCZEK, <i>Wiersze</i>	45
ZBIGNIEW KOSIOROWSKI, <i>Stracone pokolenie</i>	46
ZBIGNIEW BRZOSOWSKI, <i>Strzygoń</i>	49
SZYMON KACZMAREK, ROMAN GRYGIAS, <i>Wiersze</i>	51
ARTUR DANIEL LISKOWACKI, <i>Między morzem i ziemią, cz. II</i>	52
ANDRZEJ ANDROCHOWICZ, <i>Baranowski, Baranowski... A! To żeglarz nasz kochany!</i>	54
BOLESŁAW FAC, <i>Spotkania w Skanii</i>	58
HENRYK GURGUL, <i>Pływy — oddech morza</i>	60
KRZYSZTOF JAWORSKI, <i>Co dalej z Trzebieżą?</i>	62
<i>Kronika</i>	62-63
<i>Z pamiętników pionierów</i>	64

Moskwa, 17 marca 1945 r. (Polpress)

„Radzieckie Biuro Informacyjne donosi, że zeznania jeńców niemieckich świadczą o rozkładzie, jaki toczy armię niemiecką. Żołnierze rozbitych oddziałów nie zgłaszają się do punktów zbiorczych.

W Gdańsku powieszono na rynku 28 żołnierzy skazanych na śmierć za samowolne opuszczenie szeregów. W Piławie odbywają się prawie codziennie egzekucje. Żołnierz niemiecki, Tadeusz Popowski, narodowości polskiej, przymusowo zmobilizowany do wojska przeszedł na stronę Armii Czerwonej. Opowiedział on, że w Szczecinie żandarmeria i policja są ogromnie zaabsorbowane wyłapywaniem dezertów”.

**„RZECZPOSPOLITA”
Niedziela, 18 marca 1945 r.**

„Droga do Bałtyku” — korespondencja Kazimierza Szeli z frontu.

„Bierzemy wielu jeńców niemieckich. Są zdemoralizowani i ogłupiali druzgocącą klęską. Na każdym kroku zapewniają, że „Hitler kaput”. Wiemy to i bez nich. Zgarniamy całe kolumny cywilnych uciekinierów wraz z ich wyładowanymi dobytkiem furami. Na widok nas podnoszą ręce do góry i od razu ubierają na ramiona białe opaski, zawczasu przygotowane. Rozkazy nasze wykonują gorliwie i niemal uprzedzają je. Nie ma mowy o jakimkolwiek oporze. Z narodu panów stali się od razu spodlonym narodem niewolników. Ktoś, kto ich widział, nie uwierzy nigdy w możliwość prowadzenia przez Niemców partyzantki po pobiciu ich armii w polu”.

**„GŁOS WIELKOPOLSKI”
Poniedziałek, 19 marca 1945 r.**

Komentarz redakcyjny do Komunikatu Radzieckiego Biura Informacyjnego.

„W kierunku na Szczecin jednostki Armii Czerwonej w dalszym ciągu toczyły walki na wschodnim brzegu Odry. Niemcy skoncentrowali na przyczółku ogromne siły artylerii, między innymi ciężkie działa przeciwlotnicze. Silnym ogniem i kontratakami hitlerowcy starają się utrzymać swoje pozycje. Nacierające z północy wojska radzieckie zajęły kilka miejscowości położonych na wschodnim wybrzeżu jeziora Damscher See. Niemcy zostali wyparci z osiedla Wilhelmsstelde (o 7 km na północny wschód od miasta Altdamm)”.

Moskwa, 23 marca 1945 r. (TASS)

„Walki w Prusach Wschodnich i na Pomorzu toczą się obecnie w warunkach wiosennej odwilży. Rzeki i strumienie stają się poważną przeszkodą. (...) Niemcy ze szczególnym uporem bronili się w rejonie Altdamm, ponieważ niemieckie dowództwo chciało za wszelką cenę utrzymać choćby mały przyczółek mostowy na wschodnim brzegu Odry. Z zajęciem Altdamm'u wschodni brzeg Odry został oczyszczony od hitlerowców na kilkaset kilometrów”.

**„RZECZPOSPOLITA”
Poniedziałek, 26 marca 1945 r.**

„Nad Odrą” — korespondencja majora Czarnoty.

„Cały świat słyszy kanonadę tysięcy polskich armat i haubic nad Odrą. Nacieramy na Berlin, my ostrzeliwuje-



SZCZECIN -ROK 1945

Fot. archiwum



my Szczecin. Jedną mamy myśl, jeden cel, zgnieść hitlerowskiego gada, wybić ryżym „frycom” z głowy teorie o wyższości ras. Czyni to żołnierz braterskiej Armii Czerwonej, czyni to żołnierz Wojska Polskiego. Nasi chłopcy palą się do walki. Wiedzą, że droga do Polski Niepodległej, Silnej, Demokratycznej prowadzi przez Szczecin. Słychać komendę z punktu obserwacyjnego: dodać w prawo 0-05, celownik +2. Ognia! Polska artyleria atakuje Szczecin!”.

„GŁOS WIELKOPOLSKI” Czwartek, 5 kwietnia 1945 r.

„Z dniem 4 bm. rozpoczynają w Poznaniu pracę organizacyjną delegatury Biura Planowania i Odbudowy przy Prezydium Rady Ministrów na rejon Śląska Dolnego (Wrocław, Głogów) oraz rejon Pomorza Zachodniego (Szczecin, Kołobrzeg, Piła). Inżynierowie, architekci i technicy budowlani, którzy by chcieli podjąć się pracy na wymienionych rejonach, zechcą zgłosić się w możliwie krótkim czasie celem zarejestrowania”.

„RZECZPOSPOLITA” Piątek, 20 kwietnia 1945 r.

„Przy organizującej się Szkole Wyższej Służby Publicznej dla Ziem Odzyskanych, zostaje uruchomiony w Łodzi Kurs Ogólny wiedzy o ziemiach odzyskanych (zachodnich i północnych), który odbędzie się w czasie od dnia 23 do 30 bm. Kurs ten obejmie wiadomości z prehistorii, historii, stosunków gospodarczych, samorządu, spraw likwidacyjnych, szkolnych itd. tych terenów. (...) Osoby mające zamiar wyjechać na tereny zachodnie i północne, wzywa się do masowego udziału w kursie”.

Komunikat Radzieckiego Biura Informacyjnego 26 kwietnia 1945 r.

„Wojska Drugiego Frontu Białoruskiego sforsowały wschodnią i zachodnią Odrę na południe od Szczecina, przerwały silnie umocnioną obronę Niemców na zachodnim brzegu Odry i posunęły się o 30 km naprzód. W toku walk wojska frontu zdobyły główne miasto Pomorza i wielki port morski — Szczecin oraz zajęły miasta Hartz, Penkun, Kazekow, Blumberg i sforsowały Kanał Randow”.

„WSPOMNIENIA WOJEWODY” (1945—1947) Feliks Widy-Wirski (maszynopis)

„Szczecin został zdobyty w dniu 26 kwietnia. W dwa dni później pojawił się u mnie oficer i wręczył mi depezę skierowaną Hughesem na moje nazwisko: »Wirskomu Szczecin pusty, miasto się pali, przyślij zaraz straź pożarną i milicję«. Podpisał Fiedotow, komendant wojenny. Z miejsca, przez tego samego oficera odelegrafowałem: »Fiedotowu, wszystko przyślemy, czy władzę dasz«. Nie minęły dwie godziny, gdy ten sam oficer przyniósł depezę: »Wirskomu, władzę cywilną sztacką oddam, przyjeżdżajcie. Fiedotow.«

W dzień później, 28 albo 30 kwietnia przybył do nas kapitan Witkor Jaśkiewicz, wysłannik i zastępca pułkownika Leonarda Borkowicza, mianowanego Pełnomocnikiem Rządu na obszar Pomorza Zachodniego z tymczasową siedzibą w Pile. Kapitan Jaśkiewicz powtórzył prośbę komendanta wojennego; zakomunikował przy tym, że inż. Piotr Zaremba z ekipą dotarł już do Szczecina celem zorganizowania i objęcia Zarządu Miasta.

W Poznaniu zareagowaliśmy szybko i sprawnie na szczecińskie apele”.

„RZECZPOSPOLITA” Sobota, 28 kwietnia 1945 r.

„Pomorzanie Zachodnie znowu polskie!”

„W dniu 26 bm. odbyła się w Łodzi konferencja prasowa, w ramach której pełnomocnik rządu ds. Pomorza Zachodniego ppłk Borkowicz, omówił sytuację ogólną naszego III okręgu administracyjnego oraz zapoznał przedstawicieli prasy z szeregiem zagadnień, jakie w związku z rewindykacją Ziem Zachodnich stoją przed polskimi władzami administracyjnymi i polskim społeczeństwem”.

„WSPOMNIENIA WOJEWODY”

„W czwartek, dnia 3 maja wyruszają do Szczecina pierwsze ekipy, samochody i pociąg, straź pożarna i milicja. Dzisiaj nie bez wzruszenia oglądam fotografię, na której zegnam na placu Wolności nasze, odjeżdżające ekipy pod kierownictwem kapitana Jaśkiewicza i redaktora Brzóska. Inżynier Zaremba nazywa ten wyjazd »rajdem poznańskim na Szczecin«. Oddaję mu pióro, niech sam opowie. Prezydent Zaremba pisze (»Polska flaga w Szczecinie«):

Gdy kpt. Jaśkiewicz odjeżdżał 29 kwietnia z Piły do Poznania, obiecał mi, że w ciągu kilku dni zostanie zorganizowana pomoc dla Szczecina. I dotrzymał słowa. Dzięki energii wojewody poznańskiego zostały w ciągu nocy za wiadomione wszystkie powiaty województwa, że mają bezwzględnie dostarczyć przed Urząd Wojewódzki w Poznaniu po jednym samochodzie ciężarowym — bez prawa regresu lub protestu. Niezwykłą żywotność okazał Poznań”.

„WOLNOŚĆ”. Piątek, 4 maja 1945 r.

Historyczne Zwycięstwo! Berlin Padł! Uroczystości trzeciomajowe w Poznaniu. Radość z powodu upadku Berlina. Wyruszenie 1000 pionierów do Szczecina.

„Drugim faktem, nadającym charakter uroczystości trzeciomajowej, było wyruszenie pierwszej grupy — tysiąca obywateli, pionierów do Szczecina, celem organizowania administracji państwowej i zanieśienia polskości na wyzwolone stare ziemie piastowskie. Do zebranych przemówił przedstawiciel Wojska Polskiego: Wasza pionierska praca jest ciężka. Kładźcie podwaliny pod budowę demokratycznej Polski na terenach objętych duchem Krzyżaków. Nasze serca są z wami”.

„WSPOMNIENIA WOJEWODY”

„Właśnie, gdy piszę te wspomnienia, leży przede mną kartka pocztowa z datownikiem — »Szczecin, 05. 5. 1945 r.« z napisem »Pierwsza Poczta Polska w Szczecinie« i z herbami Szczecina i Poznania, zaadresowana na moje nazwisko i adres prywatny w Poznaniu.

Ekipa poznańska — pisze autor »Flagi Polskiej w Szczecinie« — nie przybyła nie przygotowana do Szczecina. Przywiozła ze sobą samochód ciężarowy wypełniony chlebem oraz drugi samochód z mięsem, tłuszczem i innymi produktami. Żywność ta została przewieziona do nowego ratusza pod opiekę improwizowanego naczelnika Wydziału Aprowizacji, Leopolda Glucka. Późniejszy dyrektor Departamentu Koordynacji Ministerstwa Ziem Odzyskanych rządził wówczas wszechwładnie przez 5 dni żywnością, stolówkami, piekarniami i rzeźnikami w Szczecinie.

Tyle inż. Zaremba. Szkoda jednak, że zapomniał dodać, iż do transportu zaopatrzeniowego polecił dołączyć samochód załadowany produkcją szamotulskiej fabryki wódek gatunkowych. Oczywiście była to ówczesna forma zwiększenia środków obrotowych ekipy”.

„WOLNOŚĆ”. Środa, 9 maja 1945 r.

„Zwycięstwo!

Niemcy skapitulowały!

Podpisanie Aktu o bezwarunkowej kapitulacji niemieckich sił zbrojnych”.

„WSPOMNIENIA WOJEWODY”

„W Poznaniu pojawił się u mnie ten sam, co poprzednio oficer z depeszą od pułkownika Fiedotowa: »Wirskomu, czy miałeś decyzję swoich władz do objęcia Szczecina«. Nieco zdziwiony, odelegrafowałem: »Nie miałem, myślałem, że ty miałeś«. I ponownie: »Wirskomu, my przesolili. Muszę oddać Szczecin Niemcom. Co robić? Fiedotow«. Odelegrafowałem »Fiedotowu, zrób komitet autochtonów, w Szczecinie są Polacy«. Skojarzyłem natychmiast tę niezwykłą sytuację z usłyszczanym przez radio komunikatem o interpellacji w Izbie Gmin na temat polskiego »zamachu stanu« w Szczecinie; uzgodnienia bowiem w Jałcie przewidywały granicę po wschodniej stronie Odry. W każdym razie Pełnomocnik Rządu otrzymał polecenie od Ministra Administracji Publicznej opuszczenia Szczecina”.

Alianci za wszelką cenę chcieli zatrzymać Szczecin dla siebie. Churchill nie ukrywał tego; wręcz się domagał, by port szczeciński pełnił funkcje bazy wojennej alianckiej floty. Stąd polityczne rozgrywki, i w efekcie decyzja opuszczenia Szczecina przez polskie władze. Decyzję tę przywiózł do Szczecina wojewoda Leonard Borkowicz rankiem, w środę 16 maja 1945 r. W kilkanaście godzin później Polacy opuszczają miasto.

9 czerwca powraca do Szczecina Zarząd Miejski. Władze polskie po raz drugi obejmują Szczecin. Tym razem na 10 dni.

Urząd Pełnomocnika Rządu w Koszalinie. 17 czerwca 1945 r. Obecni: wojewoda Leonard Borkowicz i Piotr Zaremba. Być może, rozmowa, która się wówczas pomiędzy nimi odbyła, miała taki przebieg:

Borkowicz: — Proszę, niech pan siada.

Zaremba: — Wyjeżdżaliśmy rano, mogłem więc obejrzeć miasto. Zdaje się, że i oni będą tę wojnę długo pamiętać...

B: — Z kim pan w Berlinie rozmawiał, z Żukowem?

Z: — Z jego zastępcą, generałem Tieleginem. Tak, jak ustaliliśmy, przedstawiłem naszą sytuację, z tym, że nie wszystko musiałem mówić. Rosjanie dość dobrze znają szczecińskie problemy.

B: — Pewnie Fiedotow informował. A Tielegin, jakie ma obecnie kompetencje?

Z: — Jest członkiem Rady Wojennej wojsk okupacyjnych. Powiedział, że mamy ich pełne poparcie i że obecnie odbywają się, zainicjowane przez stronę rosyjską konsultacje, mające wyjaśnić naszą sytuację. Twierdził, że to kwestia kilku tygodni.

B: — Albo miesięcy.

Z: — Panie pułkowniku, rozmowa w Berlinie przekonała mnie, że obecny nasz powrót do Szczecina jest już ostateczny. Alianci w końcu muszą uznać nasze prawa.

B: — Daj Boże. A, co w Szczecinie?

Z: — Coraz większe kłopoty z Niemcami. Z komunistami niby się dogadaliśmy, ale to takie dogadywanie... Czują się jak u siebie, wszędzie ich pełno i coraz więcej. Ci, którzy uprzednio uciekli z miasta, teraz wracają.

Domyśla się więc pan, jak reagują na to moi ludzie.

B: — Musimy okazywać spokój. Musimy czekać, aż... (pukanie do drzwi)

B: — Wejść! Co tam?

Oficer: — Panie pułkowniku, „iskrówka” z Warszawy.

B: — Dajcie no... (czyta) Cholera! Znow protest Aliantów, że Polska po raz drugi wprowadziła do Szczecina władze państwowe. Jakie władze państwowe? Przecież ja jestem tutaj... To był jednak błąd umieszczać Zarząd Miejski w gmachu na Wałach Chrobrego.

Z: — Błąd? Miejsce jak każde inne tyle, że nie spalone.

B: — Dla Niemców gmach dawnej Regencji jest nadal symbolem władzy państwowej. Pewnie donieśli, sukinyśny, że do Szczecina, wbrew decyzji sojuszników, przybyły nasze władze.

Z: — Jakie to dla nich może mieć znaczenie kto tam jest?

B: — Wystarczająco duże, skoro w oparciu o ten niby fakt Alianci protestują i teraz Warszawa daje nam kategorię rozkaz wycofania ze Szczecina władz miejsko-państwowych.

Z: — Wycofania? Po raz drugi...

B: — Natychmiast!

Z: — Panie pułkowniku, a nie da się tego obejść tak, by wilk był syty...

B: — Tym wilkiem to niby kto ma być? Cholera! Jasne, że nie będziemy im ułatwiać życia i nie uciekniemy ze Szczecina. Pan jednak, jako prezydent, musi się wycofać razem ze wszystkimi mundurowymi.

Z: — No to i z pocztą.

B: — Ale zostawimy Państwowy Urząd Repatriacyjny.

Z: — Co robić z pracownikami Zarządu Miejskiego?

B: — Niech zostaną, ale wydziały trzeba zamienić na referaty, a nazwę Zarządu na coś innego... Może na Komitet Pomocy Polakom. Ktoś tam musi zostać i załatwiać sprawy osadników.

Z: — Jamroży?

B: — Tak. I proszę mu powiedzieć o swoich rozmowach w Berlinie. Niech wie, że wkrótce wrócimy i że to nasze drugie wycofanie ze Szczecina to tylko chwilowa zmiana szyldu. Skoro Rokossowski, Żukow, a teraz Tielegin mówią, że Szczecin będzie polski, to chyba wrócimy...

Fot. W. Termanowski, FRANCISZEK JAMROŻY — pierwszy wiceprezydent miasta Szczecina



„WSPOMNIENIA WOJEWODY”

„W dniu 3 lipca inż. Zaremba otrzymał oficjalną wiadomość o przekazaniu Szczecina polskiej administracji. »Dnia 5 lipca — notuje inż. Zaremba — odbyła się uroczystość przejścia władzy w mieście«.

Historyk, Włodzimierz Kowalski w »Polityce« (nr 29 z dnia 17 lipca 1965 r.) w relacji z przebiegu obrad w Poczdamie odnotował: w zakończeniu dyskusji Truman stwierdzając zgodność stanowisk w sprawie granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej oświadczył, że w ten sposób sprawa polska została rozwiązana. Stalin wtrącił wówczas, »Szczecin należy do Polski«. Bevin powiedział »tak«, a Truman wywołał »następną sprawę«.

W ten sposób problem Szczecina, ukształtowany wysiłkiem wielkopolskiej aktywności osadniczej został definitywnie przesądzony”.

Do Pełnomocnika Rządu na okręg Pomorze Zachodnie w Koszalinie. 17 lipca 1945 r.

„Napływ osadników do Szczecina wciąż się powiększa. Powołuję do życia Komitet Osiedleńczy. (...)»

W Szczecinie stawia pierwsze kroki publiczny handel. Jest już kilka restauracji, sklepów żywnościowych, czynny jest browar i fabryka wód mineralnych, za parę dni otworzy się pierwszy hotel. (...)»

W tej chwili jestem w możliwości pokryć zapotrzebowanie miasta na prąd. Za tydzień uzyskają wodę również i dzielnice wyżej położone. Na 1 sierpnia przewiduję uruchomienie linii tramwajowych. (...)»

Podczas swego wczorajszego pobytu w Berlinie skontaktowałem się ponownie z przewodniczącym Komitetu Polaków ob. Lemańczykiem, któremu wręczyłem w imieniu miasta Szczecina kwotę 60 000 marek niemieckich (stary) i jako subwencję miasta na koszty związane z organizacją repatriacji Polaków berlińskich do Szczecina.”

Prezydent m. Szczecina inż. P.

Do Ministerstwa Administracji Publicznej w Warszawie

Sprawozdanie sytuacyjne Pełnomocnika Rządu R. P. na Okręg Pomorze Zachodnie za 1945 rok (czerwiec—grudzień):

„LIPIEC. Gminy zbiorowe i sołectwa zorganizowane prawie we wszystkich obwodach. Przy organizacji gmin i sołectw napotymano na dość duże trudności personalne. Teren okręgu jest silnie wyludniony. Ogółem na terenie okręgu znajduje się w chwili obecnej około 200.000 Polaków, tu zaznaczyć należy, że stosunek liczbowy Niemców do Polaków wyraża się cyfrą: jeden Polak na pięciu Niemców.

Potrzeby transportowe są b. duże. Obecny tabor jest w stanie pokryć zapotrzebowanie zaledwie w 1/4 części. A przed władzami stoi akcja osiedleńcza i żniwna. Paliwo jest uzupełniane tylko doraźnie. Otrzymaliśmy ostatnio jedną cysternę, z której benzyna została skradziona. Z przydzielonych na maj i czerwiec — nic nie otrzymaliśmy.

SIERPIEŃ. Zbiory są liche i dają przeciętnie po 6 do 7 kwintali z hektara. Ludność polska w akcji żniwnej wykazała nadzwyczajną ofiarność i poświęcenie.

Głównym źródłem niebezpieczeństwa zagrażającego życiu i mieniu osadników polskich, są w dalszym ciągu maru-

derzy, a poza tym istnieją na terenie niektórych obwodów drobne grupki byłych żołnierzy niemieckich, zwolnionych przez władze radzieckie z obozów jeńców. Istnieją również szajki koniokradów, rabujące konie i bydło, i wywożące je w głąb kraju w chęci zysku.

WRZESIEŃ. W związku z usuwaniem śladów niemieczyny i przywracaniem Pomorza Zachodniemu czysto polskiego charakteru, stoi sprawa spolszczenia nazw miejscowości. Sprawa ta jednak dotychczas tylko w części została załatwiona i to w odniesieniu do większych miast i miasteczek. W dniach od 1 do 14 września br. w Szczecinie odbył się zjazd onomastyczny, mający za zadanie opracowanie dyrektyw, według których mają być przywrócone, względnie nadawane polskie nazwy miejscowościom Pomorza Zachodniego.

Ponieważ granica zachodnia Pomorza Zachodniego jest jednocześnie faktyczną granicą Rzeczypospolitej, przeto ważną było rzeczą ustalenie dokładnie jej biegu szczególnie na odcinku od wybrzeża morskiego pod Świnoujściem do Gryfina za Odrą. Na podstawie danych komisji polsko-radzieckiej z dnia 24 września 1945 r., istniejącej w moim urzędzie wydział pomiarów sporządził dokładny opis tej granicy oraz mapę obszaru, przez który omawiany odcinek przechodzi. Obecnie granica państwa przebiega w odległości ok. 9 kilometrów na zachód od Szczecina. Odnośną umowę polsko-radziecką w imieniu Rzeczypospolitej podpisałem ja wspólnie z prezydentem m. Szczecina inż. Zarembą, a w imieniu władz radzieckich — gren. lejtnant Chabarow.

PAŹDZIERNIK. W życiu kulturalnym okręgu daje się odczuwać brak stałego teatru stojącego na odpowiednim poziomie. Dotychczas nie udało się zorganizować polskiej placówki, mimo iż warunki po temu istnieją. Szkolnictwo pod względem organizacji wykazuje również jeszcze duże braki, głównie z powodu niedostatecznej ilości sił nauczycielskich”.

Leonard Borkowicz

III Zjazd Pełnomocników Obwodowych Okręgu Pomorze Zachodnie w Koszalinie w dniu 1 grudnia 1945 r.

W Zjeździe brał udział delegat Rządu do spraw Wybrzeża — minister Eugeniusz Kwiatkowski:

„Dynamika i życie jest też w Szczecinie — jest to najjaśniejszy promień naszych obrad. Odpowiednie ustawienie Rządu, odpowiednie świadczenia są tam, gdzie są ludzie dynamiczni, walczący o dobro publiczne. Znajdzie się dla Szczecina specjalny kredyt i Szczecin będzie polski. Polska z nowymi granicami na wschodzie nie może się obejść bez granic na Niszie i Odrze. Dwa okręgi są najważniejsze: cały Śląsk i całe Pomorze. Na tych terenach dokona się rekonstrukcja gospodarcza. To są te dwa okręgi, które stanowią o tempie życia w Polsce.

Koło każdego z was stoi historia. Jeżeli wydobędziecie wysiłek, ambicje i szukać będziecie nowych rozwiązań, jeżeli pokonamy wszelkie trudności, to dokonamy naprawę wielkiego dzieła”.

(Na podstawie materiałów archiwalnych udostępnionych przez Wojewódzkie Archiwum Państwowe w Szczecinie, reminiscencji Feliksa Widy-Wirskiego („WSPOMNIENIA WOJEWODY” — maszynopis dla Archiwum KC PZPR i Bibliotek Zasobów Pamięci), gazet: „RZECZPOSPOLITA”, „WOLNOŚĆ” i „GŁOS WIELKOPOLSKI”, a także komunikatów Radzieckiego Biura Informacyjnego — opracował Zbigniew Koczerga).

FELIKS WIDY-WIRSKI

Na morzu

Los statku „Estonia” i jego pasażerów przedstawił nad wyraz plastycznie Jerzy Pertek na podstawie relacji współtowarzysza naszej odysei Marka Koreywo, a na statku i w paszporcie, Wiercińskiego, wówczas lotnika, a po wyzwoleniu publicysty w „Trybunie Ludu”.

Do północy płynęliśmy z pogaszonymi światłami, po północy kapitan oznajmił, że niebezpieczeństwo zatrzymania statku minęło.

Tymczasem o wczesnym świcie, 10 grudnia, już bardzo daleko od Sztokholmu obudziła mnie nagle cisza, maszyny statku zamilkły. Przez luminator wdarło się do kabiny ostre światło reflektorów. Rozległy się głosy, że pilot podjechał do statku. Nic podobnego. Na horyzoncie dojrzałem sylwetkę jednostki wojennej, było to — jak później się okazało — „Hilfskreuzer Tannenberg” (krążownik pomocniczy). Ledwo to sobie uświadomiłem, gdy już z szalupy po trapie wspinali się na statek uzbrojeni ludzie, Kriegsmarine. Wszystko było jasne. Z mostku kapitańskiego rozległ się głos przez tubę przekazany do krążownika — „Englische Leutenkontrabanda” (angielski przemyt ludzi). I znowu w niewoli. Statek wziął kurs na Zachód. Zdołałem zorientować się w składzie polskich pasażerów. Wypisz, wymaluj — oficerowie lotnictwa, artylerzyści, dwie obsady regulaminowe dwu szpitali polowych, piechocińców ani śladu i kilkanaście kobiet. Płk Mitkiewicz, były attaché wojskowy w Kownie napisze po wojnie w swoich pamiętnikach,

że otrzymał w dniu 4 października 1939 roku „bardzo szerokie pełnomocnictwa od gen. Sikorskiego do prowadzenia prac ewakuacyjnych na całą nadbałtykę z Finlandią włącznie. Zdołałem — pisze Mitkiewicz — *niemałym trudem zorganizować ewakuację statkami i samolotami. Niemcy wszakże spostrzegli się i bez trudu statki z ewakuowanymi żołnierzami („Estonia” i mniejsze) na Bałtyku przyłapali i zabrali je do obozów jenieckich*”. Zdaniem kolegów to nie jest ściśle. Płk Mitkiewicz wyjechał w pierwszych dniach do Sztokholmu i nie zostawił nikogo, kto zajmowałby się ewakuacją.

Rozważaliśmy myśl opanowania statku i skierowania go na powrót do Szwecji. Szanse były, obsada szczupła, a Polacy „pasażerami” wykwalifikowanymi w takich operacjach. Jednakowoż „*nawet w wypadku — pisze Jerzy Pertek — gdyby Polakom udało się opanować „Estonię”, szanse na dotarcie do Sztokholmu były znikome. Tak we wschodniej, jak i środkowej części Bałtyku krążyły jednostki floty niemieckiej, a wszystkie one, zarówno regularne jednostki wojenne, jak też krążowniki pomocnicze dysponowały dużo większą szybkością, niż przestarzała, powolna „Estonia*”. Ponadto aż dwukrotnie niemieckie okręty wojenne sprawdzały, czy zakaperowany statek idzie wyznaczonym kursiem. Widocznie Niemcy nie dowierzali Polakom, *uprawdnie nie uzbrojonym, ale znacznie górującym liczebnie nad pilnującymi statku strażnikami, i chcieli w ten sposób ustrzec się od wszelkich niespodzianek*”.

Ze swej strony chciałbym dodać, że ponad inne względy w zaniechaniu zamiaru opanowania statku górował fakt, że byliśmy cywilnymi pasażerami, a Niemcy po ogłoszeniu blokady Bałtyku, zakładając samą tylko wersję, którą przekazali kapitanowi „Estonii”, że statek wiozł towar „for order”, to znaczy bez wskazania adresata — mieli pełne prawo żądania od Szwedów ekstradycji nas jako piratów („kto przemocą opanowuje statek na morzu ... podlega... itd.”), co Szwedzi wówczas zrobiliby bez ociągania się i los nasz byłby już jednoznaczny.

W Świnoujściu

Następnego dnia statek zawinął do Świnoujścia. Na pokład weszła żandarmeria i cywilne gestapo. Zaczęło się brutalne badanie, przesłuchiwanie, ewidencjonowanie — po czym oświadczone: kobiety mają prawo wyboru — albo udać się do Generalnej Guberni, albo promem przez Sassnitz — Trelleborg do Wielkiej Brytanii, mężczyźni pozostaną i pojedą później. Wszystkie pasażerki Polki przyjęły wariant przeprawy do Anglii z wyjątkiem dwu, tj. mojej żony i niejakiej p. Rojkowej. Obie panie zostały przewiezione do Szczecina, gdzie ulokowano je w luksusowym hotelu na koszt konsulatu estońskiego. Stamtąd żona udała się przez Poznań do Warszawy.

Mężczyzn, wśród krzyków, poszturchiwań i poczęstunków kolbami, skierowano w silnej eskorcie na prom i później przez Stargard Szczeciński do Gross Born,

do prymitywnych baraków, wyposażonych w drobinę słomy.

Obóz w Gross Born w roku 1939 stanowił coś w rodzaju Dulagu, obozu przechodniego, pełnego cywilów, żołnierzy w różnych formacji, marynarzy itp. Naszą grupę trzymano w ścisłej izolacji, pod ostrą strażą jako „Spionage-Gruppe”, grupę szpiegowską.

Pobył w tej części obozu, nad którą kontrolę objęło gestapo, trwał kilka miesięcy. „Głód, zimno, terror, niepewność jutra — wszystko to rujnowało nastrój i podkopywało wiarę w lepszą przyszłość” — poświadcza red. Koreywo. Nic więc dziwnego, że gdy pewnego dnia zjawiono się kilku oficerów armii niemieckiej namawiając, aby polscy oficerowie ujawnili się i w charakterze jeńców wojennych przeszli do oflagu, znalazło się sześciu ochotników, którzy jak się okazało w przyszłości — rzeczywiście nie wyszli źle na tej zamianie...

Pozostali, wobec których ostry reżim obozowy nieco zaczął na wiosnę, zwłaszcza iż zaczęły dochodzić paczki żywnościowe od rodzin, Czerwonego Krzyża i zakonu joannitów z Anglii, zostali uznani za „jeńców wojennych na prawach cywilów internowanych”.

„Abwehre” wobec nas reprezentował oficer Weise, gestapo grubas w cywiliu, nazywany przez nas Konradem. Ten ostatni rozsyłał tzw. „Rückfragen”, celem sprawdzenia u władz na miejscu, podanego adresu, tożsamości i personaliów.

Większość miała adresy litewskie, wśród nich ja także, natomiast zdumiewał nas fakt, że nawet na najbardziej sfingowane adresy i nazwiska czy to ze Skiernewic, czy z Rypina, czy z Warszawy, czy innych miejscowości nadchodziły odpowiedzi potwierdzające podane fikcje.

Swinoujście — port, do którego mnie przywieziono i w którym mnie poniewierano, związał się ze mną na trwałe. Związał, na miarę przepaści, jaką wykopał czas i wypadki pomiędzy tym dniem na promie, w którym mnie fizycznie maltretowano, a dniem, kiedy na tym samym promie w dziewięć lat później, stanąłem z okazji wizytowania portu jako wiceminister Żeglugi w Rządzie PRL. Swinoujście — Warszewo,

gdzie podjąłem i zrealizowałem budowę portu rybackiego, gdzie podejmowałem inicjatywy gospodarcze, powołując przedsiębiorstwo połowów morskich o nazwie „Odra” — i skąd datują się trwałe przyjaźnie, między innymi utalentowanej literatki Pomorza Zachodniego Britty Wuttke. Ale wówczas Świnoujście było tylko etapem w dalszej tułaczce.

W obozie

Dnie i tygodnie mijały, brukiew i pochlopka, zwana kławą, trochę chleba, czasem margaryna albo buraczana marmolada, a niekiedy paczka z zewnątrz, kształtowały monotonię obozowego życia, zawiązywały się przyjaźnie, szczególnie zaprzyjaźniłem się z młodymi inżynierami — Iwanowskim i Złotowskim. Dziwna to rodzina ci Iwanowscy, jeden Iwanowski to działacz i polityk litewski, drugi, profesor, narodowiec białoruski, jeszcze inny, Kazimierz Iwanowski — to wiceminister Leśnictwa w PRL, a uliczny grób mojego przyjaciela z obozu i kolegi z czasów młodzieżowych znalazłem przypadkiem na Chmielnej, już w czasie Powstania, z napisem pod krzyżem — „plt. podchorąży inż. Iwanowski”.

Jerzy Złotowski poległ w ostatnim, dosłownie w ostatnim, dniu powstania, przed kapitulacją.

Obaj wybitnie ideowi i inteligentni, wiele rokowali.

Dwa incydenty

Dwa incydenty przerwały monotonię dni obozowych, oba mogły skończyć się tragicznie.

Wezwano, aby zgłosili się „volksdeutsche”, zgłosił się tylko jeden, kolejarz z Chojnic, nazwiskiem Kunicki. Jakiś czas pozostawał z nami. Stale przygnębiony, nie sypiał. Nabrawszy do mnie zaufania zwierzył mi się, że jeden z naszych obozowiczów płk Chełmoński vel Boczkowski dał mu rozkaz przyjęcia listy, zgłoszenia się do Wehrmachtu, do wojsk kolejowych i zorganizowania zamachu na Hitlera. W ciągu kilku dni cały obóz, chyba ponad trzy tysiące ludzi powtarzało sobie w głębokiej tajemnicy, że nasza grupa (nazywano ją „Intelligenzgruppe”) przygotowuje za-

mach na Hitlera. Ta surrealistyczna zabawa Boczkowskiego prowadziła nas wszystkich prosto pod ścianę. Trzeba było coś zrobić. Podjąłem inicjatywę. Po naradzie z kolegami powiadomiłem niemieckiego lekarza, że mamy w grupie jednego chorego umysłowo. Podałem rozpoznanie — cierpi na psychozę manikalno-depresyjną. Gdybym postawił rozpoznanie schizofrenii — byłby natychmiast zlikwidowany. „Jak objawia się jego choroba? — zapytał lekarz. — „W fazie podniecenia zapewnia, że zorganizuje zamach na Hitlera”. „Rzeczywiście wariat” — orzekł lekarz. Boczkowskiego izolowano. Wyszedł z tego cało i on i Hitler.

Później, po wyjściu z obozu, ten sam aktywista zorganizował w Warszawie grupę trucicielską z kelnerów, pracujących w lokalach dopuszczonych dla Niemców. Za kilka biegunek i podobno jedno ciężkie zatrucie zapłaciło życiem kilkunastu kelnerów. Taki to był jego ruch oporu.

Innym znowu razem — przyjaciel Boczkowskiego, inżynier czy profesor Plebański z Politechniki Warszawskiej rozgłaszał, że był ongiś adiutantem generała Sikorskiego i śpieszyło mu się do generała. Człowiek skądinąd bardzo poważny.

Znalazł sposób wyjścia z obozu, odszukał w zakamarkach pamięci, że jakaś babka była żoną adiutanta króla włoskiego, nie pamiętam już którego Humberta i zgłosił do komendy obozu chęć napisania do króla włoskiego, o przyjęcie go do Włoch. Przesłano arkusz papieru, tekst ułożył władający włoskim syn dyplomaty polskiego w Rzymie, nasz obozowicz Loret. Minęły tygodnie. Wehrmachtowiec nazwiskiem Kaczmarek przyszedł po Plebańskiego i zaprowadził go do gestapo. Po chwili Plebańskiego tenże przyprowadził, zakrwawionego i pobitego. Tłuczono go nie miłosiernie z miejsca bez słowa. Ledwo zmyliśmy krew i opatrzyliśmy — Kaczmarek przyszedł po Plebańskiego ponownie. Gestapowiec na jego widok krzyknął — „Co, ty chodzić nie umiesz, przewróciłeś się, skaleczyłeś!” — po czym wyjaśniająco zagaił: — „Przyszedł do ciebie list z Rzymu, piszą, abys tam przyjechał”. „Ale tobie tak dobrze w obozie,



Fot. I. Szmyt

GUIDO RECK — „Kobieta z kotem” — olej



Fot. I. Szmyt

że
ch
sz
do
m
sw
zy
rz
po
fi
sz
po
Na
ry
st
sk
za
do
sz
m
i p
wi

wa
Oś
zó
ho
za

mi
je
bie
pl
pis
fer
raz
co
ma
se

N

li
ma
Be
pr
O
tov
tw
z
wid
do
E
esk
otw
i p
By
czy
by

że nie masz ochoty stąd wyjechać, myślę, że to chętnie napiszesz". Przy czym podsunął mu do podpisania jakiś włoski formularz. Plebański potwierdził swoim podpisem dobrodziejstwa życia obozowego. Tak prysły marzenia. Władze niemieckie stałe podejrzewały nas, że jesteśmy oficerami. Zimą w 1940 r. całą naszą grupę ustawiono piątkami i pomaszzerowaliśmy pod świetlicę. Na schodach stał pułkownik, który nas bystro obserwował. Następnie niemiecka orkiestra wojskowa zagrała marsza, a nam kazano maszerować. Nigdy nic podobnego nie widziałem. Każdy szedł z innej nogi i nie w takt marszu. Pułkownik machnął ręką i powiedział „przeklęta banda cywilów i nic więcej”.

* * *

Doszły nas wieści o zorganizowaniu obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Wahnęła się wskazówka naszych dalszych losów; na horyzoncie pojawiło się potworne zagrożenie.

Rankiem wiosennym wpelzł między druty obozu — długi wąż jeńców francuskich piechurów, biednie wyekwipowanych, w płaszczach nieobrębionych, z napisem na bluzach „Ardennes tiens fermes” — co nasi żołnierze od razu objaśnili, że to jest to samo co „silni, zwarci, gotowi”. Wielu marokańczyków, wielu drżących senegalczyków.

Na Pawiak

„Szrajberzy” obozowi przekazali nam, że z OKW — Oberkommando Wehrmacht z Berlina, Bandlerstrasse, przyszła decyzja o przekazaniu nas do Warszawy.

Gestapowiec z grubym cygarem towarzyszył nam w wagonie otwartym, właściwie bez eskorty; z grubą teczką naszych akt i wiozł nas przez Piłę, Bydgoszcz do Warszawy.

Piszę „towarzyszył”, gdyż eskorty nie było, wagon był otwarty i każdy na każdej stacji i przystanku mógł sobie wysiąść. Byliśmy tym zwiedzeni. Jednego czy dwóch żołnierzy nie można było uważać za eskortę.

W Warszawie jednak na dworcu wjechaliśmy o świcie do wnętrza kordonu gestapowców otaczającego nasz wagon; zdumieliśmy się — nie tylko my, ale nawet i „nasz” gestapowiec. Coś zaczął wyjaśniać, a nas tymczasem ładowano w otwarte samochody. Już w niewiele minut później przekroczyliśmy pod silną eskortą bramę Pawiaka. Umieszczono nas, po ponownym zewidencjonowaniu w kancelarii więziennej, pod piątką i pod siódmką — w przepelnionych celach. Przechodziliśmy wzdłuż okien „Serbii”, z cel dochodziły „powitalne” głosy więźniarek.

Ostatecznie zwolniono nas w dwu grupach, byliśmy widocznie dostatecznie sprawdzeni, nie uczestniczyliśmy jako „Litwini” i „marynarze” w warszawskiej konspiracji, dla której były już potrzebne cele w coraz większej ilości. Z naszej grupy estońskiej zabrano lekarza, warszawskiego rentgenologa Mieczysława Goldmana vel Godlewskiego, którego odesłano do obozu w Działdowie i jakiegoś pułkownika, zdaje się Bieniasiewicza, z młodocianym synem — o ich losie nigdy nie dowiedzieliśmy się.

Jeszcze w obozie kazano zgłosić się Żydom i wywieziono ich do Warszawy, na wolną stopę, by później zabrać ich do Getta. Było wśród nich wiele wybitnych postaci. Publicysta Orzech, lekarz internista Luxemburg vel Leszczyński, Gitterman i inni. Ci, którzy się nie zgłosili — pozostali z nami. Jeden z nich Bronisławski, był później w Powstaniu dowódcą batalionu AK.

Przy zwolnieniu polecono zgłosić się w gestapo, czego nie uczyniłem, choć dla tych, którzy to zrobili, były podobno najmocniejsze papiery na wszystkie łapanki. Nie wiadomo nigdy, jakimi torami idzie myśl policyjna. Lekarzom nakazano podjęcie pracy.

Było już lato. W dniu 11 lipca 1940 roku zarejestrowałem się w Warszawsko-Białostockiej Izbie Lekarskiej, legitymacja nr 4573 i podjąłem pracę w Ubezpieczalni Społecznej. Naczelnym lekarzem był dr Viehweg, urzędujący przy ulicy Smulikowskiego, w mundurze członka NSDAP. Na ulicy Smulikowskiego mieściło się po-

gotowie i wiele poradni specjalistycznych.

Odszukałem rodzinę. Zabrałem się do montowania mieszkania. Niestety nie na długo.

Miałem sygnały, że atmosfera wokół mnie wyraźnie się zagęszcza. Korzystając z przepustki na poruszanie się po godzinie policyjnej, nawiązałem już wiele kontaktów konspiracyjnych.

„Szef” dr Viehweg miał dziwny styl, wzywał do siebie na godzinę ósmą rano poszczególnych lekarzy. Z tych odpraw wielu już nie wracało. W ten sposób zginął bez śladu okulista Borszczewski i inni. Nie wiem, co to był za styl, przecież można było nas spokojnie zabierać z gabinetów w godzinach naszych przyjęć. I ja otrzymałem takie wezwanie na godzinę ósmą rano. W odpowiedzi przestałem istnieć jako Widy, a zaistniałem jako Wiśniewski, a później Wirski z kennkartą najbardziej podobną do oryginalnej.

Rozpoczęła się pracowita i pełna czyhających niebezpieczeństw noc konspiracji.

Rokrocznie zbierają się „pasażerowie” Estonii w swoją rocznicę i rokrocznie jest ich coraz mniej. Organizację spotkań powierzyli Michałowi Czarnieckiemu.

W karykaturze L. Piosickiego:
JERZY KOWNAS



L. Piosicki 1940

WIOSNA W PLECAKU

W 1955 r. Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Szczecinie zorganizowało konkurs na prace literackie, plastyczne i muzyczne o tematyce związanej z dziesięcioleciem wyzwolenia ziemi szczecińskiej.

Laureatami w dziedzinie plastyki zostali: GUIDO RECK, JAN KOSTKOWSKI, HENRYK OSTACHIEWICZ, JAN POWICKI. Natomiast w konkursie literackim trzecią nagrodą wyróżniono pracę EDMUNDA BĄCZYKA „Wiosna w plecaku”.

Edmund Bączyk był repatriantem z Francji, gdzie pracował jako górnik. Debiutował w 1949 r. opowiadaniem z życia górników. W „Głosie Szczecińskim” drukował „Spór o miedź”, ponadto był autorem audycji radiowych.

„To opowiadanie — raczej opowieść — pisała o nim Nina Rydzewska — posiada za to wiele walorów nie tylko literackich. Ukazuje nam trafnie przekrój dziesięciolecia ziem szczecińskich — czasem może za szybko przechodząc od jednej do drugiej sprawy. Ale to już wina za ciasnych

ram. Dużo jest w tej opowieści jakiegoś serdecznego ciepła, pogody, miłości do człowieka, do miasta i jego spraw. Dużo pięknych opisów (specjalnie wiosna 45 — wiosna 55), wiele dobrych czynków, ciekawych typów ludzkich, jak: Bugajska, Edward, Piotruś, Talarek. Dobrze ukazana jest także rola i praca Partii i dzięki temu opowieść spełnia swoje zadanie: buduje i wychowuje. Zagadnienie Freundschaftu osiąga tu bardzo miły i ludzki wydźwięk. Co prawda autor nie pogłębił tej sprawy szkicuując ją tylko z lekka — ale nie ustawił także na marginesie, więc „wychodzi” ona pomimo wszystko”. „Wychodzą także inne poszczególne elementy, składające się na „dziesięciolecie Szczecina”, bo autor pokazał je w swojej „Wiosnie” w akcji, unikając schematyzmu i tak zwanej „drugiej ręki”, czyli relacji. Autor posiada duży zmysł obserwacyjny i poczucie humoru, dlatego opowieść — mimo że zawiera wiele dramatycznych powikłań i drażliwych konfliktów — jest pogodna i bardzo ludzka”.

Od pewnego czasu zmienił się ten człowiek nie do poznania. Wysoki, prosty, barczysty — skulił się w sobie, zgarbacił, jak gdyby zmalął. Czarny zarost pokrywał twarz, podkreślając jeszcze mocniej jej bladeść. Oczy mocno miał podkrążone. Robiło to wrażenie jak gdyby nosił szkła. Był słaby, chory, niedawno opuścił szpital. Przyszedł tu pieszo trzydzieści kilometrów, klucząc i błądząc po nieznanym mu okolicy. Grząż w bagnach, przechodził odcinki zaminowane nie zwracając uwagi na ostrzeżenia zostawione przez Niemców: „Minen”! Przechodził obok maruderów, narażał życie — może chciał je narażać nie przywiązując do niego już żadnej wagi? Jak najprędzej pragnął ujrzyć oswobodzony przez Armię Czerwoną Szczecin, ale dopiero gdy się upewnił, że polska flaga trzepocze na wietrze i nic jej nie zagraża, zaczął rozglądać się po tym mieście.

Niewesoły był widok. Ruiny, zgłiszcza, gruzy, zburzone mosty, zniszczony doszczętnie port. Z wody wystawały zatopione dźwigi pływające. Tu i tam — maszt czy komin zatopionego statku — jedyna rzecz świadcząca o tym, że była tu kiedyś przystań. Poza tym nigdzie choćby nikłego śladu dającego świadectwo życiu. Pustka, hałdziska śmieci, zdewastowane warsztaty i budynki portowe — to wszystko tak przynębiło Radka, że przystanął na chwilę i patrzył w wodę Odry jak urzeczony. „To miasto jest podobne do mnie — myślał. — Tak jak ja, do niczego. Ja już niczego nie wskrzeszę i nikt nigdy chyba się nie ośmieli odbudowywać Szczecina”. Nazbyt jątrząca i za głęboka rana, by mogła się zabliznić. Miasto próbowało tę burzę przetrwać. On też. Ale i miasto i człowiek wyszli z tej próby żyje.

Potrącił o coś nogą. Mauzer. Wziął go w rękę i długo ważył, jak ważył teraz często to swoje nędzne życie. Czy nie lepiej byłoby ze sobą skończyć, niż żyć z takim kalectwem? — przemknęła przez głowę myśl, lecz zaraz ją odpędził. Był zawsze taki silny. „Stuprocentowy chłop z tego naszego Radka” — mówiło się o nim w wojsku. — „I nie tylko fizycznie”. Teraz tak nikt nie powie. Jedna i druga siła została w ruinach Dąbia. Resztę wykrajał chirurg na stole operacyjnym.

Głośny wybuch wyrwał go z tych rozmyślań. Ktoś krzyknął przejmująco. Gdzieś w pobliżu oderwał się z hukami ogromny kawał muru i spadł z łoskotem. Nagle — niby szрекowanie psa — odezwała się seria z automatu i nowy krzyk. Radek pobiegł w tamtym kierunku ściskając w dłoni mauzer.

Grupa żołnierzy radzieckich prowadziła pięciu usmolonych i oberwanych jeńców z trupimi główkami na hełmach.

— Jeszcze się tutaj płaczą — powiedział Radek do stojącego obok takiego jak on sam, byłego żołnierza, w furazercie bez orła, wciśniętej głęboko na czoło.

— Faszystowskie niedobitki, psiamać. Ukrywało się tała-

tajstwo diabeł wie, w jakim celu. By straszyć ludzi, bruździć, odcigać ich od Szczecina.

— Ludzi? — Ciekawe. Gdzie tych ludzi się ulokuje. W ruinach? Pod gołym niebem? Człowieku! Dla ludzi tutaj, nic przecież nie ma...

— Zaraz widać, żeś z wioski do miasta przybył — powiedział były żołnierz chowając do kieszeni znalezione na drodze nagan. — Łajna broń. Przyda się, nie? I tyś wziął na pamiątkę. Dobrześ zrobił. Jeszcze się nieraz przyda. Co to ja chciałem rzec? Aha! To ty sobie imaginujesz, że biliśmy się o to miasto, aby je tak zostawić. Na łaskę i niełaskę. — Obrzucił Radka nieufnym spojrzeniem. Uspokoił go jednak wygląd nieznajomego, podziurawiony wojskowy płaszcz, taki sam jak i jego. Dziadowskie buty, mocno nadwyreżone w długim dalekim marszu znał Oki aż nad Odry — i ta „facjata”... Facjata osobnika przez życie tak skrzywdzonego, że na pewno nie wystarczy mu siły, aby drugiego skrzywdzić. — Gdzie mieszkasz? — spytał. — Ja od wczoraj z jednym „pasiakiem”, w tej tam budzie, o! Ale w północnej dzielnicy miasta podobno są domki w dechę. Ogródki, sady, diabły. Jeziora nawet, lasy. Tylko wędkę, brachu, do rączki albo koszyk na grzybki — i masz już gotowe papu. Co tam, brachu, chałupa! Grunt, że roboty tu nie zabraknie. Widziałeś port? Jakżeś nie widział — popatrz! Aż graby, cholera, świerzbia, żeby jak najprędzej doprowadzić to dziadostwo do jakiegoś porządku. Szczecin podobno zawsze, od tysiąca już chyba lat, opierał się na porcie. Nie będzie portu, mówią — nie będzie i Szczecina. — Spowaźniał i jak gdyby posmutniał. Ale trwało to tylko chwilę. — Będzie, choroba. W dechę — powiedział z przekonaniem. — Jak się do tego dzieła zabiorą takie jak my wojski — to, ho, ho! — rozciągnął w szerokim uśmiechu wargi. — Ale ja tu z tobą wystaję godzinami, tracę swój cenny czas, a nie wiem, coś ty za jeden, brachu. Skąd przychodzisz i jak się wabisz. Możeś dywersant, szpic. — Mrugnął wesoło, oczekując lewym okiem w stronę prawego, co tę gębę czyniło jeszcze sympatyczniejszą.

Radek uśmiechnął się powściągliwie. Podobała mu się ta szeroka, rumiana twarz, ten szczerzy wyraz oczu z ledwo widocznym zezem i kąty ust podniesione w górę jak u dziecka skorego do zabawy. Najbardziej bodaj zaimponowała mu ta zdecydowana postawa nieznajomego, gdy się wypowiadał o przyszłości Szczecina. Było mu nawet wstyd, że niedawno tak się wygłupił mówiąc o Szczecinie jak o kalece bez obu rąk i nóg, któremu i protezy już nie pomogą, i że w taki sposób myślał także o sobie.

— Cóż się tak zamyślił — zapytał go znou obcy. — Widzę, że brak ci ikry, brachu. Nie dowierzasz. Kombinujesz, że tak jak hitlerowiec skaputniał, skaputnieje też nasze miasto.

— O jakim mieście mówisz?

— O Szczecinie. Przecież nie o Paryżu.

Oddalił się trochę i wyciągając z wody jakąś czerwoną od rdzy obręcz zanucił:

Bo cóż ma robić chłopak warszawski,
który Warszawy nie widział tyle lat...

... Wisła, plac Saski, Zamek i Nowy Świat...

— Ty może też z Warszawy? — zapytał obcego Radek.

— Prawie. Bo z Wilanowa. Edward Kondracki jestem — do usług — uklonił się jak dziewczynka, ujmując w palce poły podziurawionego kulami płaszcza i zabawnie dygając. (...)

Gdy im skończył się ostatni papieros, mieli wrażenie, że ich znajomość trwa nie od dziś, ale od wielu lat. Praktyczny Edward powiedział patrząc na niebo: — Już południe, choroba! Trzeba pomyśleć, jak tu gdzieś zdobyć papu. Podobno nasza „grupa operacyjna” obiadki już wydaje, a jak nie — to bez łaski. Radziecki kucharz na pewno kaszy i czaju nam nie odmówi. Jadłeś ty ich grochówkę? — obliżał się. — Więcej szpyrek niż grochu, co?

— A później? — powiedział Radek nie odpowiadając na pytanie.

— Później? Cóż, brachu! Trzeba będzie zacząć normalnie żyć. Dla nas wojna już się przecież skończyła, nie? Roboty w mieście huk. Pierwsza rzecz — to coś zjeść, a później wyszukać gdzieś dach nad głowę i zameldować swoją obecność na nowym miejscu... (...)

Radkowi do jedzenia się nie spieszyło. W szpitalu stracił apetyt, a zresztą wszystko mu jakoś psuła ta ohydna woń spalenizny. Przesiąkł nią chleb, ubranie i woda. Spaleniżna nawet pachniały kwiaty. Człowiek cuchnął sobie samemu, jak piwnica pod wypalonym domem. Pożary nie wygasaly. Przeciwnie. Z końcem kwietnia — garstka esesmanów i dywersantów kryjących się w gruzach starego miasta — zamieniła się w podpalaczy. Jedyna w Szczecinie motopompa nie była w stanie opanować „gorącej” sytuacji.

— A zamieszkać możemy wspólnie, dopóki nasze baby — twoja i moja Helcia — nie zwałą nam się na kark — dodał jeszcze Kondracki. — No, chodźcie! Będzie nam we dwóch różnie. Samemu jakoś głupio, a „pasiak” aż się trzęsie, żeby stąd zwiać. Czeka tylko na transport. Towarzystwo już sobie znajdzie. „Pasiaków” w okolicznych obozach pełno. Jeszcze dzień, dwa, a będzie ich tutaj jak w Oświęcimiu...

Do kuchni polowej trudno się było dostać, toteż nieprędko mogli głód zaspokoić. Na każdym narożniku — wyrwy, nie uprzątnięte dotąd barykady, kupy śmieci i gruzu, zwalone drzewa, trupy ludzkie, padlina końska, psia. Wszędzie napisy: „Minen”... Starala się jak mogła osłonić ten rozkład kwietniowa zieleń, usiłując zapachem bzu zabić odór zgnilizny, lecz nie było to wcale łatwe.

— Popatrz! — powiedział Edward. — Co krok to napis: „Wir kapitulieren nie!!” A jednak — skapitulowali!...

Zamieszkali na pierwszym piętrze w willowej dzielnicy Szczecina „Braunsfelde”. Dawny właściciel nie czekając aż miasto zostanie oswobodzone, uciekł zabierając z domu rzeczy co najcenniejsze. Na parter wprowadził się tramwajarz niemiecki, którego mieszkanie w pobliżu dworca zostało spalone przez jego ziomków — już po oswobodzeniu Szczecina. Hans Hutter należał do tych, którzy nie kryli się w gruzach śródmieścia albo Starówki, nie podkładali zarzewia pod całe jeszcze domy i nie bruździli. Hans Hutter czekał niecierpliwie na chwilę, w której mu będzie wolno zameldować się w swoim byłym zakładzie pracy. Gdy dostał tam robotę — razem z innymi naprawiał zerwane linie, tory, słupy i pozrywaną sieć napowietrzną.

— I znowu mamy żyć w cieniu swastyki? — ubolewał Radek potrząc z odrazą na ten „zaniemczony dom” przy Fontanneweg, który wynalazł Edward.

— Gdzie tu rosną swastyki? — kpił jak zwykle Kondracki. — W cieniu grusz i jabłonek będziesz żył sobie, brachu, a owoce wprost z drzew kapać będą do gęby. Jeszcze ci źle?

Hutter pracował nie gorzej niż Polacy i jemu zależało, aby jak najprędzej uruchomić to, co przez całe życie było celem jego istnienia i dawało mu chleb.

I tutaj na „Braunsfelde”, ukrytym w drzewach, pełnym świergotu ptaków i krzyku dzieci, które szybciej niż dorosli wróciły do normalnego życia. Edward Kondracki potrafił przemówić do rozumu Radkowi i przekonać go, że można żyć w jednym domu z rodziną „Szwaba”. (...)

Jadwiga Bugajska na pierwszy rzut oka nie budziła specjalnego zainteresowania, choć urody nie można było tej kobiecie odmówić. Dopiero rozmowa z nią, przysłuchiwanie się jej miłemu głosowi, patrzenie w jej mądre, smutne oczy — zaczynało pociągać człowieka ku tej kobiecie, stwarzając atmosferę dziwnego spokoju i ukojenia. Radek siedząc z nią parę godzin w swoim pokoju, potem u Kondrackiego, i wreszcie na dole u Hutterów — odpoczywał jak nigdy.

Siedzieli w jego pokoju naprzeciw siebie, on mówił z początku sam, o Bugajskim opowiadał ze szczegółami o jego życiu w wojsku i jego śmierci, a ona, ujawszy śniadą twarz w dłonie, przysłuchiwała mu się z natężoną uwagą. Gdy skończył, bardzo ciężko westchnęła:

— Więc zginął. A ludziłam się jeszcze, nawet po pańskim liście... Myślałam: „Może pomyłka, może inny Bugajski, nie on...” Tak bardzo byłam pewna, że Emil do mnie wróci... I Emil w to wierzył też. Kiedy to on był u mnie ostatni raz? — zrobiła duży wysiłek, aby sobie przypomnieć — mniejsza z tym. I tak drugi raz już nie przyjdzie.

Zamilkła potem na dłuższą chwilę, ale jemu cisza dzwoniła jej słowami. Chciał ją pocieszyć — nie mógł, nie umiał jakoś znaleźć odpowiednich wyrazów. Wszystkie były banalne, wiele razy już powiedziane. Nie przynosiły ulgi. (...)

Z tych rozmyślań wyrwały go słowa Bugajskiej. Cekał na nie i bał się ich. Wiedział, że je usłyszy, bo sam przecież na prośbę towarzysza broni, na polecenie dane mu jeszcze na długo przed jego śmiercią — przesał jej portfel z listami innej, nieznaney mu kobiety, której na pewno nie znała też Bugajska. (...)

Tak się złożyło, że ani po święcie umarłych, ani na Boże Narodzenie Bugajska do Krakowa nie powróciła. Dowiedziawszy się, że Szczecin odczuwa ciągle brak nauczycieli — postanowiła zostać. Z Krakowem żegnała się bez żalu. W Krakowie „jej dzieci” bez opieki nie pozostaną — tutaj jest wiele takich, które, zdane na własny los, wałęsają się całymi dniami po ulicach i przedmieściach, szukając w gruzach „skarbu” lub sprzedając gazety. Gdzie jak gdzie, ale tu właśnie może się dzieciom przydać.

Nie chciała szukać mieszkania w mieście. Co ona będzie tam robić sama, z daleka od swych „najbliższych” — Radka, Kondrackiego, Hutterów, z którymi już się zdążyła zżyć!... Wniosła rzeczy na mansardę nad izbą Radka i przez pierwsze dni wciąż wglądała oknem, zachwycona widokiem. Cieszyła ją zacisza malutkiego mieszkania, a przede wszystkim ta samodzielność. Bugajska nie zależała tu od nikogo. W jednej izbie urządziła sobie zaraz kuchenkę, do której Kondracki doprowadził wodę i gaz. W drugiej — sypialnię i gabinet. Sypialnię stanowiła kozetka i nocny stolik, a gabinet — stół do pracy, fotelik i szafa, przerna-

czona na książki i ubranie. To było wszystko. Hutterowa kręciła nosem, zobaczywszy gołe okna i nie przykryte niczym podłogi.

— O, mein Gott! Jakże tu nieprzytulnie! Nie wypada, aby nauczycielka mieszkała jak studentka lub ktoś z teatru, co to dziś tu, jutro tam... Trzeba będzie i panią się trochę zająć.

Na drugi dzień Bugajska stanęła w progu jak wryta, zobaczywszy mansardę odmienioną nie do poznania. Podłogę pokoju zaścierał zielony dywanik w róże, w okienkach bielili się firaneczki, przewiązane wstążkami i zieleniły jakieś delikatne rośliniki w malowanych doniczkach. Kuchnię przecinał na pół zgrzebnny pasiasty chodnik i zatrzymywała na sobie oczy biała makatka, zawieszona nad zlewem, na której Frau Elza wyszyła własnoręcznie czerwoną nicią, i to po polsku: „Woda to strowie”.

— Od razu widać, że mieszka tu kobieta — powiedział Edward, którego Bugajska wraz z Radkiem zaprosiła na oględziny — I to jaka kobieta! — dodał mrugając lewym okiem, jak zwykle, dwuznacznie i wesoło. — Mówi pani, że widok... Widok zimą to frajer. Zobaczyć go trzeba wiosną, jak rzuci się spirea, jak zakwitną migdały i szczyńskie magnolie... Przysięgam na moją Helcię, że nigdy pani nie pomyśli już o wyjeździe z naszego miasta. Nasze miasto — ho, ho! — Powiedziałyby na pochwałę Szczecina o wiele więcej, ale brakło mu dzisiaj słów, choć wyszczekany był jak adwokat. (...)

— Nie można dłużej tolerować w Partii takich jak oni ludzi — przemawiał na zebraniu Radek. — Jaworski i Smigła robili przecież wszystko, by psuć jej dobre imię, Jako sekretarz głosuję za usunięciem...

W małej świetlicy zrobiło się nagle cicho. Milczał też Radek, zastanawiając się nad decyzją. Już nieraz i Kondracki i inni, a nawet Bugajska, zarzucali mu przecież, że jest w gorącej wodzie kąpany. Przrzekał wielokrotnie, że długa będzie się zastanawiał, zanim wyda sąd o człowieku i zdecydować o jego losie, nie jednak nie pomagało. Najpierw przechodziła decyzja, którą rodziła jakaś nagła i krótka jak błyskawica myśl, a potem dopiero zastanowienie. — Nigdy — co prawda — się nie zdarzyło, by wyszedł na tym źle, by z gruntu się pomylił — lecz różnie w życiu bywa.

Od nie tak dawna był Radek sekretarzem komórki partyjnej nabrzeża „Mak”, ale od dawna już zauważył, że ta komórka — razem z jej członkami i sekretarzem — to tylko fikcja, martwa jakaś organizacja, która zamiast wyzwalać z człowieka coraz to nowe siły — krępuje każdą twórczą myśl i dusi ją w zarodku.

Były sekretarz — Jaworski — pochodził z tego gatunku ludzi, którzy — jak sam cynicznie kiedyś wyraził się na zebraniu — wstępują do Partii po to, aby mu dopomogła zrobić karierę w życiu. Że nie udało mu się takiej kariery zrobić, miał pretensję do Radka i Kondrackiego, którzy już od początku, nie należąc jeszcze do PPR-u, tylko przyglądając się pracy partyjnej z boku — postanowili tępić ten gatunek.

Poprosił o głos Kondracki. Uśmiechnięty, zadowolony z życia i otoczenia, w którym zawsze doszukiwał się dobrych stron, nie zamykając oczu na złe — chrząknął, aby nastroić głos na jak najczystszy ton, a potem rzekł:

— Poczekajcie. Teraz ja wam powiem coś, towarzysze. A więc z Partią jest tak. Jeden się do niej garnie, bo rozumiał, że tam jest jego właściwe miejsce, bo tak, a nie inaczej nakazuje facetowi sumienie, tak każe mu obowiązek, a wreszcie i zdrowy rozum, jako że w jedności podobno siła. Drugi idzie tam tylko po to, aby zatrzeć za sobą ślady. Na przykład Smigła. Przyjechał podobno tu aż z Krakowa, a co się okazało? Że drań w Poznaniu żył

cały czas jako granatowy policaj. Trzeci gatunek — to karierowicz. Jak na przykład Jaworski. Pamiętacie, co ten wyprawiał, by zostać sekretarzem i później, jak żeście go już wybrali... Jakby całutki port do łobuza należał. A jak zwąchał się ze Smigłą. Który był przecież wówczas nie byle kim, bo panem kierownikiem, kierownikiem magazynów... Zaczęły się takie kanty, że skarb poniósł wówczas dzięki tym draniom miliony strat. Na pewno nie jeden z was coś nie coś i o tym wiedział, ale bał się narazić. Jakże? Jeden przecież sekretarz, a drugi pan kierownik!... Pamiętacie chyba wystąpienie Jaworskiego, gdy go spytano, czemu do Partii wstąpił? „Partia to drabina, po której można się wdrapać aż na sam szczyt”... Wysoko facet parzył...

— I wysoko zajdzie! Na szubienicę! — wybuchnął któryś, ale słowa jego zagłuszył sekretarz stukaniem suszka w stół.

— A kto nam zagwarantuje, że taki na przykład Radek nie postąpi tak samo? — przerwał Kondrackiemu trymer Różewicz. — Kto nas może zapewnić, że i temu woda sodowa nie uderzy do łba? Kto nas przekona, że Radek — były przecież sklepikarz, nie dąży do tego samego, co i Jaworski?

— Prawda!

— Słusznie! Sklepikarz!

Radek poczuł, że krew uderza mu do głowy. Widział w tym wszystkim wyraźną prowokację, nie mógł jednak od razu dotrzeć, kto wystąpienie przeciwko niemu zorganizował i jaki miał w tym cel.

Kondracki nie wypadł jednakże z tonu. — Nie przerywać! Ja jeszcze nie skończyłem — krzyknął. — Ty, Różewicz, gadane możesz mieć później, nikt ci nie wzbrania mówić, ale żebym ja nie słyszał słowa „sklepikarz” — kapujesz? Nie wolno ci towarzysza Radka, kim by przed wojną nie był — stawiać obok granatowego policjanta, obok sanackiej „gliny”. Radka znamy tu od początku. Wiemy, mamy na to dowody, że to chłop nasz. Gdyby chciał nam psikusa zrobić, zrobiłby go już dawno. Miał tysiące okazji. To, że był sklepikarzem, niczego nie dowodzi. Żył z pracy ręką, tak jak i my. Wśród sklepikarzy także są przecież tacy, co handlują uczciwie. Sklepikarza to w nim widzicie, ale o tym żeście już zapomnieli, że przez dłuższy okres czasu chłop mieszkał w Związku Radzieckim, że przyjechał tu nie pociągiem, ale odmierzał tę niełatwą drogę do naszego Szczecina twardym wojskowym krokiem, że zdobywał to miasto dla nas nie piosenką z estrady, nie przemówieniem w sejmie, a karabinem. Takiego towarzysza powinniście w nim widzieć — w dechę! — zakończył zginając w łokciu ramię... Na sklepikarzu skupia się wasza czujność, ale gdzieście byli i co robili, jak policaj rozbijał się wśród was i jawnie was kantaował razem ze swym kumpłem Jaworskim? Usnęła wasza czujność — powiedział ironicznie. — Ululała was jak gorzałka, co?

Kondrackiego poparł jeszcze ten i ów, i to z takim zapalem, że trymer Różewicz dał za wygraną. Bąkał coś tam pod nosem, ale tego nie można było nazwać już prowokacją.

Z zebrania udali się wszyscy na bazę, na swoje odcinki pracy.

Radek zastał w swoim kantorku dziwnie zasepionego Talarka.

— O co ci znowu chodzi, stary? — zagadnął zaniepokojony.

— A o to, że zaprzepaściliśmy aż dwa wagony węgla... Jak to się stało Radek? Zabijcie mnie, nie odpowiem. Głupi jestem. Nie wiem, co to znów za cholera, kto to taki, dlaczego?...

Radek spojrzał mu prosto w oczy. Podobała mu się ta szczerza troska Talarka o każdy kawałek węgla porzucony na torze, o każdy nit czy gwóźdź. Radek zauważył od dawna, że Talarek dba o dobro portowe więcej niż o siebie samego, choć na pewno jeszcze dokładnie nie rozumiał, z czego to u niego wypływa i dlaczego tak być powinno, a nie inaczej. Talarek wiedział w tej chwili tyle: nie jest w stanie wyliczyć się z załadunku i to ogromnie go przygnębia. Szturman, po zbadaniu zanurzenia, uparcie twierdził, że statek ma jednak te swoje pięćset ton, lecz Talarkowi, według jego obrachunku, wychodziło wciąż tylko 450. (...)

Radek dosyć długo i uważnie przyglądał się Talarkowi, jakby dziś dopiero tego człowieka przed sobą ujrzał, a potem go zagadnął:

— Bardzo ci się to chwali, że dbasz o nasz wspólny ma-

jątek, ale... ciekawa rzecz: dlaczego dotąd, Talarek, nie wstąpiłeś do Partii? Dużo już wiesz, facet z ciebie ideowy — w dechę — jak powiada Kondracki, posiadasz wszystkie dodatnie cechy dobrego Peperowca...

Stary targał w zakłopotaniu węża, uparcie patrzył w okno na Odrę, jakby stamtąd miała przyjść pomoc. Widać było, że się chłopina męczy, szukając właściwych słów. Radek mówił, a on tylko kręcił, kiwał głową, nie wiadomo: przecząc czy przytakując. Głowa jego chodziła, jakby ją źle przycumowano do mola barkowego. Wreszcie po dłuższym namyśle odpowiedział dosyć naiwnie, machając niedbale ręką:

— E, tam, Radek! W Partii czy nie — i tak lepiej nie będę wam przeciw robił... Myślisz, że przed wojną inaczej się pracowało?

Dopiero koło północy wracał Radek do domu. Od przystanku siódemki miał jeszcze z pięćset metrów. Szedł nie spiesząc się, bo był bardzo zmęczony, szedł i myślał o rozmowie z Talarkiem. Nic dziwnego, że chłop się waha. Tacy jak Jaworski czy Śmigła nie zachęcają, a przeciwnie — odstręczają od partii. Zrozumiałe, że uczciwych wprowadza to w błąd, podrywa zaufanie. Zastanawiał się, co robić, jakie znaleźć podejście do takich jak Talarek, w jaki sposób pozyskać tych ludzi całych... Miał rację przekonywując Talarkę, że obecność w partii takich jak on, wypłoszyłaby tych, co znaną „szurają”, ale jak tu, choroba, ten zespół dobrać, jak się postarać o to, aby „orkiestra grała” bez najmniejszego fałszu...

Tak go pochłonęły te niewesołe myśli, że nie czuł nawet zimna, a wiało od północy i gdyby nie szal, który przemocą wetknęła mu Jadwiga, jak robiła to co dzień, szczerkałaby zębami. Z daleka ujrzał w szczycie światelko. Dopiero to oderwało go od ponurej rzeczywistości. „Jadwiga jeszcze czuwa. Poprawia widać zeszyty. A tak biduli ciężko pracować przy żarówce... Powinna jak najprędzej postarać się o szkła”. Może na niego czeka — przemknęło mu przez głowę, lecz zaraz tę myśl odpędził.

Nie miał zresztą czasu nad tym się zastanawiać, bo nagle tuż koło niego, na narożniku, w szczerym nieomal polu rozległa się komenda:

— To on! Bij Peperowca! — i jak spod ziemi wyrosło przed nim paru uzbrojonych w drewniane pałki drabów.

Zanim zdążył pomyśleć o obronie, poczuł ciężki cios w tyle głowy. Wyciągnął przed siebie ręce, jakby chcąc się czegoś przytrzymać, ale trudno było oprzeć się o powietrze. Poczuł jednak, że wyciągnięte ręce natrafiły na czyjeś gardło. Zaciśnął na nim palce — ale następny, jeszcze dotkliwszy cios powalił go na bruk.

Potem nic, tylko cisza. Ta przekłęta cisza, której nie lubił, której się zawsze bał. Taka sama, jak wtedy, gdy został ranny na przedpolu w Szczecinie-Dąbiu.

Od tego czasu „upłynęło w Odrze znów trochę wody”, zmieniło się wiele w ludziach i w samym mieście. Patrząc dzisiaj na Szczecin, niełatwo było wyobrazić sobie, jak wyglądał dziesięć lat temu i jakie musiał przejść koleje, aby zasłużyć sobie na nazwę najciekawszego miasta w Polsce. Dzisiaj do słowa „nasz” dodawało się „cudny”, „piękny” lub „najpiękniejszy” — i już to jedno zdanie: „Nasz Szczecin jest najpiękniejszy” brzmiało niemal tak jak piosenka, opiewająca chwałę miasta w najróżniejszych wariantach.

Odłożywszy gazetę, Radek zamyślił się tak głęboko, że dopiero Piotruś, który wpadł do pokoju niby druga dzisiaj wiosenna burza — obudził go z zadumy. Zaintrygował go wygląd chłopca. Piotruś wypieki miał na policzkach, a oczy mu błyszczały jak w wysokiej gorączce. Chłopak błady raczej, trochę flegmatyczny z natury, o usposobieniu jak na dziesięcioletniego skrzata raczej zrównoważonym — mógł wzbudzić w tej chwili podejrzenie, w najbliższym otoczeniu.

— Dlaczego tak trzaskasz drzwiami? Wiesz dobrze, że wujek Edward wrócił niedawno z pracy. Musi się dobrze wyspać. Jutro pierwsza próba jego nowego dźwigu. A tobie co się stało, żeś taki roztrzęsiony? — zapytał chłopca Radek.

— Bo jutro przecież staję przed sądem Kurt, tatusiu... i jeszcze trzech... Wspólnicy. — Ostatnie słowo powiedział Piotruś dziwnie jakoś, niepewnie — chciał powiedzieć: „Polacy”, ale w żaden sposób nie mogło mu to przez gardło przejść.

— I co z tego, że Kurt? Tak bardzo cię to obchodzi?

— No!... I chciałbym być na procesie. To już trzeci w Szczecinie szpiegowski proces, gadają chłopaki w szkole, a ja nigdy jeszcze nie byłem w sądzie. (...)

— Za małyś, żeby już się po sądach włóczyć — powiedział ojciec, i Piotruś ochłodził.

— No to powiedz mi, tata, jedno, bo nikt mi tego nie umie wytłumaczyć — powiedział z miną człowieka dorosłego, marszcząc czoło i ściągając cieniutkie jak nitki brwi. — Ten Kurt na przykład. Prawda, że robił wszystko, by nam Szczecin odebrać, tak? To jest faszysta i można go zrozumieć — ale, żeby pomagali mu w tym Polacy, to...

Zadrżał mimo woli na ostry dźwięk dzwonka.

— Leć, otwórz, Piotruś. To na pewno mamusia.

Piotruś wrócił po chwili nie z Jadwigą, a z zupełnie obcą jakąś kobietą. Była młoda, niebrzydka, zaczerwieniona od wysiłku, bo dźwigała dosyć dużą walizkę i wypchaną podróżną torbę.

— Ja bym chciała zobaczyć się z Kondrackim — rzekła z lekkim zakłopotaniem widząc przed sobą nie Edwarda, a obcego mężczyznę.

— W tej chwili nie można mu przeszkadzać. Z roboty niedawno wrócił. Śpi.

Kobieta postawiła w hallu walizkę i wielką torbę. Potarla dłoń o dłoń — bo ręce jej od ciężaru ścierpły, a potem powiedziała:

— Ja, widzicie, z dalekiej drogi, on mnie tu wezwał i...

Te słowa powiedziały Radkowi wszystko. Helcia — pomyślał i bardzo się ucieszył, że przyjechała teraz właśnie, gdy Kondracki pracuje nad wynalazkiem właściwie już skończył, a nie tydzień czy miesiąc temu, kiedy to tkwił po uszy w tym swoim nowym dźwigu, bezustannie coś usprawniając.

— Idź, obudź wujka, Piotruś! Powiedz, że przyjechała...

— Helcia — dokończyła z uśmiechem kobieta.

— Wiedziałem — uśmiechnął się także Radek. — Tyle o pani mówił, tyle lat przecież na panią czekał...

Zrobiła bardzo zdziwioną minę, ale tego nie zauważył, bo w drzwiach stanął właśnie Kondracki — zaspany, ze zmierzwioną czupryną i oczyma zaszły mi jeszcze jak gdyby mgiełką snu. Wyciągając do kobiety ręce powiedział:

— No, jesteś wreszcie, Helcia, a myślałem, że ty...

— A dziecko? — przerwał Radek, bo dopiero teraz sobie przypomniał, że Edward ma przecież także syna. Syn miałby chyba w tej chwili tyle już lat co Piotruś, a kto wie czy nie więcej...

Kondracki spojrział najpierw jakoś bardzo znacząco na swoją Helcię, a potem zrobił szelmowskie oko do przyjaciela.

— Poczekaj. Nie pal się. Dziecko przecież nie zajac... Grunt że jest Helcia, nie?... Ale kobita! — mrugnął znowu patrząc to na Helcię, to na Franciszka. — W dechę! (...)

Gdzieś daleko tarabanił głucho, jakby pod ziemią bęben. Piotruś skoczył do otwartego na oścież okna.

— To już druga dzisiaj wiosenna burza — powiedział Radek, ale chłopak zaraz sprostował:

— Nie burza, a orkiestra. Wojskowa. W dechę... A może skreśli, tata? To dopiero byłoby fajnie, co?... Skrecają! — aż podskoczył z uciechy. — Żołnierze! Chodźcie no tutaj, przedziej! (...)

Jak wtedy — pomyślał Radek. — W tamtym kwietniu, dziesięć lat wstecz, gdy ulicami zrujnowanego miasta szli żołnierze radzieccy, oswobodzwszy Szczecin... Stał podwówczas nad Odrą, powiewała na wieży biało-czerwona flaga, promienie wiosennego słońca tak pięknie załamywały się w potrzaskanych witrynach, w resztkach szyb wspaniałych gotyckich okien byłego „Regierungsgebäude”, na wałach tryumfowała radość z odniesionego nad faszystą zwycięstwa, a on czuł się wtedy jak żebrak — okaleczały żołnierz bez karabinu i bez orła na furażerce. Żołnierz, którego los powstrzymał nagle w tym wspaniałym zwycięskim marszu, któremu nie pozwolił zwyciężyć aż do samego końca... Nie pozwolił? Powstrzymał?... A to, że zwyciężył samego siebie! Że postanowił żyć mimo wszystko, by walczyć z takim ukrytym wrogiem jak na przykład Kurt Wolff, jak Jaworski i Śmigła! Że przewycięził tyle, a zaprzysiągł sobie solennie w duchu — przewyciężać każdą trudność na obranej przez siebie drodze — to nie zwycięstwo?...

Rozmyślenia przerwał mu znowu Piotruś:

— Popatrz, tata, jaki fajny ten bas! — Nadął mocno policzki, usiłując wydać dźwięk podobny do tego, jakim grzmiał na całe Pogodno basista, ale mu to nie wyszło. — Popatrz! Kwiaty mają nawet na czapkach. Wyglądają jak ośnieżeni.

— „Wiosna w plecaku” — powiedział cicho Radek.

— Tak niby jak tamta, a jaka, brachu, inna... Ale tamta pomimo wszystko — też była w dechę, nie?...

MARIAN TOMASZEWSKI w Szczecinie (1945-1950)

W grupie artystów — pionierów założycieli współczesnego środowiska plastycznego w Szczecinie Marian Tomaszewski był z całą pewnością postacią czołową. Dzieliące nas od daty powstania środowiska 35-lecie — to czas na tyle długi, że trójki koryfeusza pierwszych szczecińskich wystaw nie ma już wśród żyjących, dożyli za ledwie wieku emerytalnego. W momencie osiedlenia się w Szczecinie w 1945 r. Marian Tomaszewski, Kazimierz Podsadecki, Zenon Konowicz byli artystami, którzy ledwo coby przekroczyli czterdziesty rok życia, a więc w pełni sił, w pełni dyspozycji twórczych. Oznaczało to również, że jeszcze przed długim mrocznym czasem okupacji dane im było rozwinąć indywidualną twórczość na tyle, by znaleźć się wśród nazwisk wymienianych w publikacjach dotyczących sztuki polskiej dwudziestolecia międzywojennego. Wiodąca rola koloryzmu sprawiła, że najwcześniej z uznaniem spotkał się Konowicz. Teraz dopiero o pozyskanie kompozycji z lat trzydziestych Podsadeckiego ubiegają się muzea, natomiast Tomaszewski, choć reprezentowany zespołem obrazów w warszawskim Muzeum Narodowym, wciąż jeszcze nie doczekał się uznania, na jakie zasługuje. Indywidualizm także i w sztuce ma określoną cenę, artysta był tego świadomy, mimo to w odniesieniu do własnych poczynań w sztuce był konsekwentny i wierny raz obranej drodze, choć podejrzewam, że ci, którzy go znali w Szczecinie, pocztywali jego dobroć, koleżeńskość, bezinteresowność, powiedzmy — za oznakę słabości.

Tomaszewski urodził się w Moskwie w 1904 r. Studia w Akademii Sztuk Pięknych odbył w Warszawie, po czym równoległe z pracą twórczą podjął działalność pedagogiczną ucząc malarstwa i rysunku w szkołach średnich. Dyplom pedagoga uzyskał tuż przed wojną w 1939 r. Wyzwolenie zastało go w Lublinie; tam w 1944 r. współuczestniczył w organizowaniu Związ-

ku Artystów Plastyków, gdzie wybrano go na prezesa. Delegowany przez Zarząd Główny Związku 15 września 1945 r. przybył do Szczecina w celu zorganizowania środowiska plastycznego. W niecały miesiąc później szczeciński Związek Zawodowy Polskich Artystów Plastyków zalegalizował swe istnienie.

Rozpatrując ożywioną działalność Tomaszewskiego z tamtego okresu zdawać by się mogło, że poczynania organizacyjne wypełniały mu czas bez reszty. W sprawach kultury wszędzie był obecny, zawsze jednak usuwając się w cień, jakby na drugi plan — poprzestając na roli członka zarządu w Związku Plastyków, szeregowego pracownika Urzędu Wojewódzkiego (referent do spraw plastyki), współtwórca inspirowanych przez niego zespołowych realizacji plastycznych. Z jednym wyjątkiem — objęcie dyrekcji Państwowego Ogniska Plastycznego, do którego powstania udało mu się doprowadzić jeszcze w 1945 r.

Również w 1945 r. spotyka go cios. Na otwartej 9 grudnia pierwszej Pionierskiej Wystawie Związku Polskich Artystów Plastyków, będącej głównie prezentacją dorobku twórczego z czasów wojny Tomaszewskiego i Podsadeckiego, wybucha częsty w owym czasie pożar, obaj tracą wszystko. W archiwalnej korespondencji ZPAP w jednym z szeregu pism, w których prezes Lech Krzekotowski występował o przyznanie zasiłku pieniężnego dla poszkodowanych, zachował się wykaz strawionych pożarem 28 prac Tomaszewskiego.

W przeważającej części treścią zniszczonych prac była wojna i okupacja. Jednakże obrachunek z okupacyjną przeszłością nie został tym samym zamknięty, w następnych miesiącach powstały prace „Potępienie publicznych egzekucji”, „Wisielcy”, projekty witraży „Ludobójcy”, „Więźni nr 1726173”, eksponowane na

drugiej z kolei wystawie związkowej w grudniu 1946 r. Rzecz godna uwagi — artysta był jednym z niewielu polskich twórców, którzy rezygnując z dokumentalnych opisowych relacji zniszczeń i zbrodni, podjęli już wówczas wysiłek uogólnienia treści w lapidarny zwarty układ form potęgujących ekspresję oddziaływania.

Tomaszewski podjął temat historyczny związków słowiańskiego Szczecina i Pomorza Zachodniego z Polską. Kompozycje „Bogusław X i Anna Jagiellonka”, „Bolesław Chrobry wbija słupy na Odrze”, „Jan z Kolna” powstawały w latach 1946—1949 stanowiąc w malarstwie ton współbrzmiający z publikacjami historyków o losach tych ziem, utworami poetów i pisarzy. Niewiele z tych prac przetrwało do dziś. Polichromie o temacie historycznym w Urzędzie Wojewódzkim zostały zamalowane, jedynie kompozycja Tomaszewskiego „Jan z Kolna” realizowana wspólnie z kolegami w obecnym foyer Teatru Współczesnego oraz projekt witrażu „Bolesław Chrobry na Pomorzu Zachodnim” w zbiorach Muzeum Narodowego pozwalają docenić tamte dokonania wytrzymujące kryteria artystyczne bez stosowania taryfy ulgowej.

Osobne i niemniej ważne miejsce w twórczości Tomaszewskiego zajmowała tematyka aktualna. Zdarzało się, że aktualne treści podnosił do rangi symbolu. Przecież jak z „Arki Noego” wychodzili raz po raz na szczecińskie nadbrzeże ludzie wracający z potopu wojennej tułaczki, rozkwitanie życia na rumowiskach gruzu przywodziło na myśl „Stworzenie świata” na nowo. Najczęściej jednak odbywało się bez takich odniesień. Zrealizował już w 1946 r. kompozycję „Polacy osiedlają Szczecin”. „Norma wyżej” utrwaliła także znamienne dla tamtych lat hasło. Obraz ten, podobnie jak i „Arka Noego” pozyskana jeszcze w 1946 r., znajduje się wraz z dwudziestoma kilkoma kompozycjami w zbiorach szczecińskiego Muzeum Narodowego.

Podejmując omówione wyżej ciągi tematyczne Tomaszewski wykazał zrozumienie potrzeb społeczeństwa. Zajmował w tym względzie stanowisko odosobnione, większość bowiem malarzy nie tylko w Szczecinie powróciła do uprawianego w latach dwudziestych pejzażu, martwej natury, najczęściej w konwencji koloryzmu. To wskazanie drogi, tyżące ważnych społecznie treści, wydaje mi się ogromną zasługą Tomaszewskiego, mimo że tematyka nie została wówczas przez innych podjęta, a narzucone w trzy lata później programowe hasła socrealizmu wykrzywiły ideę odbijaną następnie w krzywym zwierciadle nieudolnej przedstawieniowości godząc tym boleśniej w artystę. To właśnie on obwołany został w Szczecinie w 1949 r. czołowym reprezentantem formalizmu i w rok później opuścił miasto. Jeśliby słowo „formalista” rozumieć jako „artysta koncentrujący dążenia na zagadnieniach formy” — Tomaszewski był nim bez wątpienia. Uogólniając i syntetyzując kształty rozgraniczał swe poczynania: w kompozycjach ściennych — przykładem tu jest „Jan z Kolna”, gdzie przedmiotowy realizm w pełni jest respektowany; jednoplanowe projekty witraży jak „Bolesław Chrobry” działają sugestywnie właśnie dzięki uogólnieniu przestylizowanych nieco postaci; dopiero w obrazach przeznaczonych na wystawy formułował swój stosunek do zagadnień formy i przestrzeni w sposób konsekwentny i rzeczowy nawiązując do osiągnięć kubizmu syntetycznego. Jeszcze dziś w artykułach szczecińskiej prasy z tamtych lat pozostały echa dyskusji i polemik dotyczących eksponowanych właśnie przez Tomaszewskiego kompozycji. To one skupiały uwagę, wywoływały twórczy ferment tak ważny dla nowo kształtującego się środowiska.

BOLESŁAW ROSIŃSKI

W karykaturze L. Piosickiego:



Jerzy Jurczyk

GUIDO RECK

Szczecinianom postać Guido Recka jest doskonale znana. Należy on do tych mieszkańców naszego miasta, którzy od pierwszych lat po wojnie, poprzez swą ogromną aktywność współtworzyli obecny kształt Szczecina. Trzydziestotrzyletnia działalność Guido Recka w Szczecinie dotyczy sfery kultury, a ściślej mówiąc — sztuki.

Na pytanie, kim jest Guido Reck, trudno odpowiedzieć jednoznacznie. Dla jednych będzie on przede wszystkim malarzem. Znajdzie się jednakże spora liczba osób, dla których Guido Reck to w pierwszym rzędzie nauczyciel. Nie zabraknie także ludzi, którym nazwisko Recka kojarzy się z autorem licznych publikacji o sztuce drukowanych w prasie szczecińskiej. A za kogo on sam siebie uważa przede wszystkim? Myślę, że odpowiedziałby: JESTEM MALARZEM!

Guido Olgierd Tadeusz Reck urodził się 13 maja 1919 roku w Kopyczyńcach w województwie tarnopolskim. Gimnazjum ukończył we Lwowie. Tam też rozpoczął studia w Państwowym Instytucie Sztuk Plastycznych. Studiował pod kierunkiem prof. Antoniego Michalaka, popularnego malarza okresu międzywojennego, należącego do Bractwa św. Łukasza. PISP ukończył w 1939 roku. Po zajęciu Polski przez Hitlera, podejmuje decyzję ucieczki do Francji. Poprzez Węgry i Jugosławię dociera do Marsylii.

„Był styczeń 1940 roku. Za mną zostały słoneczne o tej porze roku wybrzeża Adriatyku i Split, skąd udałem się do Francji na okręcie greckim „Patris Malta” w drogę do Marsylii.

Podróż była niezbyt przyjemna, na wysokości Messyny świeciło jeszcze słońce, ale gdy przeptywaliśmy w pobliżu Korsyki i Sardynii dosięgnął nas duży sztorm, który omal nie spowodował zatopienia okrętu. „Patris Malta”, zanurzony był jedną burzą w wodzie, dołynął jednak do portu przeznaczenia. Po zejściu ze statku skierowaliśmy się do kasarni strzelców senezańskich, gdzie wyznaczono pierwszy etap pobytu. Marsylia wydawała mi się piękną, szczególnie w nocy, kiedy przemierzać można było starą dzielnicę Vieux Portu, mającą nieodpartą urok, która oglądana z Notre Dame de la Garde rysowała się wyraźnie na tle błękitu morza. Stara Marsylia, niegdyś port Fenicjan, to jedno z głównych połączeń Francji z koloniami.

W parę dni później znalazłem się w Camp de Carpiagne, w obozie rodzicielskim położonym na skalistym wznieśieniu, a 15 stycznia 1940 roku zostałem zmobilizowany w Parthenay. Przydzielono mnie na skutek wyboru pułkownika Święcickiego do Dywizjonu Rozpoznawczego Ułanów Ziemi Wileńskiej utworzonego w 1940 roku w Theznay Departament Deux-Servres. (...) 26 lutego 1940 roku w Chapelle Bertrant, w pobliżu murów starego imponującego zamczyska, defiladę młodych oddziałów przyjął generał Sikorski. Defilowały poszczególne oddziały, szliśmy z myślą o walce pod dowództwem doskonałego i doświadczonego wodza, rozumiejącego problemy sprawy polskiej. Sikorski stał na wznieśieniu w otoczeniu oficerów sztabu polskiego i generalicji francuskiej, uśmiechając się życzliwie do żołnierzy”.

„Dano nam szable napoleońskie” — taką tytułował Guido Reck swoje wspomnienia drukowane w „Głosie Szczecińskim” 7 kwietnia 1977 roku. Opisał wówczas pierwsze dni służby w wojsku polskim we Francji, do którego zgłosił się jako ochotnik. Artykuł „W smugach porannej mgły” drukowany 11 sierpnia 1977 roku to jakby opis drugiego aktu dramatu wojsk polskich:

„(...) Mielśmy do wyboru poddanie się lub też przejście małymi grupami na południe Francji. To mogło się udać tylko szwadronom zmotoryzowanym z uwagi na ich dużą szybkość i siłę ognia.

Niektórzy ułani dotoczyli się do kolumny samochodowej. My w czternastu żołnierzy, zabierając ze sobą odpowiednią ilość broni, amunicji i najlepsze konie szwadronu, wyruszyliśmy w lasy Wogezów z prawdziwie polskim zamiarem partyzantki pod dowództwem hallerczyka por. Rawy. Nie trwało to jednak zbyt długo. Szereg wąskich kanałów wysoko murowanych i mosty strzeżone przez silne placówki niemieckie, nie pozwalały nam na poruszanie się w terenie. W kilka dni później zrezygnowaliśmy z naszych zamiarów i zabierając pewną ilość broni, ruszyliśmy w kierunku granicy szwajcarskiej, ścieżkami góorskimi i leśnymi, pozostawiając za sobą piękne konie, marzenia o walce i szable historyczne. Nad ranem 4 lipca 1940 roku przeszliśmy z bronią w ręku granicę szwajcarską koło miejscowości Pruntrut”.

W Szwajcarii Guido Reck spędził aż siedem lat. Mieszkał w obozie wojskowym w Winterthur koło Zurychu. Polskim żołnierzom umożliwiono podjęcie studiów. Składając szable napoleońskie, sięgnęli po inny oręż: wiedzę. Uzbrajali się w nią, myśląc o odbudowie Ojczyzny.

Reck zapisał się na Politechnikę Związkową w Zurychu, gdzie studiował rysunek odręczny oraz na Wydział Filozoficzny tamtejszego Uniwersytetu, aby studiować historię sztuki u prof. Gottharda Jedlicki. Równocześnie samodzielnie studiował malarstwo. W 1947 roku otrzymał list z Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Szczecinie z propozycją objęcia stanowiska starszego asystenta w katedrze historii sztuki. Zanim przybył do Polski odbył jeszcze podróż do Holandii i Belgii, zwiedzając galerie i zbiory w Amsterdamie, Hadze, Rotterdamie, Brukseli.

W Szczecinie znalazł środowisko plastyczne niewielkie wprawdzie, ale

znaczące. (O początkach plastyki szczecińskiej pisze Jadwiga Najdowa w szkicu o Marianie Tomaszewskim). Początkowo koncentruje się na pracy w katedrze historii sztuki WSI jest także kuratorem biblioteki. Jednakże temperament malarza i pedagoga oraz działacza Związku Polskich Artystów Plastyków — w 1948 roku zostaje wiceprezesem Zarządu Okręgu — każe mu myśleć o zorganizowaniu szkoły plastycznej. Ambicje Guido Recka sięgają bardzo wysoko. Przymierza się do uczelni wyższej. Marzyciel zostaje sprowadzony na ziemię. Uduje się jednakże doprowadzić mu do powołania w 1948 roku Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych, którego zostaje dyrektorem. W 1950 roku dojeżdża do Koszalina, pomagając założyć tam Ognisko Plastyczne. Pracę w Liceum przerywa w 1951 roku i obejmuje stanowisko kierownika katedry rysunku odręcznego w WSI. W związku z przeniesieniem Wydziału Architektury do Gdańska powraca do Liceum. Aż do 1970 roku będzie zajmował stanowisko wicedyrektora do spraw artystycznych. Dyrektorem zostaje w 1970 roku i piastuje to stanowisko do czasu przejścia na emeryturę w 1979 roku. Organizuje w tym czasie międzynarodowe plenery uczniów szkół artystycznych oraz doprowadza do nadania PLSP imienia C. Brancusiego.

Trzydzieści trzy szczecińskie lata Guido Recka to okres wypełniony bardzo intensywnie. Oprócz pracy artystycznej i pedagogicznej wiele czasu poświęca działalności związkowej. Jest wybierany do Zarządu Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków. Pełni obowiązki członka Komisji Artystycznej ZPAP i Kolegium Rzecznawców Pracowni Sztuk Plastycznych. Działa w komisji Cen „Desy” i w komisji zakupów WRN. Wysyła korespondencje do Biuletynu ZPAP. W Zarządzie Głównym ZPAP jest członkiem sądu koleżeńskiego. Należy do oficjalnych delegacji ZG ZPAP oraz MKiS. Jako radny przewodniczy Komisji Kultury MRN. Jest członkiem komitetu kultury WRN. W 1965 roku wspólnie z Henrykiem Naruszewiczem doprowadza do zorganizowania w Szczecinie Prezentacji Malarzy Krajo- socjalistycznych. Należy do współzałożycieli Szczecińskiego Towarzystwa Kultury. Jako działacz PZPR pracuje w Zespole Oświaty i Kultury przy KM oraz w Komitecie Środowiskowym Kultury. Należy do zarządu Towarzystwa Rozwoju Ognisk Artystycznych.

Niezwykle bogaty jest także rejestr wystaw krajowych i zagranicznych, w

GUIDO RECK — „W cyrku” — olej (własność Muzeum Narodowego w Szczecinie)



Fot. W. Termanowski

GUIDO RECK — „Przejażdżka inwalidy” — olej (własność Muzeum Narodowego w Szczecinie)



Fot. W. Termanowski

których uczestniczył. Prace jego są rozrzucone po całym świecie.

Mówiąc na początku o Recku wyłączenie jako o malarzu bardzo zubożyłem jego sylwetkę twórczą. Równie ważną rolę odgrywa u niego przecież rysunek rozumiany jako autonomiczna forma wypowiedzi. Już w 1949 roku uzyskuje nagrodę za tekę rysunków „Port Szczecin”, a w 1955 zdobywa I nagrodę w konkursie na prace o tematyce szczecińskiej za cykl rysunków teatralnych. W 1957 roku na wystawie retrospektywnej z lat 1947—1957 zaprezentował rysunki ze Szwajcarii, Holandii, Bułgarii, Czechosłowacji, Niemiec, Kazimierza nad Wisłą, Szczecina oraz rysunki teatralne i ilustracyjne dla prasy. Ostatnia szczecińska wystawa z listopada 1979 roku, podobnie jak wiele poprzednich, zawierała malarstwo i rysunek.

Pierwsze nauki malarskie pobierał Guido Reck u „Łukaszwca” Antoniego Michalaka. Odwołując się do stylów historycznych, członkowie Bractwa św. Łukasza w swoim klasycyzmie byli programowymi przeciwnikami wartości kolorystycznych, które niósł z sobą impresjonizm, fowizm lub ekspresjonizm. Tworzyli swoje kompozycje figuralne na wzór malarzy renesansowych, jakby nie widząc tego, co działo się wokół nich. W Szwajcarii Guido Reck wkroczył w inny świat. W świat koloru. Szczególny wpływ wywarł na niego Bonnard, którego obraz kopiował.

Patrząc na obrazy i rysunki Guido Recka można go o wszystko posądzić, ale nie o skłonność do klasycyzmu. Przeczy temu rozwibrowanie i dynamika prac tego malarza.

Artysta w ostatnim katalogu przedrukował fragmenty, cenionej przez siebie, przedmowy Krystyny Kroman do katalogu wystawy zorganizowanej na XXV-lecie PRL w Stargardzie Szczecińskim:

„Zdumiewająca jest rozpiętość skali barwnej i swoboda z jaką twórca wypowiada się w swoich kolorystycznych kompozycjach. Utrzymując obrazy w bogatych tonacjach czerwieni, błękitów, ugrów przez wprowadzenie silniejszych akcentów czerwieni lub żółcieni do rozbudowanych kontrastowych mas kolorystycznych rozjarza obraz, nadaje mu dramatyczne napięcie lub przez wprowadzenie barw chłodnych uzyskuje głębię i harmonijną jedność. I ten żarzący się błękit i płomienna czerwień, to symbol niejako twórczości artysty, twórczości pełnej zmysłowo-żywiłowej witalności. Gama barwna obrazów wydaje się być

tworzona z nieomylną pewnością każdego efektu, każdego zestawienia. Zestawienia te są frapujące, ryzykowne, lecz zawsze trafne. Czujemy, że te kolorystyczne układy oparte są na doświadczeniach całych pokoleń dobrego malarstwa, że są kontynuacją świetnej szkoły polskiego koloryzmu, a szukając głębiej proveniencji tego stylu — nawiązywaniem do doświadczeń francuskich postimpresjonistów.

Sensualistyczna i afirmująca postawa malarza wobec życia określa nie tylko kolorystykę obrazów. Z niej wynikają również dekoracyjne kompozycje bliskie barokowym formom oraz przetransponowane na język malarski impresje inspirowane przez teatr i cyrk, gdzie zasadniczym motywem jest ruch”.

Krystyna Kroman trafnie podkreśliła zmysłowość malarstwa Guido Recka, który tworzy swe obrazy w sposób impulsywny, wyraźnie improwizując. A jednak nie ma w tym malarstwie skłonności do abstrakcji. Arytście potrzebne są konkretne realia, które traktuje jako punkt wyjścia do kompozycji, w których ów pierwotny motyw nie zawsze ujawnia się w sposób czytelny dla widza.

Zadziwiające, że będąc wytrawnym koneserem dawnej sztuki, Reck nie uprawia tak modnego obecnie cytowania i transponowania prac dawnych mistrzów. Wystarcza mu zapewne pasja kolekcjonerska i wizyty w muzeach. Swoją fascynację dawnym malarstwem, grafiką czy rzemiosłem artystycznym Guido Reck potrafi przekazać w sposób barwny i zajmujący. W opracowanej przez Instytut Kształcenia Nauczycieli i Badań Oświatowych w Szczecinie bibliografii publikacji szczecińskich pedagogów, pod hasłem Guido Reck znajdujemy ponad 300 artykułów. Są wśród nich recenzje plastyczne i teatralne oraz bardzo ciekawe cykle prezentujące słynne muzea i kolekcje na świecie. Pisał o nich Guido Reck w oparciu o doświadczenia z własnych podróży.

Z wyraźnym sentymentem i wzruszeniem powraca Reck do Winterthuru, gdzie odbyła się jego pierwsza wystawa i gdzie kopiował obraz Bonnarda z prywatnej kolekcji Hahnloser — Buehler. Cykl tych artykułów był drukowany w 1958 roku w „7-mym Głosie Tygodnia”. Pisał Reck i o swych kolegach, i o wielkich twórcach przeszłości i współczesności. Z tonu jego publikacji wynika intencja zainteresowania czytelnika, oswojenia go z problemami sztuki i wzbudzenia w nim trwałego zainteresowania. Nie przybierał poży mentora czy krytyka. Starał

się objaśniać i tłumaczyć w sposób maksymalnie przystępny, z właściwym sobie poczuciem humoru. Mówiąc o własnych pracach staje się bardziej poważny, tak jak w liście do widzów swej wystawy z 1973 roku:

„Gościu, zwiedzający moją wystawę! Jeżeli miałeś nadzieję zobaczyć sztukę awangardową, a zastateś współczesną, poświęć jej trochę uwagi. Wybrawszy po różnych wahaniach formę plastycznej wypowiedzi wyrażam w niej moje reakcje na rzeczy widziane, na wydarzenia i przeżycia, które równocześnie powstają. Chcąc otrząsnąć się z seryjności i nacisku wielu środków przekazu inspirowanych koncepcje plastyczne, pragnę kontemplacji. Z niej powstałe rysunki, będące przedmiotem doznań naszego dzisiejszego spotkania niech nam przybliżą rzeczywistość poprzez aluzyjność formy. W intymności tego spotkania odnajdziesz samego siebie.

Rysunki mające coś z grafologicznie odczytanego znaku przedstawiają moje widzenie rzeczy, ludzi. Są wyrazem chęci uchwycenia i utrwalenia w realnej formie graficznej przemijających obrazów. Chcę je przekazać twemu przeżyciu jako oddźwięk sztuki kierującej się własnymi prawami. Niech więc zatrzymają Cię one w kameralności sali muzealnej i wyzwolą refleksje, będące częścią nastrojów naszego spotkania. Wiele moich podróży nauczyło mnie patrzeć na różne kierunki jako kontrowersyjne, poddane prawom indywidualnego kształtowania wewnętrznego osobowości artysty i czasu, w którym tworzy oraz prawom indywidualnej oceny widza. Być może, że w kręgu kontrowersyjności znajduje się i moja sztuka, ale niech i to stanie się pozytywną reakcją na przekazane przeze mnie prace, którymi chcę zaangażować widza w moje problemy tworzenia własnego świata wizji artystycznej.

G. R.”

Guido Reck odznaczony został wieloma medalami, między innymi: w 1956 roku Złotym Krzyżem Zasługi, a w 1973 roku Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski oraz w 1955 roku medalem X-lecia PRL. W 1978 roku otrzymał Medal Komisji Edukacji Narodowej. Ponadto posiada Złotego Gryfa Pomorskiego i Złotą Odznakę Związku Polskich Artystów Plastyków oraz odznaki: Zasłużonego Działacza Kultury i Opiekuna Pomników Pamięci Narodowej.

STANISŁAW TELEGA

CZ. I

Od Władywostoku do Szczecina

Listy, listy... Oto mam przed sobą 132 listy i 35 pocztówek, które otrzymałem od Niego w ciągu całej naszej ponad dwudziestoletniej przyjaźni. Od pierwszego wywiadu w 1948 roku, w «Odrze» (katowickiej), do czasu ciężkiej choroby, kiedy jeszcze mógł utrzymać długopis w ręku i skreślić ostatni list w 1969 roku na parę miesięcy przed śmiercią. W listach tych dużo spraw. Dałoby się wyszczególnić zwłaszcza literackie, o nim i innych pisarzach, o środowisku szczecińskim i warszawskim, o różnych ciekawych ludziach, o zakulisowych sprawach politycznych i społecznych. Ale o tym kiedy indziej.

Teraz uderza mnie ta właśnie jedna, przedziwna sprawa — jego zafascynowanie Szczecinem — miastem, Szczecinem — krajobrazem, Szczecinem — i jego przymorzem jako nowym materiałem twórczości. A poprzez to wszystko wije się jak czerwona nić — szczególne urzeczenie, sentyment czy, jak chcą niektórzy, miłość do miasta, jaką nie darzył tego miasta żaden inny pisarz.

Wtedy nie zwracałem na to specjalnej uwagi, teraz, w dziesiątą rocznicę jego śmierci, po skonfrontowaniu niezliczonych rozmów, spotkań, dyskusji, książek wreszcie z pewnymi fragmentami listów, a więc z dokumentami, wyłania się ten stosunek do miasta jako frapujące zagadnienie, jako jeszcze jeden ważny przyczynek do jego tradycji i wielu spraw daleko większej miary.

A zaczyna się to wszystko od pierwszego listu i pierwszego wywiadu w 1948 roku i znajduje swoje wzruszające, bardzo osobiste wyznanie w dedykacji na książce W. Sieroszewskiego «Dwanaście lat w kraju Jakutów», wydanej w języku polskim w 1900 roku. Dedykacja — „Stanisławowi Teledze, od którego zaczął się «mój Szczecin», na pamiątkę dwudziestolecia naszego bok-obok. Szczecin, maj 1967 — Stanisław Maria Saliński”.

To „dwudziestolecie naszego bok-obok” zaczęło się w 1947 roku, kiedy zwróciłem się do niego po raz pierwszy o wywiad, który ukazał się w następnym roku jako pierwszy w cyklu «Rozmowy z marynistami». W jednym z listów tego okresu (17 czerwca 1948 roku) znalazło się znamienne wyznanie.

„Domyślałem się, że adres mój, tak szczegółowy, zdobył Pan od K. I. Gałczyńskiego. Jeśli Pan komunikował się z nim ostatnio, wie Pan zapewne od niego, że planem moim, ku którego realizacji zmierzam, mimo wszelkich trudności, jest osiedlenie się przynajmniej od bieżącej jesieni w Szczecinie*. Przypuszczam, że tam przydałbym się więcej jako do pewnego stopnia pióro morskie i — bez megalomanii — stałbym się o wiele pożyteczniejszy niż jako anonimowy, warszawski dziennikarz. Jeśli uda mi się ten zwrot w moim życiu wykonać pomyślnie (zależy częściowo od jakiegokolwiek posady w Szczecinie) — będę bardzo rad być blisko Pana i «Odry».”

A więc jeszcze jeden akces do Szczecina w okresie jego złotej legendy o wielkich pisarzach. Tym znamiennejszy, że autor «Opowieści morskich» był najbliższym przyjacielem Gałczyńskiego, jego artystycznym alter ego, mlecznym bratem z cyganerii kwadrygowskiej, pisarzem o tak samo spontanicznej, wyczułonej wyobraźni i wrażliwości na wszystkie barwy i muzyczności świata, na kontrasty, paradoksy, a szczególnie na wszelkie uduziwnienia i cudowności w życiu i twórczości. Dlatego ten akces do Szczecina nie był przypadkowy i chwilowy. Jeszcze w styczniu 1949 roku pisał do mnie:

„Przed kilku dniami wysłałem na ręce Pana Doktora reportażyk do cyklu «Światła portowe» o Kopenhadze. Nie bardzo mi się udał, ale mam nadzieję, że następny, który wyślę w tych dniach, będzie lepszy. Teraz inna sprawa — nie wiem, czy w Pańskim «resorcie» są również kwadransy czy dziesięciominutówki literackie. Gdyby tak i gdyby potrzebował Pan coś literackiego, a nie miał nic lepszego pod

* Wszystkie wyróżnienia tekstów w listach pochodzą od autora artykułu.

ręką — załączam małą nowelkę... «Kurs na Szczecin» trzymam nadal. Jak tylko nieco wydobrzeje, chcę przyjechać na kilka dni do Szczecina. Może uda się w tym miesiącu. Serdecznie ściskam dłoń» (13 stycznia 1949 r.).

Oczywiście, umieszczałem wszystko na antenie, co nad-
syłał, choć nie było to łatwe. Brzmi to paradoksalnie, ale
tak było. Mieliśmy wówczas naczelnika programowego,
advokata z wykształcenia, niejakiego Rubinsteina, który
uznawał tylko dwóch współczesnych pisarzy — Tuwima
i Broniewskiego. Wobec wszystkich innych był podejrzliwy
i klasowo uczulony. Pamiętam, że nie chciał mi raz puścić
na antenę jakiejś audycji Gałczyńskiego czy o Gałczyńskim.
To był dla niego ukryty faszysta, wróg numer jeden, mimo
faworów i łask u wojewody. Cóż było robić? Wymyśliłem
diabelski fortel i na świadków wezwałem W. Lachnitta
i T. Karpowicza, pracujących wówczas z mną w Roz-
głośni Szczecińskiej. Akurat przyjechał do Szczecina „sam”
Broniewski i miał w radiu jakąś audycję. Wprowadziłem
więc Broniewskiego i dwóch moich radiowych kumpi do po-
koju chudego, małego naczelnika Rubinsteina, i po ogólnym
omówieniu audycji poprosiłem Broniewskiego o odpowiedź
na dwa pytania. Pierwsze — czy poeta musi pisać tylko o
rewolucji społecznej i unikać np. wierszy o miłości lub kwia-
tach? Drugie — czy Gałczyński jest poetą postępowym, god-
nym naszej anteny szczecińskiej? Pamiętam do dziś twarz
Broniewskiego, nagle zwichrzoną gniewem i wrogością.
Podejrzał widocznie jakąś prowokację w tych pytaniach,
więc odpowiedział z tym większym naciskiem. „Nie, proszę
pana, poeta nie tylko może, ale powinien pisać o miłości
i kwiatach, a Gałczyński jest wielkim, postępowym poetą”.

Wtedy wielki naczelnik małej rozgłośni dostał nerwowe-
go tik, który go zawsze chwycił w chwili zdenerwowania,
ja zaś nie umiałem ukryć szelmowskiego uśmiechu, na
szczęście W. Lachnitt, dyplomata z natury i nawyku, tak
wszystko ułagodził w dialektycznym wywodzie, tak po-
czarował i poróżwił, że nawet kamienny spokój twarzy
Karpowicza miał tu swój pozytywny dialektyczno-poetycki
„wydźwięk”. Z audycją o Gałczyńskim nie miałem oczy-
wiście potem kłopotu.

Więc i z Salińskim nie było łatwo, za dużo w nim było,
według naczelnika, szumów i wiatrów morskich, a za mało
treści społecznych. Ale wywód o jego władystockim po-
chodzeniu, o przyjaźni z rosyjskimi pisarzami robił swoje.

Szukałem więc Salińskiemu jakiegoś „punktu zaczepie-
nia” w Szczecinie, aż nadszpedzanie wypłynęła sprawa
przedstawicielstwa czy mutacji «Ekspresu Wieczornego» w
Szczecinie. Sprawa jednak ciągnęła się długo.

„...Zna Pan — pisał do mnie w liście z 10 czerwca 1949 ro-
ku — bałaganiastą wielu spraw u nas, więc i ta grzeźnie
w bałaganie. W związku z tymi projektami były i moje
projekty osobiste, **bo podobno ja miałem jechać do Szczeci-
na**. Było wiele szumu o wielkim piśmie informacyjnym na
Wybrzeżu, mutacji warszawskiego «Ekspresu» itd. i jak na
razie nie wygląda mi to wszystko konkretnie... **Moje plany
co do Szczecina też zawisają w próżni**. Wlepiono mi teraz
nową robotę. «Ekspres Poznański», który robię właściwie
sam i nie bardzo sobie wyobrażam, jak i kiedy z tej robo-
ty wypłacę się”.

A jednak — poza paru odwiedzinami w Rozgłośni — by-
wał w Szczecinie częściej niż przypuszczałem. Nie wiedzia-
łem wówczas, że przyjeżdżał tak często ze szczególnych
względów. Powiedział mi o tym dopiero w wiele lat później.
Otóż chodziło o teściową Gałczyńskiego, z którą wielki
Konstanty miał stale jakieś rodzinne zatargi i w takich
chwilach wzywał Salińskiego w błagalnych listach z prośbą
o mediację. Saliński był osobą pożądaną w tych sporach nie
tylko jako serdeczny przyjaciel, ale przede wszystkim jako...
syn przedwojennego dyplomaty i do tego właściciela małego
mająteczku pod Władystockiem, które to atrybuty bardzo
sobie ceniła teściowa poety. Akcentowała ona mocno swoją
gruzińską „książeczość”, choć opierała ją więcej na pozoro-
wanej własności małego gospodarstwa z kilkudziesięcioma
baranami włącznie, aniżeli na księżęcej krwi. Z tego wzglę-
du jej dostojność księżęca szybciej odnajdowała wspólny
język z dyplomata Salińskim, aniżeli z hołyszem literackim
Konstantym. Ponadto Saliński był z usposobienia, w prze-
ciwieństwie do Gałczyńskiego, człowiekiem niezwykle łą-
godnym, cichym i cierpliwie wysłuchującym cudze żale, do
tego miał nieprzeciętne, jak sam mawiał, „zdolności sza-
mańskie”, ułatwiające mu szybkie odszyfrowywanie istoty
sporów i ich łagodzenie.

W czasie tych nagłych przyjazdów odbywał Saliński
z Gałczyńskim długie, wielogodzinne wędrowki po Szczeci-
nie. Z tych to czasów zapamiętał dobrze Bramę Królewską
jako szczególnie zaniedbane miejsce, służące ulicznym
sprzączkom jako skład mioteł. Nie przypuszczał wtedy
w najśmielszych marzeniach, że w tej właśnie Bramie bę-
dzie odbywał swoje częste spotkania autorskie lub zabiegał
o to, aby — po zamknięciu jej — reaktywowano w niej
działalność Stowarzyszenia Marynistów za rzekowo zbyt
śmiało imprezy i wystąpienia. Szczególnie zaś upodobał
sobie w Szczecinie Wały Chrobrego i amfiteatralny widok
na port przypominający mu Władystock, miejsce swej
młodości, miasto na skrzyżowaniu granic, języków, wierzeń
i konfliktów. Był w tym okresie człowiekiem bardzo smut-
nym, przygnębionym kłopotami życiowymi i dziennikarską
harówką oraz swoją błyskotliwą wprawdzie, ale dwuznaczną
trochę pozycją pisarza sensacyjno-obyczajowego, pod-
pisującego się pseudonimem Jerzego Seweryna, gdy tym-
czasem jego wartościowe maszynopisy literackie wędrowały
bezkutecznie po wydawnictwach.

Świetlne teatrum szczecińskiego portu

Znów przeglądam listy... Między 1949 a 1956 rokiem ist-
nieje całkowita luka w korespondencji. Urywa się kontakt
listowny, choć parokrotnie widywaliśmy się w Warszawie.
W tym okresie był jeszcze bardziej smutny i przygnębiony.
Dopiero po wydaniu „Hieroglifów” i mojej entuzjastycznej
recenzji znów nawiązuje się między nami nie koresponden-
cji, a także znajomości i przyjaźni. Od 1958 roku liczba
listów wzrasta gwałtownie, aby w 1966 roku osiągnąć cyfrę
24 rocznie, mimo niemal comiesięcznych spotkań w Szczeci-
nie.

W liście z 9 lutego 1958 roku pisze:

„Proszę mi wierzyć, że nie mam żadnych powodów, aby
pisać Panu nieprawdę, że do Pana osoby, Pana pisarstwa
i Pana zdań o mnie przywiązuję dużą i głęboką wagę. Nigdy
nie zapomnę, że tytuł «Hieroglify» ukazał się po raz pierw-
szy złożony czcionkami drukarskimi dzięki Panu. Wówczas
ta książka była wielką mgławicą. Gdyby mgławica na zaw-
sze pozostała, a przecież na to zanosilo się — jedynym śla-
dem jej pobytu na tej ziemi byłby ten artykuł Pana ze
wzmianką o «Hieroglifach». I proszę mi wierzyć, że to, co
napisałem w tej dedykacji na «Hieroglifach» o dodawaniu
mi utuchy — to nie jest rzucone na wiatr. Na tym parszy-
wym pokładzie, na którym płynąłem przez ciemne Morze
Zapomnienia, głos Pański był dla mnie od czasu do czasu
sygnałem, że gdzieś jest przecież ład i ludzie. To brzmi
może trochę poetycko, ale tak jest”.

Rzeczywiście, dopiero wtedy uświadomiłem sobie w pełni
przyczyny jego smutku z tamtych lat oraz to, że «Hierogli-
fy» przeleżały się w szufladzie prawie 16 lat, a w wydawnic-
twach ponad 10 lat, zanim, dzięki raczej przypadkowi, uka-
zały się w druku! Dla ambitnego pisarza była to sprawa
pierwszorzędnej wagi. Stąd też może i ten sentyment do
kogoś, kto o tym pisał, a potem wprowadzał w grono gorą-
cych wielbicieli, zapraszał na niezliczone spotkania autor-
skie. **I stąd może sentyment do miasta, z którego ten głos
wyszedł**. Miasta przypominającego mu wciąż tamto rodzinne
miasto nad Pacyfikiem. I dostrzeganie jakiejś łączności mię-
dzy tymi faktami, w których tak lubił doszukiwać się głę-
bszych znaczeń, jakichś mistycznych związków.

Innym, bardzo ważnym czynnikiem „szczeciotwórczym”
był dla niego Festiwal Poezji im. K. I. Gałczyńskiego. Był
w tym Festiwalu i jego współudział, zasiadał przecież co
roku w jego Honorowym Komitecie. Powracał więc niejako
w tych wierszach swego przyjaciela do czasów swej mło-
dości, kiedy większość z tych wierszy powstawała z nim
jednocześnie, w atmosferze wspólnej literackiej cyganerii.
Stąd też liczne prelekcje o Gałczyńskim, m. in. wyświetle-
nie w Klubie „13 Muz” po raz pierwszy w kraju, filmu-
dyplomu o Gałczyńskim, asystentki reżysera, M. Kwiat-
kowskiej z Wyższej Szkoły Filmowej w Łodzi. Aż wreszcie
przyszło to, co go najbardziej wzruszyło, o czym tak mocno
napisał w swej wspomnieniowej książce «Long-play war-
szawski» — nadanie jednemu ze statków nazwiska Gałczyń-
skiego.

„Dwudziestego ósmego października 1964 roku motorowiec
(«Konstanty I. Gałczyński») wracał do Szczecina z próbnego
rejsu na akwenie Bornholmu. O godzinie dziewiętnastej
minęliśmy Świnoujście i weszliśmy na Kanał Piastowski,

o dwudziestej pierwszej byliśmy na trawersie Polic. Przed dziobem motorowca otwierał się jeden z najwspanialszych w moim życiu portów. **Podejście w nocy do Szczecina mogą porównać tylko do podejścia w nocy do Władystoku.** Tam, przy zmianie kursu na nord-ost, po minięciu przylądka Czurkina, otwierał się przed oczami niebywały widok, wręcz czarodziejski amfiteatr światła rozrzuconych na górach. Tu, po minięciu trawersu Polic, **otwierało się przed oczami czarodziejstwo światła — port Szczecin!** Przed dziobem płomieniała luna ogni Skolwina, Stołczyzna, stocznia Warskiego, były w niego ogniste wulkany huty... **Świetlne teatrum szczecińskiego portu było zaiste bardziej feeryczne, niż najbardziej fantastyczne morze borealne**". (s. 70):

Opowiadając mi o tym przeżyciu, jeszcze przed napisaniem wspomnianej tu książki napomknął z zadumą, że marzy o tym, aby kiedyś po jego śmierci, nadano któremuś ze statków jego nazwisko. Wtedy pływałyby z Gałczyńskim po wodach świata mijając się czasem przy wchodzeniu lub wychodzeniu ze szczecińskiego portu. Tuż po jego śmierci, na zebraniu Zarządu Głównego Stowarzyszenia Marynistów zgłosiłem wniosek w tej sprawie przypominając te jego słowa. Wniosek przyjęto. I do dziś go nie zrealizowano. Wobec tego zgłosiłem ponownie ten wniosek w listopadzie 1979 roku w Polskim Towarzystwie Nautologicznym w Gdyni, po moim odczycie o jego twórczości. Wniosek przyjęto. Oby nie podzielił tamtego, szczecińsko-warszawskiego losu.

I tak, od momentu wydania «Hieroglifów» zaczęły się coraz bliższe i coraz serdeczniejsze kontakty Salińskiego ze Szczecinem, z różnymi jego środowiskami, z różnymi miastami i miasteczkami województwa, z ludźmi morza i samym wybrzeżem. A także wydarzył się nieoczekiwany epizod rodzinny — odnalezienie na Pogodnie rodziny dalszych krewnych, pp. Hupów, u których zatrzymywał się potem często na dłuższe okresy. Jednocześnie w jego życiu i twórczości nastąpiły wreszcie jasne momenty, dłuższe chwile szczęścia, wydanie dalszych książek, duże uznanie, lżejsza praca w redakcji, nagrody i powodzenie. Stąd i twarz jego z tego czasu była jasna, uśmiechnięta, coraz bardziej zyczyłiwa wszystkim ludziom. Po «Hieroglifach» (1957) i III wydaniu dawnych «Opowieści morskich» pt. «O Bartłomieju Klimie i hawajskich gitarach» (1957) nastąpiły dalsze książki — «La Paloma» (1959), «Jedenasty list Camilli Colon» (1959), «Anna z Kamienia» (1962), «Nora wychodzi w morze» (1962), «Pożegnanie z Pacyfikiem» (1963, 1965).

Przyjeżdżał więc do nas pisarz o coraz dojrzałszym dorobku twórczym i coraz błyskotliwszym powodzeniu, o pogodnym, dobrym spojrzeniu i niezwykłej życzliwości dla ludzi, szczególnie dla przyjaciół, których krąg powiększał się coraz bardziej, obejmując pisarzy, artystów, ludzi morza, a nawet lekarzy szczecińskich. Jednocześnie dawną ojczyznę młodości znad władystockiego portu, niejednokrotnie bardzo chmurną, zastępować zaczął Szczecin, a w miarę wygarnięcia ostatnich wspomnień z przeszłości w książkach «Ptaki powracają do snów» (1964) i «Long-play warszawski» (1966) — narastało w nim, nieraz podświadomie, poszukiwanie nowych materiałów do nowej twórczości w naszym mieście, naszym krajobrazie i w penetracji naszego środowiska ludzi morza.

Warszawy już nie lubił, nie cierpiał też gór, zostało więc morze, wybrzeże i Szczecin, który w jednej z audycji radiowych w Szczecinie, w 1968 roku, nazwał „miastem krzepiącej nadziei i szerokiego oceanicznego oddechu”.

I tak zaczął narastać w nim sentyment, przyjaźń czy nawet, jak chcą niektórzy, miłość do naszego miasta.

W liście z 19 kwietnia 1962 roku pisząc o pewnych zdjęciach swoich z przedwojennego pływania na s/s „Niemen” dodaje kapitalną uwagę „...jedno z nich może Pan widział w numerze styczniowym tegorocznego «Morza», **wyspiewałem tam przy okazji odę na cześć Szczecina...**”

A kiedy w jednym z listów napomknąłem, nie pamiętam już z jakich powodów, o możliwościach jego przeniesienia się do Szczecina, odpowiedział w ten sposób — „A co do projektów przeniesienia się do Szczecina — no, to na razie widłami na wodzie pisane. **Bardzo bym chciał, ale to nie jest takie łatwe.** W każdym razie — na razie żadnych konkretnych planów w tym kierunku nie mam. **Jest tylko stała tęsknota do Szczecina,** no, ale tego jeszcze za mało. Wyrwać korzenie (a sięgają głęboko) z Warszawy nie jest takie łatwe i proste. **Zobaczmy**” (24 czerwca 1962 r.).

Tym niemniej zarówno ten plan, jak i inne sprawy szczecińskie są stale w jego pamięci. Píše więc 26 czerwca 1962 roku, wkrótce po pobycie w Szczecinie — „**Świta mi przyjazd do Szczecina** na kilka dni w połowie października,

tym bardziej, że mam zaproszenie do Świnoujścia na spotkanie autorskie mniej więcej w tym czasie, połączyłbym więc osobisty relaks szczeciński z popisem”.

„Wkrótce dam znać, **kiedy się sklaruje mój Szczecin**” (6 stycznia 1962 r.). A kiedy coś nie wychodziło mu ze Szczecinem, zaraz zawiadamał, że „**twardo wybieram się do Szczecina** w maju na nieco dłużej”, a już w parę dni później donosił: „Wyklepywał mi się Szczecin, a wyklepywał, aż się wyklepał; będę przez kilka dni od 25 do 29 tego miesiąca... **Cieszę się na Szczecin, to zawsze dobry przysnec** na moją mózgowicę...” (3 maja 1963 r.).

A już na dobre związał go ze Szczecinem Festiwal Poezji im. K. I. Gałczyńskiego. „Co do Festiwalu Gałczyńskiego — wiem. Otrzymałem zaproszenie do udziału w Komitecie Honorowym. Odpisałem Rakowskiemu dziękując i że — będąc w Szczecinie — skontaktuję się z organizatorami. Impreza ta bardzo mi się podoba. **To może być jedna z dobrych tradycji Szczecina w skali ogólnopolskiej.** Bardzo dobry pomysł, chodzi tylko o to, aby go nie spieprzyć...” (7 października 1963 r.).

Przejmował się teraz wszystkim, co działo się na ten temat w Szczecinie, namówił mnie nawet, abym zasugerował Studium Nauczycielskiemu, w którym byłem jednym z wykładawców, projekt nadania temu Studium imienia Gałczyńskiego na X-lecie tej uczelni. Dyrektor Studium, bardzo światły i rozsądny pedagog, przyjął z uznaniem ten projekt, prosił mnie tylko, abym przekazał wniosek Kołu Polonistów tej uczelni w celu uzasadnienia merytorycznego, przed przekazaniem wniosku na rozszerzone posiedzenie rady pedagogicznej. I tu spotkała mnie humorystyczna niespodzianka! Otóż pewien ponury polonista, do tego jeszcze dr filozofii, wyraził głębokie oburzenie, iż śmiem proponować na patrona uczelni... pijaka! Inny znowu polonista, i też dr filozofii, nie zgadzał się na Gałczyńskiego z tego względu, że koło Polonistów już dziesięć lat temu wybrało sobie jako patrona Wypiańskiego, lecz jeszcze nie zdołało tego wniosku zrealizować. Tak było do południa. Po południu odbyło się plenum rady pedagogicznej. Zarówno dyrektor, jak i inni pedagodzy byli zdumieni stanowczym sprzeciwem czcigodnego grona polonistów, w którym rej wodził ów pogromca pijaków. Ale gdy tylko dyrektor spokojnie, ale stanowczo oświadczył, że nie prosił Koła o wybór patrona, lecz o uzasadnienie mojego wniosku, zaskoczeni nagle i ugrzecznieni Pimciowie błyskawicznie wycofali się ze swojej antypijackiej postawy i ochoczo wybrali wraz z innymi Konstantego Ildefonsa na godnego patrona Studium. W związku z tym odbyła się potem wielka uroczystość „patronacka”, przybyła żona Gałczyńskiego, wielu pisarzy i zaproszonych pedagogów i aż do czasu przemianowania tej uczelni na inną, wyższą, Ildefons Konstanty godnie reprezentował ją w naszym mieście.

Trzykrotnie też angażował się Saliński w próby reaktywowania Bramy Królewskiej dla Stowarzyszenia Marynistów, którą to Bramę zamykano co pewien czas na rzekome próby zbyt śmiałego czy swobodnego wypowiedzania tam swoich myśli. M.in. raz chodziło o to, że jako sekretarz tego Stowarzyszenia skrzytykowałem — bez wymienienia nazwiska — pewną prominentkę kultury nazywając ją „blond-tuszą”, której „nie wywieziono na taczkach w październiku tylko dlatego, że się w nich nie zmieściła”. Biedny Stanisław nachodził się, a nachodził dużo, aby „odblokować” tę sprawę. Znano go zresztą z licznych, innych interwencji i częstych pobytów w naszym mieście, toteż w pewnych, wysokich kręgach naszej szczecińskiej władzy pytano go zawsze żartobliwie, po przywitaniu — „No, panie Saliński, co tam słyhać w Szczecinie?”.

Zabiegał też o właściwe uczczenie X-lecia śmierci Niny Rydzewskiej, swej koleżanki z „Kwadręgi” i wziął udział w poświęconym jej „Wieczorze wspomnień”. Cieszył się również, że ze Szczecinem, a zwłaszcza z myśliborskim Barlinkiem, wiąże choć częściowo swój udział inny „kwadrygista”, Stefan Flukowski. Gdy zaś dowiedział się o powstaniu rzekomego „Gabinetu Gałczyńskiego” w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece wahał się czy nie oddać Bibliotece choć części bezcennych pamiątek i korespondencji po Gałczyńskim. Nie wypadało mu jednak samemu wprasać się w łaski Biblioteki, tym bardziej, że nie uczyniła ona nic, aby go dla siebie pozyskać lub zbliżyć do prac w tym „Gabiniecie”, np. przez zainspirowanie czy stymulowanie prac badawczych nad Gałczyńskim, wykonanie mikrofilmów na temat tego wszystkiego, co napisano o Gałczyńskim w Polsce i za granicą, zbadanie stanu jego korespondencji, zakupienie rękopisów itp.

Poezja HELENY RASZKI — próba opisu

JACEK DĄBROWSKI

Moje pytania o poezję szczecinianki Heleny Raszki wywoływały na twarzach księgarzy lekki uśmiech. Dawno bowiem zniknęły one z półek księgarskich. Żadna z większych bibliotek (w każdym razie szczecińskich) nie ma już dziś także wszystkich pięciu wydanych przez Raszkę zbiorów poetyckich. Nic w tym właściwie dziwnego, ponieważ od ukazania się ostatniego tomiku pióra Heleny Raszki minęło już dziesięć lat.

Autorka „Okruchów bursztynu” pisze jednak nadal. W prasie regionalnej lub literackiej o ogólnopolskim zasięgu ukazują się od czasu do czasu jej pojedyncze wiersze oraz — co zdarza się nierzadko — złożone z kilku utworów poetyckie całości.

Debiutowała autorka „Przebudzenia” i „Zimowych luster” zbiorkiem „Okruchy bursztynu” wydanym w 1950 roku. Potem kolejno wyszły: „Inny kraj”, „Blżej dna”, „Portret zdziwiony sobą” i wreszcie w 1970 „Liczba pojedyncza” — zbiór wierszy zamykających, podsumowujących niejako kilkanaście lat pracy pisarskiej Raszki i obrazujących przemiany bohaterki lirycznych jej utworów.

Tekst poniższy to próba charakterystyki wierszy powstałych w ciągu kilkunastu lat. Od debiutanckich utworów z „Okruchów bursztynu” do poezji z „Liczby pojedynczej” — niewątpliwie najbardziej dojrzałej i wyraźnie sygnalizującej dalsze zainteresowania autorki.

Wczesne wiersze Heleny Raszki (z tomików „Okruchy bursztynu”, „Inny kraj”, a częściowo także z „Blżej dna”) to w większości próby samopoznania jednostki ludzkiej, najbliższego jej otoczenia, najbardziej kameralnych uwarunkowań wpływających na świadomość doznań i przeżyć bohaterki lirycznej. Np.: „Zbieram szmery /i szelesty/ rozsypane ludzkie gesty /wyrzucone słowa/, skrawki tęczy w kropkach rosy /i babiego lata włosy/ cień po świętych drzewach, /ciszy rozbitych okruszyny, /tęży wylane bez przyczyny/”.

Stopniowo zmienia się konstrukcja utworów, sposób korzystania z podstawowego poetyckiego tworzywa — słowa. Zmienia się wreszcie (poszerza) świat przeżyć i sposób myślenia „ja” lirycznego. Naczelnym dążeniem autorki pozostaje jednak wciąż jak najbardziej wszechstronna i głęboka autoanaliza oraz poetycka forma przekazania jej odbiorcy. Natomiast zdecydowanie stałym elementem poezji Raszki jest ściśle powiązanie człowieka z otaczającą go przyrodą. Np.: „Zbieram barwne kamyczki, /depczę je bezkarnie/ i marzę o raniącej mi dłonie i stopy, /nietkniętej fal pieszczotą, /ostrożebnej skale/”.

Las, rzeka, nadmorska plaża, kwitnące czy owocujące drzewo, a w centrum człowiek, niewątpliwie najbardziej złożony wytwór przyrody. Człowiek ze swoją wrażliwością, nastroja-

mi i przeżyciami nierozzerwalnie połączony, a często uzależniony od otaczającej go przyrody. Np.: „Stoję pośrodku nocy [zagubiona w obłokach, gałęziach i gwiazdach/ a czarne jaskółki znużenia /wiją w mych oczach gniazda/”.

Znamienne, że w utworach Heleny Raszki niezmiernie rzadko pojawiają się gwarne ulice, tłoczne tramwaje czy inne, cywilizacyjne atrybuty naszej codziennej rzeczywistości. Natomiast obecny zawsze jest człowiek ze swoimi przeżyciami, niezmienną pierwotną przyrodą we wczesnych wierszach; później drugi człowiek i znów zachody słońca, burze, świty, kwiaty i drzewa zmienione tylko rocznym cyklem vegetacji, ale przecież w gruncie rzeczy takie same „... Biała uroda wiśni / już odrunęła z wiatrem, /śni mi się jeszcze po nocach / pachnący, lekki obłok /. Płatki na ziemię spadają / — to są rzeczy martwe, /a ja zostałam żywa / i przechodzę obok. / Ale wszak moje dłonie / — słabe i nieduże — / też tak kiedyś spadną / strącone / wszechświatową /. Może to będzie wiosną / i nade mną — / w górze — / rozkocysze się wiśnia / — biały, wonny obłok/”.

Większość utworów autorki „Portretu zdziwionego sobą” to liryki miłosne. „Powieś ci słowa ciche — /najcichsze/. W nich jest noc, /która serce cierpliwie kocysze, /w nich są światy / — ciepka samotność, przebudzenie zbyt wczesne — /i chora na liści spadnie /jesień /. (...) Z głębi myśli, /z ciemnej głębi serca mam je wszystkie /. Słowa ciche. /Słowa ciche, /najcichsze/”. Utwory te przechodzą swą ewolucję. W wierszach z „Okruchów bursztynu” nie ma jeszcze partnera. Zapisane są tylko tęsknoty, marzenia bohaterki lirycznej, jej nastroje czy po prostu zwykła ludzka tęsknota, aby kochać i być kochaną. „Mówisz do mnie / — moja — /a ja jestem niczyja / jak wiosna, /co skowronkom i przebiśniewom sprzyja /. (...) Znajdziesz moje odbicie we wszystkich wodach świata, /lecz gdy zanurzysz dłonie, ażeby je schwytać, przecieknie ci przez palce /poświata księżycia/”.

W lirykach miłosnych z następnych tomików pojawia się partner, lecz okazuje się, że spełnienie miłości, to znaczy harmonia myśli i uczuć, jest niemożliwe. Partner pozostaje zawsze obok bohaterki lirycznej, nigdy nie będzie razem z nią. Miłość nie znajdzie spełnienia, a więc „Trzeba przejść od świtu do zmierzchu /po chybotliwej kładce dnia /nawet wtedy, gdy ciebie /nie ma na brzegu/”.

Od pierwszych miłosnych utworów, bardzo jeszcze sentymentalnych, zasadniczo różnią się wiersze późniejsze, szczególnie liryki zebrane w cyklu „Miłość” z tomu „Liczba pojedyncza”. „Jak wypełnić z siebie /pocątki oddane wargom na własność /pod nie-

bem pobłażliwym w nieskończonej przestrzeni / jak wykorzeńić nawyk dotyku przyjmujący się tak niespodziewanie w ciebie, /gdy szukające dłonie już odnalazły, a nie wiedzą o tym / (...) Jak okaleczyć siebie /, żeby nie dźwięczeń struną napiętą do żaru, / żeby nie unosić się ponad sobą lekko i zwodniczo / śpiewającym płomieniem /”. Pojawia się w nich, wstydliwie jakby dotąd pomijane, ciało. I choć miłość, w jej fizycznym aspekcie, znajduje realizację, to jednak całkowitej harmonii uczuć i świadomości bohaterki lirycznej i partnera nie będzie w utworach autorki „Linii” nigdy.

Wewnętrzny przemianom bohaterki lirycznej wierszy Heleny Raszki, przemianom nieuniknionym, bo przecież przejście od autoanalizy i najbliższego otoczenia do zainteresowań innymi ludźmi oraz szerzej pojmowanymi uwarunkowaniami życia to droga rozwoju wszystkich ludzi, towarzyszą zmiany w posługiwaniu się przez autorkę językiem. We wczesnych wierszach, prostych w formie, o krótkiej frazie i wyraźnej rytmice słowo — to naturalnie używany środek przekazywania określonych treści. „Rozsypana na plaży /dwie gotowe strofy, /garść metafor i wiązanek rymów. /Zbieram błyski bursztynów, /słucham śpiewu fali, /a wiersz / — spłoszona mewa — /białym skrzydłem żalu zaczepia o obłoki /, /rozplywa się w dali/”. Dzięki dużej ilości określających przymiotników i przysłówków oraz wielu powtórzeń język tych utworów staje się nieprecyzyjny, co zbliża go do języka potocznego, mówionego. „Czarne jaskółki znużenia /przecinają horyzonty żrenic. /Ciemność lekko przyciąga stopy / do kocysania ziemi, /którego nie można przekroczyć/”. Słowo pełni w tych wierszach tylko podrzędną funkcję przekaziciela treści. Stopniowo jednak, a szczególnie wyraźny staje się ten proces w tomiku „Portret zdziwiony sobą”, nasilają się w poezji Raszki eksperymenty ze słowem. Słowo: „odnalezione wśród zguby, /nieprzymilne, /przewleczone przez obłok i przez skatę /za spółgłoski, /odarte z gwaru przymiotników, /oświczona do pierwszego ze znaczeń, /do krwi nagie /kiedy ty o mnie, /gdy ja o tobie /mówię / — jest/”.

„Słowo oświczona do pierwszego ze znaczeń” — wiersz staje się jakby laboratorium, w którym wypróbowuje poeta działanie i zakres słowa — podmiotu, słowa, którego ranga w utworach stale rośnie. Oczywiście, dalej jest ono nośnikiem treści, ale gdy bohaterka liryczna mówi: „Twoje imię prześwieca przez tyle słów / o różnym brzmieniu, jakby wszystkie sylaby / były ci poślubione.../”, następuje całkowite zwerbalizowanie partnera, który zostaje niejako utożsamiony ze słowem właśnie.

Wszystkie późniejsze utwory Heleny Raszki (z tomików „Blżej dna” i

„Liczba pojedyncza”) charakteryzują się mniejszą znacznie ilością przymiotników i przysłówków, a zatem większą precyzją sformułowań i ostrością słowa. Laboratoryjne próby dały wynik.

W „Liczbie pojedynczej” — ostatnim wydanym przez autorkę „Umierłej gwiazdy” w 1970 roku tomie, język i sposób posługiwania się słowem jest już w pełni ukształtowany. Inna jest także (w większości utworów) forma wierszy. Fraza wydłużona, dłuższe zdania, rytm wolniejszy, choć w dalszym ciągu wyraźnie zaznaczony. Oczywiście w tych tomikach także zdarzają się krótkie, ulubione przez poetkę wiersze-definicje, a raczej cząstkowe próby definicji. „Cieniem na śniegu zapisana, / gdy skrajem jego myśli idzie, / co krok się w nim ogląda jakby / niepewna była własnej twarzy. (...) I coraz bardziej jest pojęciem / w przemiennym świetle gwiazdozbiorów”.

Zmienia się z upływem czasu forma utworów Heleny Raszki, przeobrażeniom ulega także jej bohaterka liryczna. Poszerza się także stale krąg tematów i zakres świata przedstawianego w utworach. Tytuł ostatniego tomiku „Liczba pojedyncza” to jakby przekorna trochę zapowiedź dalszej drogi twórczości tej autorki. Samopoznawanie bohaterki lirycznej, jej najbliższy, kameralny świat z pierwszych utworów — to już przeszłość. Wprowadzenie do utworów partnera przecież daje liczbę mnogą. Przypuszczać można, że stopniowo MY i uwarunkowania NASZEGO życia staną się centrum zainteresowań Heleny Raszki — poetki, dla której człowiek (ludzie) i jego (ich) problemy pozostawały zawsze najważniejsze.

* * *

Czytając ostatnio wiersze Heleny Raszki zastanawiałem się czy poezja ta przez dziesięć lat, bo tyle właśnie minęło od opublikowania ostatniego tomiku tej autorki, nie zwietrzała, nie straciła aktualności. Wyraźne credo poetyckie Raszki to CZŁOWIEK. Najpierw jednostka i poznanie „wewnętrzny ja”, potem wyjście z tego małego, acz bogatego świata i próba powiązania tendencji introwertywnych z doświadczeniami płynącymi z kierowania zainteresowań na świat zewnętrzny. Stopniowo pojawiają się uogólnienia filozoficzne, rozszerza zakres pytań, na które nie zawsze w poezji tej znajdzie czytelnik odpowiedź, ale pobudzają one do myślenia, do snucia refleksji.

Przez pewien czas (tomiki „Bliżej dna” i „Portret zdziwiony sobą”) wydawało się, że zainteresowania Raszki skupiają się na eksperymentacji formalnych, że wejdzie ona ze swoją twórczością do tzw. nurtu poezji lingwistycznej. Tak się jednak nie stało. Po znalezieniu formy najlepsze, najwłaściwszej, przekazującej zamierzone treści powróciła autorka „Robitych luster” do człowieka — jego problemów dążeń i... tęsknot tych rajbardziej zwyczajnych.

Znamienne, że młodzież najchętniej sięga po wczesne utwory, natomiast starsi czytelnicy szukają raczej późniejszych wierszy tej autorki. W każdym razie w świadomości odbiorcy ta poezja żyje i jest aktualna. A to przecież najważniejsze.

HELENA

Z katakumb

W imię powietrza,
wody
i ognia ziemskiego,
amen stokrotne krzepnie pod sklepieniem czoła,
katakumby przeszływa krzyk ostry,
jak powiew
zgąstej gromnicy.
Ci,
co się tu spotkali,
ciała przeciw ciałom,
rzucając na bezprawia zardzewiałą szalę
swój zatracony przebyt,
jakby jad stuleci
struł oddech ich
i wolę.
Kto pierwszy z nóg się zwali
winą
na innego,
temu czyścić pisany grząskiej dobranocy,
a cześć
wycięta do bezpłodnej ścierni,
nim zaplesnieje w myślach,
ziarna nie uroni
nieuprawnym sumieniom
na gorzkie poplony.
W imię głodu,
pragnienia,
bezprzyjaznej dłoni.
Na amen
tchu zabraknie.
Gnije korzeń płony.

Gniazdo

Kołysane sztormami gniazdo niepokoju,
gdzie serce zamiast dzwonu,
kamień w kamień,
bije
godzinę żalu, gniewu i pamięci.
Drzewa gałęzie splatają w dzwonnice
tak nad grobami, jak nad ulicami,
żywi martwieją w oczach,
próżne słowa
myśl zapładniają ironicznym szumem,
z nich papierowi rosną pogrobowcy
ze szpalty w szpalte
i z człowieka
w trumnę.
Przypaść wargami od ziemi,
do ściany,
pięściami skrwawić mur mgły skamieniałej,
zapaść w siebie ze wstydu,
że taki wzmówiony
los się więzienny przyjęło za oddech,
kochać to miasto wbrew,
osądem podnieść
nad wszystkie świata nie zaznane strony.

RASZKA

Na rozkurz

Zapal mi kwiaty w pochodzie
jak trumny
zerwanego zapachu.
Daj na dnie gnijącej
rozpadliny
obietnicę nowych
kości na przemiał.
To młyn historii
nas miele,
czy nasza natura
ciśnięta w nieskończoność
niedbałym znakiem?
Miso,
gdzie do krwi ściera się z sobą
nasz rodzaj,
roztrzaskać by twoją
orbitę.
Ziemio,
z której ludzkie nasienie
tryska
w sen pojutra,
deptać by twe kamienie młyńskie
boso
po ostrzach krawędzi
na cień pyłu.
Do serca by je brać
głęboko
na rozkurz.

Rozdarte godło

Amarantowe tło
przydane godłu,
jak godnym słowem barwa się czerwieni,
tłoczą się pióra na obrzeżach skrzydeł,
lotne
na front się wyrywają regimenty,
zamęt powietrza, gdy lotki odświeża,
półobrócone pod wiatr
bielą śnieżą
swój ślad w przestrzeni tchu,
aż zadyszany
odpada orzeł od swojej chorągwi,
drze pazurami ziemię
zestrzeloną
z nim w jedno przedśmiertelne ostupienie
i stęp graniczny
na tym miejscu bierze
rozbrat serdeczny z bratem poprzez miedzę,
rzekę,
polaną.
Amarantowe tło
w rozdarciu
krwawe.

Rekolekcje

To wszystko było,
miejsce, godzina, zdarzenie,
słowo po słowie śniło nam się przed wiekami.
Przespaliśmy chwilę zapłonu,
jest już po pogrzebie,
noc się spopiela pomiędzy wargami.
Myśleć. Nie myśleć.
Skoro się wyjawi
na czas i przestrzeń pulsujące ciało,
nie już świętego,
choć świętem się stało,
potępić nas nie zdoła ani zbawić.
Przebyć, co zbyte wartości.
Pozdzierać
zesztywniałą zastonę nawyków, zwyczajów.
Tam, pod spodem, śpi ludzka glina.
Tak wiele.
Tak mało.
Uklęknij przed nią.
Zapal
gromnicę sumienia.

Z okrażenia

Myśl przedojrzała,
spopielała głownia,
gdy z głów się kurzy alkohol
i wiara,
ślepo strojony instrument pokory
gada na pamięć tresowanym kodem,
a dookolność trzeszczy w szwach,
wyrasta
z tego okręgu przyrodzeń, przywidzeń,
prze z okrażenia na prostą
wyniośle
z łuku puszczonej ziemskiego ciśnienia,
aż tak ciśnięty w przestrzeń kamień,
nim obrośnie
mchem ceremonii, mszą wtajemniczenia,
będzie się iskrzyć,
jak wolne ołtarze
przodków
wyklętych z katedry dogmatu,
zbyt oddalonych,
by mogli widomie
wrzeźbić swą miarę
w nasze zmienne twarze.

Śmiertelny salut

To,
co już powiedziane,
co zapadło w siebie
jak ziemia na świeżym grobie,
z czego nikt ciebie nie wypowiada,
o czym nie wiesz,
czy się za tobą opowie.
Przeszło, przepadło,
zająknęło się w tobie na głucho,
jeszcze przez sen cię dopada
przestrzelone imię.
Ze słów
krążących w ciemności,
nim je przechwyci ucho,
salwa milczenia
jak salut
przez krew i ziemię płynie.

POJEDYNCZA I MNOGA

Czym jest dla mnie poezja? Sposobem wypowiedzi? Sposobem istnienia? Może — sposobem bycia sobą wśród innych? Środkiem porozumienia ze sobą i z innymi?

Jest zatem w poezji miejsce na liczbę pojedynczą i na liczbę mnogą.

To, że dla funkcjonowania w społeczeństwie wybrałam sobie działanie poetyckie, uwarunkowane było tyleż koniecznością, co upodobaniem. O splocie konieczności nie będę tu wspominała. Upodobanie zrodziło się z satysfakcji, jaką daje możliwość przeprowadzenia w zwięzłym komunikacie słownym analizy i syntezy wszelkich zjawisk istnienia, wewnętrznych i zewnętrznych, utrwalenie ich w sposób, który by łączył logikę i precyzję rozumu z ciemnym blaskiem pozaświadomego. Wybrałam słowo za tworzywo i narzędzie. Ale przekonana jestem, że gdybym w innych uwarunkowaniach miała odmienne możliwości wyboru środków swojej ludzkiej ekspresji, to obszar moich penetracji, a także kierunek i kolejność faz rozwoju w każdym z możliwych dla mnie rodzajów istnienia przebiegałyby podobnie, jak dzieje się to w moich wierszach.

Na początku była liczba pojedyncza. Pięć tomików poetyckich dość trafnie odczytanych przez krytykę, nie wymagających od autorskiego komentarza. Jest w nich zapisane to, co uważałam za wstępne działanie zarówno w ludzkim jak i poetyckim poznawaniu. Możliwie wszechstronna analiza jednostki doświadczalnej, siebie, bohaterki lirycznej. Badanie jej jakości wewnętrznej, jej reakcji na przyrodniczą, a więc także społeczną zewnętrzną. Krok po kroku, od elementarnych odruchów psychiki do zasadniczych pytań egzystencjalnych. Ja, ty, ona — w tym porządku bohaterka liryczna próbowała zwiększać krytyczny dystans do samej siebie. Druga i trzecia osoba liczby pojedynczej oznaczała czasem partnera dialogu.

Indagowana w rozmowach, dlaczego nigdy nie piszę „my”, odpowiadałam, zgodnie ze stanem faktycznym, że nie czuję się jeszcze tak świadoma i poetycko sprawna, by ciężar tego „my” w wierszach swoich udźwignąć.

Aż przyszedł koniec lat sześćdziesiątych. Napięcia w polityce międzynarodowej. Wielki bunt młodzieży przeciw zastanemu światu. Żywe pochodnie protestu. Wielkie osiągnięcia nauki i techniki. Lądowanie człowieka na Księżycu. Pierwsze przeszczepienie serca. Fakty o wadze i randze symboli. Rozpalające wyobraźnię. Zmuszające do zrewidowania całego dotychczasowego systemu pojęć i wartości. Pobudzające do myślenia. Ożywiające emocje.

Był to czas, który kazał myśleć kategoriami ogólnoludzkimi. Widzieć w skali globu. Określić swoje społeczne miejsce. W Polsce to samookreślenie miało wtedy dodatkowy wymiar. I dodatkowy smak goryczy.

W roku 1970, gdy ukazał się mój ostatni z wydanych tom „Liczba pojedyncza”, miałam już ukończoną następną książkę poetycką o znamienym tytule „Liczba mnoga”. W nim właśnie, pod wyzwajającym ciśnieniem historycznej rzeczywistości, bohaterka liryczna pełnym głosem powiedziała „my”.

Ten właśnie zaimek wskazujący w pierwszej osobie liczby mnogiej jest, jeśli nie wyłącznym, to decydującym elementem wyznaczającym kształt zarówno „Liczby mnogiej”, jak i następnych napisanych przeze mnie tomów: „Biała muzyka” oraz „Korzeń i skała”.

Mówiąc „my” dodaję do siebie innych. Czujących i myślących jak ja. Jak ja Polaków. Ludzi mieszkańców ziemi. Członków gatunku, do którego należę.

Czy mam prawo mówić we wspólnym imieniu? Kto dał mi takie prawo? Wielokrotnie zadawałam sobie te pytania. Zadawałam je żyjąc w świecie, który nie pytał mnie o zgodę na konieczności, jakim byłam poddawana. Nie pragnęłam być bezdomna. Zadano mi bezdomność. Nie marzyłam o głodzie. Poczęstowano mnie głodem. Kochałam moją matkę. Zabito ją. Wierzyłam w przyjaźń. W sprawiedliwość. W solidarność ludzi i narodów. W wielkie odwieczne ideały ludzkości. Jedno po drugim łamano moje prawa do tej człowieczej wiary.

Nie byłam nigdy sama w doznawaniu krzywd. Było ze mną, obok mnie, w zasięgu mojej świadomości zbyt wielu krzywdzonych stokrotnie więcej. To w imieniu tych ciągle jeszcze pozbawianych pełni praw ludzkiego obywatelstwa mówię w niepokodzonych, buntowniczych, gorzkich wierszach dziesięciolecia swojej poetyckiej liczby mnogiej.

(Ta moja liczba mnoga rozproszona w ciągu ostatniego dziesięciolecia po miesięcznikach, tygodnikach i dziennikach, czekająca na przychylny czas, który pozwoli jej wreszcie zaistnieć w wydanych książkach, w pełnym czytelnickim odbiorze i krytycznej interpretacji, ta liczba mnoga po prostu jest. O czym autorka, uporczywie przez krytykę pomawiana o egocentryczną pojedynczość, niniejszym pozwala sobie przypomnieć.

W karykaturze L. Piosickiego: MARIA NOCHOWICZ i JERZY SOBIERAJ



HELENA RASZKA



Fot. Z. Ryngwelski



AINA MUZE (Łotwa) — gobeliny — „Dedykacja” i „Improwizacja na dawny temat”



Fot. Z. Ryngwelski

TADEUSZ GRABOWSKI

Każda decyzja podejmowana przez człowieka jest wyrazem jego woli, jego świadomości.

Spośród wielu decyzji podejmowanych świadomie, decyzja wyboru miejsca zamieszkania jest z pewnością przemyślaną i nie spowodowaną li tylko przelotnym kaprysem czy emocjonalnym nastrojem. Też taką pragnę postawić wbrew oświadczeniom niektórych kolegów po piórze, z którymi na ten temat przeprowadziłem krótkie rozmowy — tak zwane mini-wywiady.

KATARZYNA SUCHODOLSKA, która zamieszkuje w Szczecinie od grudnia 1949 roku, tłumaczy swoje przywiązanie do miasta walorami pejzażowymi. Pochodząca z Polesia, terenów gęsto oblanych wodami rzek, znalazła w krajobrazie szczecińskim bliskie swemu sercu widoki i to w pierwszym rzędzie miało ją skłonić do osiedlenia się i pozostania tutaj do dzisiejszego dnia.

Drugim argumentem byli ludzie tej ziemi — prawdziwy tygiel społeczny różnych sobie tradycji, obyczajów, kultur i mentalności. Przybyli z różnych stron kraju: ze wschodu, północy, południa i Centrali tworząc początkowo mozaikowo barwne grupki społeczne, stanowiące dla pisarza doskonały materiał socjologiczny, bogaty w swoim kolorycie obcej rodzajowo swojskości, jedynej i niepowtarzalnej, reprezentującej czasami zanikający już przykład kulturalnej enklawy.

Wśród tych przybyszów Katarzyna Suchodolska znalazła też swoich krajanów — pobratymców ludzi zza Buga, stanowiących w jej mniemaniu wyższą od innych kategorię społeczną. Nie tę wyższość może, ale na pewno inność i obcość w nieznanym dla siebie środowisku wielkiego miasta maluje Suchodolska na kartach opowiadań kreśląc ciepłymi barwami sylwetki swoich krajanów w trudnym procesie adaptacji społecznej i asymilacji.

„Gdzieś daleko na wsi zaszczekał pies. Zaraz odezwał się drugi. Fala szczenia napływała coraz bliżej, aż urwała się tak nagle jak się przedtem zaczęła. Ktoś obcy musiał przechodzić szosą. Obcy! A któż tutaj swój? Ponazjeżdżało się ludzi ze wszystkich stron. Kto zza Buga, kto zza Sanu, kto z Polski... Kto po swojej woli, a kto nie bardzo. Zaczepili się, jak mogli, na tej nie-

miłej jeszcze ziemi i siedzieli, łapiąc oddech po wielkim zmęczeniu („Spotkanie w Wolkenbergu”, opowiadanie „Noc”, s. 39).

JÓZEF BURSEWICZ mieszka w Szczecinie od 1945 roku to znaczy już 34 lata. Ale na pytanie dlaczego wybrał to miasto, odpowiada, że był to wybór z przymusu. Bursewicz pochodzi z Wilna, wyemigrował stamtąd zaraz po wojnie i zapisał się na studia medyczne w Poznaniu. W Szczecinie zamieszkali jego rodzice, do których często z Poznania przyjeżdżał.

Zrezygnował wkrótce z kariery lekarskiej, bo postanowił zająć się literaturą. W Szczecinie nawiązał szereg kontaktów z ludźmi po piórze i po palecie. Pracował przez wiele lat w Szczecińskim Radiu, gdzie prowadził Magazyn Literacki. Był kibicem wszystkich ciekawych zjawisk w plastyce szczecińskiej i na łamach dodatku literackiego do „Głosu Szczecińskiego” i „Ziemi i Morza” omawiał je pod przybranym nazwiskiem Jerzego Rustema.

W swoich tomikach poetyckich wykazuje związki uczuciowe z ziemią rodzinną — ziemią wileńską. Niejednokrotnie przeprowadza konfrontacje między obyczajowością ziemi rodzinnej a nowymi zwyczajami na ziemi szczecińskiej.

*„Jest tam na skraju
Dom pobielony
zapukać trzeba
Dzień dobry panie
Mleka i chleba
Ale razowca
Nie tu pan przyszedł
To nie te strony
Mam bułkę z owsa
Ach — rzekłem śpiesznie
Coś pomyliłem
Niech pan wybacz
I znów poszedłem
I siałem piasek
Niecóż inaczej”*

(ze zbioru „Chłód nocy”,
fragment wiersza „W podróży”, s. 15—16)

*„Zakończony chodzi po sadach
Szpaki korę kruszą
Żwirem znad Wilenki
Każdy dzień przynosi smutek
A później staje się historią
Legendą wędruje przez czas”*

(ze zbioru „Chłód nocy”,
fragment wiersza „Zygmunt August”)

Również w swoich wierszach kreśli pejzaż szczeciński:

„Tu można przyjechać można zawrócić
nigdzie dalej
w wodę plaster ziemi wciśnięty
użyźniony sandaczem i płotką
Łąd przedłużają łodzie
Ciągące za sobą pomosty
smugi niewidoczne
wytwarzane tęczęwkami pozostałych
na brzegu”.

(wiersz „Nowe Warpno”
ze zbioru „Chłód nocy”)

Bursewicz opracował swego czasu cykl felietonów poświęconych ulicom szczecińskim, noszącym nazwiska sławnych pisarzy polskich. Fragmenty tego cyklu pt. „Imiona ulic” nadał w radiu i publikował w prasie. Więc chociaż na pytanie: czy chce się przenieść ze Szczecina? — odpowiada bez namysłu twierdząco, nie brzmi to dla mego ucha przekonująco i chciałbym to raczej położyć na karb przekory, właściwej rogatej duszy artystycznej.

JERZY JAN PACHLOWSKI mieszka w Szczecinie od 1955 roku. Na pytanie co go skłoniło do wyboru tego miasta za stałe miejsce zamieszkania, odpowiada lakonicznie, ale wymownie, tytułem swojej książki: „wołanie horyzontów”. W przypadku Pachlowskiego mogę przyjąć, że nie jest to poza czy silenie się na patos. Autor zbiorów opowiadań „Delfiny płyną po wiatr” i „Ryba i słońce” pracował przez 8 lat na kutrze jako rybak dalekomorski. Poznał morze nie jako obiekt poetyckich peanów, ale jako warsztat ciężkiej, nieraz prawie katorżniczej pracy.

Dlatego Szczecin jako port, z którego wypłynął w świat na swoją marynarsko-rybacką przygodę, kojarzy mu się z szerokim oddechem morza, z bezgranicznością przestrzeni morskiej, gdzie horyzont nieba zlewa się z oceanem. Szczecin jako trudne miasto do zakorzenienia się ze względu na swoją mozaikę grup społecznych, stanowiących początkowo ekskluzywne grupki elitarne, wydawał się Pachlowskiemu jako pionierski teren do zdobycia, kuśił potrzebę sprawdzenia swoich sił i możliwości, zmierzenia się z przeszkodami i trudnościami. Wyrazem tej postawy, prezentującej retrospektywne przeżycia jest esej Jerzego Pachlowskiego, który pt. „Oswajanie krajobrazu” ukaże się w Wydawnictwie Morskim. Tytuł tego eseju jest wymowny. Autor urzeczony pejzażem szczecińskim, podobnie jak Katarzyna Suchodolska, przymierza się do niego, wrasta weń, oswaja w sobie, w swojej psychice i percepcji jego egzotyczną — jak kto chce — ale na pewno niepowtarzalną, jedyną w świecie urodę.

„W Szczecinie przy alei Piastów jest zielona pompa studzienna, która przywarowała skromniutko na skwerze. Bardzo lubię tę pompę. Składałem jej nawet życzenia noworoczne. »Do siego roku, studzienna pompo«! Wywinęte ramię. Esy-floresy na przysadzistym korpusie zwieńczonym pomponikiem i wysunięta naprzód paszcza chińskiego smoka. Przypominałem sobie przy niej źródółko w moim rodzinnym miasteczku oddzielnym daleką granicą od Szczecina” (z opowiadania „Modlitwa do Świętowita”, ze zbioru opowiadań pt. „Ryba i słońce”, s. 109—110).

STANISŁAW TELEGA jest mieszkańcem Szczecina od stycznia 1946 r. Od tego to czasu dokonał w sobie trudnego procesu przeszczepienia serca z uczuć ku ziemi rzeszowskiej, gdzie się urodził i spędził dzieciństwo, na uczucia ku ziemi szczecińskiej. Słusznie może uchodzić za czołowego reprezentanta pionierskich zmagających o polskość jej kultury. Jego też zauroczył szczeciński pejzaż, zwiastujący szeroki oddech morza, tchnienie dalekich łądów, miasto pełne zieleni, Ziemia Pomorska, niosąca brzemień wieków, spuściznę dumnej tradycji naszych Piastów: Mieszka I i Bolesława Chrobrego, Krzywoustego i Kazimierza Wielkiego. Tym sprawom poświęcił słuchowiska radiowe, nadane w pierwszym okresie tworzenia się kultury w naszym mieście.

Stanisław Telega po 33 latach pobytu w Szczecinie nie stracił uczuć dla naszego miasta i na pytanie czy czuje się związany nadal ze Szczecinem odpowiada bez namysłu: ziemia — tak, ale zaraz dodaje: ludzie — nie. W słowach tych zawiera się skryta gorycz i bolesna pretensja za nie spełnione plany i marzenia co do wielkości rangi kulturalnej Szczecina.

On, razem z Franciszkiem Gilem, w pionierskich czasach pierwszych lat Szczecina, gdy wszystko leżało w gruzach, miasto było kulturalną pustynią i wszystko trzeba było zaczynać od punktu zerowego, snuli romantyczne marzenia o Szczecinie jako mieście szczególnej rangi, „gdzie Polska się kończy albo gdzie się zaczyna”. Tworzyli miłe sercu mity o „Przyczółku wielkości” czy „Wenecji Północy”. Wyrazem tych starań może być wieloletnia kampania o uniwersytet w Szczecinie jaką staczał Telega na łamach periodyków lokalnych i krajowych.

Wyrazem tych zabiegów może być wieloletnia działalność w Bramie Królewskiej, konkurującej z powodzeniem z Klubem „13 Muz”, goszczącej co tydzień przedstawicieli kultury, literatu-

ry i sztuki ze wszystkich ośrodków w kraju, organizującej liczne wernisaże i wystawy marynistyczne. Mimo że obecnie już zrezygnował z licznych prób swoich zabiegów i starań o nadanie realnych kształtów mitom sprzed 30 lat, mimo że wycofał się z czynnego życia w kulturze szczecińskiej, odszedł nawet ze Szczecińskiego Oddziału Literatów i przeszedł do Oddziału ZLP w Koszalinie, mimo oświadczeń, że środowisko koszalińskie jest bardzo serdeczne, a środowisko gdańskie, z którym jest mocno związany pracami redakcyjnymi (jako członek kolegium redakcyjnego „Nautologii”) Stanisław Telega przyznaje, że nie zamieniłby nigdy Szczecina na Gdańsk ani na Koszalin.

Przeszczep, dokonany przed trzydziestu z górą laty, owocuje nadal. Wyrazem tego wymownym jest przygotowywany obecnie do druku tom opowiadań poświęconych ziemi szczecińskiej.

ADOLF MOMOT jest związany z ziemią szczecińską od 1946 roku. Przybył na tę ziemię jako kilkunastoletni chłopiec z dalekiej wsi lubelskiej Hamernia koło Biłgoraja. W przypadku Adolfa Momota, związki ze Szczecinem i jego regionem mają zupełnie inny charakter. Tu odegrał rolę nie pejzaż morski, ale pejzaż ziemski, ściśle łądowy, pejzaż ziemi ornej, czekającej na siew ziarna i pracowitą rękę rolnika, któremu marzył się wysoki plon. Pierwsza powieść Adolfa Momota „Twarze” ma zdecydowanie autobiograficzny charakter. Miejscowość Kwiatków, w której dzieją się losy bohaterów utworu — to wieś Morzyca na trasie Stargard—Choszczno, 3 kilometry od Dolic, wieś, w której mieszkał autor z rodziną, skąd wyrwał się w daleki świat. Tym dalekim światem dla Adolfa Momota był właśnie Szczecin, a konkretnie Technikum Telekomunikacyjne, w którym podjął naukę. „Gorący jestem tego patrzenia. W tej chwili widzę rozległy obszar łąk — popatrz, Odra. Pociąg zwolnił. Przed oczami przesuwały się przęsła mostu, a w dole — woda. Szerokie rozlewisko i dalekie.

— Widzisz kominy? To już Szczecin”.
(„Miodowy miesiąc”, s. 36)

Uczucie przywiązania do grodu Gryfa nad Odrą jest zdecydowane. O tym najlepiej świadczy fakt rezygnacji z zamieszkania w Warszawie. Momot nie kryje swojej świadomej decyzji wyboru. Jego — lublinianina — człowieka lasów też oczarowała szczecińska zieleń, mnogość lasów w otoczeniu. „Miastem o zielonych włosach” nazwał Szczecin w jednym ze swoich liryków, zanim nie poświęcił poezji dla prozy

i ta nazwa świadczy wymownie o emocjonalnych walorach szczecińskiego pejzażu, który nie tylko szerokim oddechem pobliskiego morza, lecz także zieloną koroną lasów urzeka i przyciąga wszystkie wrażliwe artystyczne dusze.

Na zakończenie tej relacji — skróconych wywiadów przeprowadzonych z kolegami po piórze — wieloletnimi szczecinianami niech wolno będzie powiedzieć kilka słów o sobie. Moje związki ze Szczecinem nie są ani przypadkowe, ani krótkotrwałe. Mieszkam w tym mieście już 27 lat. Ale po raz pierwszy zawitałem do Szczecina w 1945 roku, kiedy po powrocie z wojska przybyłem tutaj na prośbę matki, żeby odnaleźć brata.

Nie chcę w tym miejscu silić się na sztuczną pozę bohatera, pioniersko nastawionego na łamanie przeszkód. Chcę powiedzieć jak naprawdę czułem. Szczecin zrobił na mnie wrażenie straszne. Miasto umarłe, straszące pustką ulic przykrytych na kilka metrów wysoko gruzem i żelastwem, miasto ruin i przemykających się chyłkiem w zapadającym szybko mroku ludzkich cieni. O piątej wieczorem nikt wówczas nie wysunął na ulicę nosa. Ryglowano na wszystkie zasuwę drzwi i zapuszczano ściśle firanki. Wtedy bowiem różnego autoramentu elementy przestępcze wychodziły z bronią na ulicę. Słychać było krzyki, pijane wyzwiska i raz po raz powtarzające się strzały. Nieraz całe kanonady. Robiono włamania do mieszkań, włamywano się do sklepów, rabowano puste jeszcze, ponemieckie domy. Bandy szabrowników, ludzi ciemnego interesu zwietrzyły tu dla siebie łatwy żer. One to nadały Szczecinowi pierwszych lat po wojnie charakter miasta z Dzikiego Zachodu, one przez dłuższy czas były postrachem pierwszych szczecińskich osiedleńców i nierzadko sprawiały, że osobnicy o słabych nerwach opuszczali to miasto, a inni — bardziej wytrzymali i odporni — siedzieli na przysłowiowych walizkach, gotowi wówczas w każdej chwili do wyjazdu.

Do Szczecina po raz drugi przyjechałem w styczniu 1953 roku. Był to już zupełnie inny Szczecin — miasto ludzi, którzy tutaj dzień po dniu, opornie, ale skutecznie wkorzeniaли się w jego glebę, w jego pejzaż, którzy tu kształtowali swój los. Muszę przyznać ze szczerością, że kiedy po kilku tygodniach pobytu w Szczecinie w listopadzie 1945 roku opuszczałem jego ruiny, czyniłem to z wymownym odczuciem ulgi i żeby wówczas ktoś przewidujący powiedziałby mi, że ja po 8 latach wrócę do tego miasta w nim osiedle się na stałe, nigdy bym mu nie uwierzył i uznałbym to za niedorzeczność. Wyrazem moich

ówczesnych nastrojów może być wierszyk, który wówczas napisałem, a który miał następujące zakończenie:

*„Więc gdy chcecie szukać guza
Gdy was przygód nęca dreszcze
To wam radzę: do Szczecina
Jedźcie, jedźcie! Dzisiaj jeszcze!”*

A po kilkuletnim pobycie w Szczecinie jednym z moich pierwszych wierszy, publikowanych przez nieodżałowanej pamięci redaktora Jordana w „Kurierze Szczecińskim” był wiersz z teki młodych poetów pt. „Szczecin 1945” i zaczynał się tak:

*„Tyś było wtedy morzem
Umarłych rzeźb z kamienia
w łódeczce serca wiozłem
Ukryty lęk istnienia*

*W milczenia krzyku stygły
Strzaskane domów usta
Kominów czarne igły
Przebodły niebo w pustce*

*Tyś było martwym łądem
Bezładną wyspą wzruszeń
Do ciebie łódź przywiódłem
W tęsknoty cichej nucie*

*Uczyłem się cierpienia
Z kart trudnej twojej historii
Co w ruin stała cieniach
I w oczach jeszcze głodnych”*

A w poemacie poświęconym Szczecinowi i ziemi szczecińskiej pt. „Rzeźbiony Gryfem”, zamieszczonym w drugim kolejnym zbiorze poetyckim „Nie otworzysz drzwi”, kreślę również pejzaż pierwszych lat powojennego Szczecina powtarzając świadomie obrazy zawarte we wspomnianym wyżej wierszu:

*„Tyś było wtedy morzem
umarłych rzeźb
z kamienia
rudu gruz ruin
wypełniał
martwołą
falami sięgał
gardła domów
w ślepe oczodoły okien
wlewał
śmierć
skłębioną z kurzem
życia”*

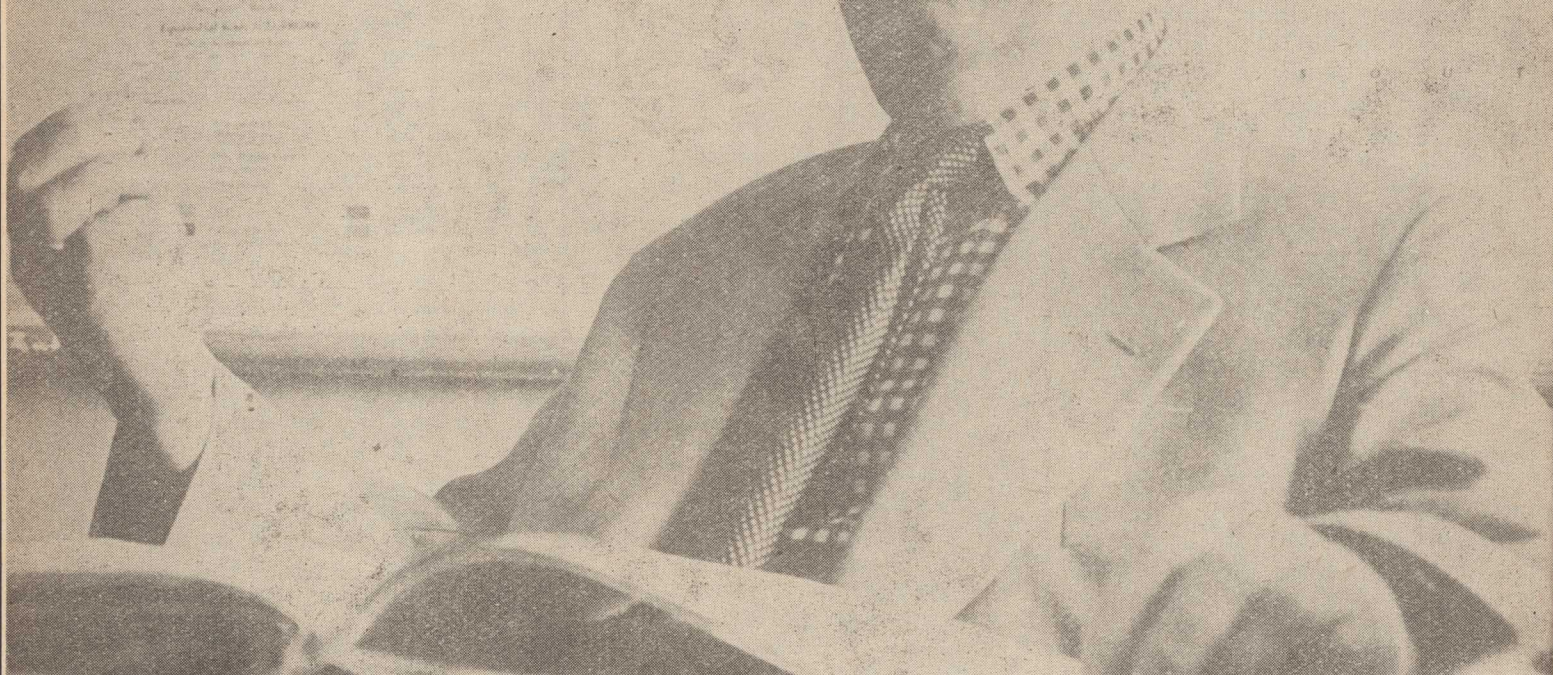
Ten obraz Szczecina z 1945 roku, który przeżyłem jako dziewiętnastoletni chłopiec, musiał mi głęboko utkwąć w pamięci, skoro on wielokrotnie inspirował moją twórczość poetycką, poświęconą temu miastu. Moje związki

ze Szczecinem są wielorakie. Przeżyłem w tym mieście wiele trudnych dni. Byłem pracownikiem stolarskim, pomocnikiem hydraulika, murarza. Pracowałem jako robotnik przeładunkowy. Wyrzucałem łopatą węgiel z wagonów, ładowałem buraki, rozładowywałem cysterny ze spirytusem. Wgryzałem się w bruk tego miasta wysiłkiem spracowanych rąk i potem czoła. Uczyłem się tego miasta, tej całej szczecińskiej ziemi nie z ksiąg i referatów, ale dzień po dniu oswajałem ją w sobie, kiedy na własnych nogach od świetlicy do świetlicy, od biblioteki do biblioteki przemierzałem ją wzdłuż i wszerz, jej wsie, drogi i lasy jako terenowy pracownik wojewódzkiego wydziału kultury, działacz oświatowy, prelegent Towarzystwa Wiedzy Powszechnej. Setki nawiązanych kontaktów, tysiące twarzy, setki spotkań, prelekcji, wykładów — to mój siew w jej glebę kulturalną, to mój wkład do jej rozwoju. I przez to właśnie narodziła się miłość do tego miasta, do tej Ziemi. Miłość niełatwa, niecukierkowa, bez sentymentów i tanych wzruszeń, ale twarda, uparta, ryta rylcem każdego dnia jak w głazie kamienia. Przeżyłem w tym mieście też wiele pięknych dni. Założyłem rodzinę. Tu urodziły się moje dzieci, które z mlekiem matki wssały piękno szczecińskiego pejzażu: urzekający widok na rzekę z Wałów Chrobrego, wyniosła sylweta Zamku i wieży, zieleń Jasnych Błoni, Arkonki czy Głębokiego.

Tu, w Szczecinie przeszedłem też kolejne etapy swojego życiowego awansu: od robotnika przeładunkowego poprzez inspektora wydziału kultury do wykładowcy na wyższej uczelni. Mogę śmiało powiedzieć, że rosłem i dojrzewałem z tym miastem, z tą Ziemią, która z roku na rok zmieniała swą twarz. Więc teraz, gdy sam sobie z okazji tych rozważań próbuję zadać to samo pytanie, które w mini-wywiadach zadawałem swoim kolegom po piórze, czuję, że odpowiedź bynajmniej nie będzie łatwa. Bo sprawa nie jest tak jednoznacznie prosta.

Wybrałem Szczecin, ziemię szczecińską, którą uczyniłem drugą moją ziemią rodzinną, nie dlatego, że zostałem urzeczony jej krajobrazem, ale dlatego, że wrosłem w nią korzeniami, że jej oddałem swoje — bez mała — całe życie, że z nią związałem swój trudny, najeżony nieraz bolesnymi przeciwnościami — los.

PHILIPS NEW COMMERCIAL MAP
OF
THE WORLD



SEWERYN KOCZOROWSKI

Za najpiękniejszy dzień swego życia uważa ten, w którym został gimnazjalistą: w jego rodzinnym Wągrowcu takich jak on chłopców z przedmieścia, kolejarskich synów do gimnazjum zazwyczaj nie przyjmowano. Pamięta, że biegł wtedy do domu w podskokach, by jak najszybciej podzielić się z matką nowiną, że jego jednak przyjęli i — tak, wtedy czuł się szczęśliwy. Uczucia takiej czystej radości nie doznał już nigdy więcej. Ani wtedy, kiedy na Uniwersytecie Poznańskim ukończył prawo — bo radość mąciła mu obawa, że z dyplomem prawnika w garści lecz bez stosunków nie znajdzie łatwo posady. Ani po skończeniu, na tymże uniwersytecie studiów ekonomicznych oraz otrzymaniu, zupełnie nieźle nawet płatnej posady w Banku Gospodarstwa Krajowego w Gdyni; był to bowiem rok 1939 i wojna wisiała już w powietrzu. Nie poczuł się szczęśliwy nawet wówczas, kiedy w powojennym już polskim Szczecinie został przewodniczącym Izby Morskiej. Zaskoczony tą nominacją był z pewnością również zaszczycony, lecz czy szczęśliwy — chyba jednak nie.

Jeśli pominąć jego przedwojenne jeszcze wprawki żeglarskie na Zatoce Gdańskiej, doświadczenia w sprawach morskich nie miał wtedy żadnego. Przytłaczała go ponadto ciężąca na nim odpowiedzialność: przed izbami morskimi mówi się przecież o życiu i śmierci wielu ludzi, waży majątek idący, bez przesady, w miliony dolarów, przy czym

każda trafiająca do wysokich izb sprawa praktycznie jest niepowtarzalna — przy ferowaniu wyroków trudno w związku z tym podpierać się precedensami. A zresztą, czy źródłem szczęścia może naprawdę być sądzenie ludzi, którzy właściwie chcieli dobrze? A tymczasem, w przeciwieństwie do sądownictwa „lądowego” sądownictwo „morskie” takimi właśnie ludźmi głównie się zajmuje.

Sędzia Seweryn Koczorowski jest obecnie wśród polskich — i nie tylko polskich — pracowników morza żywą legendą: funkcję przewodniczącego Izby Morskiej w Szczecinie pełni nieprzerwanie od lat dwudziestu ośmiu. Tylko o dwa lata krócej, niż instytucją Izby Morskiej w Szczecinie w ogóle istnieje (jesienią 1979 roku postanowiono zorganizować uroczyste obchody 30-lecia istnienia tej instytucji). Przez ten czas przed trybunałem, któremu przewodniczy, przewinęło się tysiące osób, przez ten czas „jego” trybunał rozstrzygnął setki spraw. Spraw różnych: takich, które przez swój dramatyzm poruszyły opinię całego środowiska, które zostały przez nią ledwo odnotowane oraz takich, które jeśli nie liczyć osób bezpośrednio nimi zainteresowanych — przemknęły niezauważone. Dla sędziego Koczorowskiego wszystkie one były jednak w swoim czasie ważne, do wszystkich podchodził ze swą, przysłowiową już skrupulatnością, na zapoznanie się z najdrobniejszymi ich szczegółami czasu i energii nie żałując; ta skrupulat-

ność przez niektórych nazywana jest nawet pedanterią. Lecz czyż tam, gdzie chodzi o czynienie sprawiedliwości, można pozwolić sobie na tromtadrację?

Z tym wszystkim jego pamięć, pamięć człowieka dziś sześćdziesięciopięcioletniego, przechowała tylko niektóre z tych spraw. Z obiektywnego czy też historycznego punktu widzenia spraw niekoniecznie najważniejszych. Lecz są to takie „casusy”, które jego osobiście z różnych względów poruszyły najbardziej (sędzia Koczorowski powiada wprawdzie, że w jego pracy nie ma miejsca na żadne sentymenty, a tym bardziej uczucia, lecz przecież jest żywym człowiekiem a nie automatem). Tak więc do dziś pamięta swą pierwszą sprawę, jaką rozpoznawał jako przewodniczący szczecińskiej Izby Morskiej.

Nie była ona zresztą — i na szczęście dla niego, wówczas w zagadnieniach morskich laika — szczególnie skomplikowana. Dotyczyła szczecińskiego stateczku wycieczkowego „Małgosia”, który 1 grudnia 1950 roku wpakował się na mieliznę na wysokości Polic: jak się okazało, kapitan „Małgosi” zszedł lekkomyślnie z mostka, zaś zostawiony samopas przy sterze jakiś młodszy marynarz bez powodu skręcił w prawo, no i stało się — statek zszedł z toru wodnego i osiadł na mieliznie. Nawiasem mówiąc, „Małgosia” skreślona została niedawno z Polskiego Rejestru Statków, poszła na złom, w związku z czym Koczorowski, z szokującą raczej postronnych zimną krwią powiada, że i jego czas już się zbliża.

W pamięci sędziego Koczorowskiego tkwi też sprawa awarii kutra rybackiego UST-3; być może dlatego, że przy jej rozpoznawaniu po raz pierwszy bodaj tak szczegółowo musiał wgłębić się w tajniki budowy silników okrętowych i sporo go to kosztowało (stary prawnik zna biegle angielski, francuski, łacinę a nawet grekę, lecz z techniką od dzieciństwa był na bakier). A z tym kutrem było tak: któregoś listopadowego popołudnia, przed wielu laty UST-3 miał wyjść w morze, przy czym był on akurat bezpośrednio po remoncie silnika głównego. Mimo tego remontu motorzyście kutra zdawało się, że przy próbnym rozruchu słyszy jakieś podejrzanne stuki przy pompie chłodzeniowej i w sprzęgle, wobec czego uznał, że silnik nie nadaje się do eksploatacji. Do późnego wieczora klócił się o to z przedstawicielem armatora, który twierdził, że przywidziało mu się i że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Koniec końców, koło wpół do trzeciej w nocy kuter wyszedł z Ustki na połowy, zaś motorzysta, a także szyper, zdenerwowani całą tą historią postanowili pójść spać; kuter poprowadził praktykant rybacki. Po godzinie obudził on motorzystę i powiedział, że z silnikiem coś się niedobrego dzieje. Motorzysta zszedł do maszynowni i spostrzegł, że od lubrykatora odłączyła się dźwignia, wskutek czego olej przestał dopływać do silnika, a łożyska zaczęły wykazywać zbyt wysoką temperaturę. Zatrzymał wobec tego silnik, połączył dźwignię z lubrykatorem, ręcznie podpompował olej, następnie znowu uruchomił silnik, no i — poszedł spać. Nazajutrz stuki w silniku słyszeli już wszyscy, wobec czego motorzysta znowu zatrzymał silnik: stwierdził wtedy, że drugie i trzecie łożysko po prostu wytopiło się; oblał zatem ów nieszczęsny silnik olejem, aby go ochłodzić, lecz olej zapalił się. Kuter nie mógł niestety wrócić do portu o własnych siłach, nie mówiąc już o tym, że nie mógł kontynuować połowów, na pomoc trzeba było wezwać statek ratowniczy. Wyrok w tej sprawie brzmiał: w pięćdziesięciu procentach winę za to ponosi armator, który spowodował wyjście kutra w morze bez dokonania właściwej kontroli sprawności technicznej silnika, a także nie dostarczył użytkownikom instrukcji jego obsługi, w pięć-

dziesięciu zaś procentach — motorzysta, który nie upierał się przy swoim i nie przekonał armatora, iż w silniku naprawdę stukalo, poza tym niepotrzebnie oblał ten silnik olejem, czym mógł wywołać pożar całego kutra. Nawiasem mówiąc, warto tu zwrócić uwagę na owe, wspomniane przed chwilą procenty: w sądownictwie „lądowym” orzeka się tylko „winien” albo nie, w sądownictwie „morskim” natomiast dodatkowo trzeba jeszcze podać, w jakim stopniu Iksiński czy Ygrekowski ponosi winę...

Sędzia Koczorowski pamięta też historię zderzenia się starego parowca z serii „Liberty”, „Kopalni Miechowice” z angielskim motorowcem „John B. Waterman”. Doszło do niego w Kanale La Manche, któregoś sierpniowego dnia, gdy na ów kanał spadła gęsta mgła. Tego typu zderzeń w owej niebezpiecznej kiszce było — i jest — oczywiście więcej, lecz była to sprawa, w której on miał wydać werdykt nie znając całej prawdy: Izba Morska dysponowała danymi tylko ze statku polskiego, statek angielski żadnych informacji na ten temat nie dostarczył. Niełatwo jest w takiej sytuacji czynić sprawiedliwość; a takich sytuacji w sądownictwie morskim, z samego swego założenia międzynarodowym, nie jest niestety mało...

Pamięta wreszcie sprawę, w wyniku której bodaj po raz pierwszy w swej karierze przewodniczącego trybunału pozbawił kapitana statku jego praw, inaczej mówiąc — zdegradował go. Ale czyż mógł postąpić łagodniej? Nie, kapitan tego statku — chodziło o statek rybacki „Krepina” — nie popełnił żadnego wykroczenia, nie złamał żadnego przepisu: po prostu przymykał oczy na fakt, że jego palacz coraz intensywniej i intensywniej się upija: pod wpływem alkoholu ów palacz, gdzieś na łowisku Georges Bank wypadł za burtę i utonął. Sędzia Koczorowski uważa, że naprawdę musiał pozbawić kapitana „Krepiny” jego praw: orzeczenia Izby Morskiej są przecież — czy przynajmniej powinny być — dla ludzi morza przestrożą. Otóż ludzie morza powinni wiedzieć, że alkoholizm żadnemu z nich, nawet pośrednio tylko w to wmieszanemu, nie ujdzie płazem.

Sędzia Koczorowski pamięta wreszcie sprawę zatonięcia statku rybackiego „Nysa”. Chociaż było to przed kilkunastu laty, pamięta ją w najdrobniejszych szczegółach: była to największa tragedia, z jaką miał do czynienia jako przewodniczący izby. Lecz tak się składa, że o „Nysie” nie chce niestety powiedzieć nic. Kilkunastu ludzi zginęło i właściwie do dziś nie wiadomo dlaczego — nie, lepiej naprawdę o tym nie mówić. Może także i dlatego, że tragedia „Nysy” najjaskrawiej chyba uprzytamnia, że morze to, mimo wszystkich cudów techniki, wciąż jeszcze groźny i niebezpieczny dla człowieka żywioł. Kiedy rozmowa schodzi na „Nysę”, stary, opanowany zazwyczaj, a nawet flegmatyczny, sędzia czym prędzej zmienia temat. Powiada więc, że zamiast wspominać stare dzieje i stare, minione sprawy, które rozpoznawał, lepiej spróbować wyciągnąć jakieś wnioski końcowe, zwłaszcza że są one właściwie nawet optymistyczne: otóż w porównaniu do lat pięćdziesiątych ilość wypadków morskich, z którymi izba ma do czynienia, wcale nie wzrosła — przy ogromnym wzroście ilościowym naszej floty. I jest to fakt przez wielu specjalistów uważany za naprawdę zaskakujący: sądzili oni niegdyś, iż rozwój floty oraz przemysłu okrętowego musi za sobą pociągnąć zwiększoną ilość wypadków. Nasza flota i nasz przemysł okrętowy przeżywają ostatnio okres niezwykłego rozkwitu, a jednak tych wypadków relatywnie wcale nie jest tak dużo. Żeby nie dochodziło do owych, niewyjaśnionych, a wstrząsających katastrof typu „Nysy”...

ANNA KRAJEWSKA



• KWIATY Z GRYZLIŃSKICH PÓL •

ALICJA MACIEJOWSKA

Będzie to opowieść o człowieku, którego credo brzmiało: „Uzyskanie własnych, polskich szkół, z polskimi nauczycielami stało się celem mojego życia”.

Opowieść o człowieku, o którym tak pisano i mówiono: „Jeden z najwybitniejszych działaczy polonijnych dwudziestego wieku”.

„Podziwiany i wychwalany jako przywódca z prawdziwego zdarzenia, to znów na dno piekła wtrącany.”

„Grubiański wiejski prorok podburzający spokojną ludność” — (to wrogowie z niemieckiej gazety z 1923 r.)

„Pan Baczewski wytknął sobie za główne zadanie nie owocną pracę dla społeczeństwa, lecz szerzenie niezgody, rozłam i nienawiści między pracownikami społecznymi. Na polu warcholstwa i blagierstwa pan Baczewski posiada niezaprzeczone nadzwyczajne zdolności” — (to dla odmiany „przyjaciele” z polskiej „Gazety Olsztyńskiej”, również z 1923 r.)

„To był człowiek z krwi i kości. Nie ma człowieka idealnego, nie ma takiego, który by wszystkim dogodził. Stąd tam mogły być takie czy inne nieporozumienia, ale jego wszystkie poczynania szły ku temu, żeby było tutaj jak najlepiej”.

Z tych wrywkowo zebranych opinii wyłania się barwna postać człowieka nietuzinkowego. Jego pełne zasług, ale i konfliktów życie toczyło się bujnie wśród wiernych przyjaciół i zjadłych wrogów. Dokonał wiele. Aż trudno uwierzyć, że tak zapomniano o tym. Jan Boenigk, który rozpoczął swoją działalność pod jego kierunkiem, pisze dziś obszerną książkę pt. „Saga rodu Baczewskich”:

— Tak się złożyło, że w najbliższą niedzielę w Gryzlinach miało się odbyć zebranie założycielskie Towarzystwa Ludowego. Przewodniczyć miał na tym zebraniu senior Baczewski, a że junior już był w domu, to ojciec powiada: „Czy to nie lepiej jak młodzi wyjdą na forum, niechże Jan przewodniczy”. I przewodniczył na tym zebraniu właśnie Jan — junior. Jeszcze w mundurze feldfebla niemieckiego. Był tam obecny żandarm, bo władze pruskie poleciły, żeby każde zebranie żandarmi obsługiwali. Jest raport tego żandarma w archiwum olsztyńskim, pełen gorczy, że jakże mógł zasiąść przy stole prezydalnym, na polskim zebraniu, człowiek w mundurze feldfebla niemieckiego”.

Na tym zebraniu w Gryzlinach powstało Polskie Towarzystwo Ludowe, a jego prezesem został Jan — junior. W pół roku później wybrano go do sejmiku powiatowego. Jego popularność rosła. W okresie przygotowań do plebiscytu otrzymuje nominację na kierownika olsztyńskiej delegatury Warmińskiego Komitetu Plebiscytowego. Teraz już ma okazję do ujawnienia w pełni swoich możliwości.

— Baczewski był pełen inicjatywy — mówi Jan Boenigk — pełen inwencji, pełen pomysłów; poza tym na wsi był szalenie lubiany. Niemcy twierdzili, że w okresie plebiscytu

i jeszcze przed plebiscytem potrafił cały powiat olsztyński zmobilizować przeciwko nim.

Od samego początku, po przybyciu komisji alianckiej, nie przestrzegano gwarancji, ani wolności osobistej, ani swobody działania, ani równouprawnienia języka polskiego. Pozostała przecież niemiecka administracja. Wojsko niemieckie — owszem — opuściło teren plebiscytowy, ale zorganizowano ochotniczą straż bezpieczeństwa i straż gromadzką; obydwie umundurowane i uzbrojone. Konieczność powołania straży gromadzkiej Niemcy motywowali niebezpieczeństwem zarazy bydłowej — pryszczycy. Skuteczną ochroną miały być karabiny maszynowe i granaty. Tak Baczewski opisuje swój powrót z jednego z wieców:

„Wracaliśmy wolno, zwracając baczną uwagę na szosę i okoliczne pola. Tu i ówdzie napotykaliliśmy szczapy metrowe porzucane po szosie. Nagle szofer zahamował, zauważył tuż przed wozem rozciągnięty w poprzek szosy na wysokości jednego metra drut, który był przymocowany do przydrożnych drzew po obu stronach szosy. Wskoczył z samochodu i błyskawicznie przeciął drut. Myśmy też wyskoczyli. W pobliskich krzakach usłyszeliśmy jakiś szelest. Zaledwie zdążyliśmy odskoczyć na drugą stronę samochodu i rzucić się na ziemię, gdy z krzaków tych padły w naszym kierunku dwa strzały. Odpowiedzieliśmy w ten sam sposób. Widocznie nasza odpowiedź była przekonywująca, bo usłyszeliśmy stękanie i śpiesznie oddalające się kroki. Przeszukaliśmy miejsce, skąd padły strzały, ale prócz śladów nic nie zauważyliśmy. Dalszą drogę do Olsztyna odbyliśmy spokojnie.

W trzy dni po tym zajściu żalił się Worgitzki w swoim piśmie »Ostdeutsche Nachrichten«, że polscy bojówkarze grają na Warmii i że zuchwalcy ci napadli w biały dzień na spokojnych Niemców, którzy przechadzali się po lesie.

O mnie napisał w ten sposób: »Strzeżcie się pistoletu Jana, on nie jest złym strzelcem. Jest on prawdziwą plagą naszego terenu«.

Od tego czasu już nikt na mnie nie napadał?».

Baczewski alarmuje rząd polski, że wynik plebiscytu jest z góry przesądzony na naszą niekorzyść. Jeździ dwukrotnie do Warszawy, aby przedstawić groźbę sytuacji, żądać przesunięcia terminu. Uzyskuje zgodę na ogłoszenie strajku plebiscytowego, który wkrótce zostaje odwołany na zalecenie Warszawy. Jedno udaje mu się uzyskać po pertraktacjach z komisją aliancką — otwarcie 1 IV 1920 r. siedemnastu polskich szkół i w dalszych dwunastu wprowadzenie nauki polskiego i religii po polsku. Niestety w czerwcu zaczęły się wakacje, a po lipcowym, przegranym plebiscycie wszystko stało się nieaktualne i powróciło do normy. Przez wiele następnych lat walczyć będzie Baczewski o polską szkołę. Od 1928 r. jako poseł do sejmu pruskiego.

Były takie sesje w sejmie pruskim — dodaje Jan Boenigk — którym Baczewski właściwie nadał ton na cały dzień, względnie i na dwa dni. Nawet prasa niemiecka sygnalizowała, że „polski dzień” w sejmie pruskim.

— Baczewski przestudiował na wylot cały regulamin sejmowy i nie popuścił żadnej okazji, ażeby nie wtrącić się, nie zareagować. Chociaż nie był członkiem tej czy innej frakcji. Proszę sobie wyobrazić moment, kiedy powstało to zrzeczenie wszystkich mniejszości narodowych w Niemczech. Po pierwszym jego przemówieniu przedstawiciele tych grup narodowościowych przystąpili do Baczewskiego, tak im się to

podobało, ta odwaga — wszyscy widzieli Polaków jako przywódców; Duńczycy, Czesi, Litwini, Łużycanie. No, Łużycanie to ogłosili nawet oficjalnie w swojej prasie, że my mamy swojego posła i on się nazywa Jan Baczewski, wy go znacie — tego człowieka ze stalowymi nerwami, który nie da się wyprowadzić w pole. Absolutnie niezłomny — to jest nasz człowiek. Tak pisała prasa. Baczewski był zapraszany do Danii, wywiady z nim przeprowadzano. Żądania Baczewskiego — one przewijają się nieomal we wszystkich jego przemówieniach. Domagał się przede wszystkim: szkół średnich, szkół zawodowych, szkół podstawowych. Domagał się również polskiego nadzoru szkolnego, domagał się instytucji kształcenia nauczycieli pochodzących z rodzin polskich.

12 XII 1922 r. — na łamach „Gazety Olsztyńskiej” dziękował Baczewski swoim wyborcom:

„(...) Przyrzekam — że będę Was bronił w miarę sił i możliwości. Cały mój wysiłek oddam służbie dla Was. Świat się dowiedziało, że lud polski na Warmii, Mazurach i Powiślu żyje i chce żyć nadal. Niechaj to zwycięstwo stanie się pobudką do wytrwałej dalszej pracy.”

A tak Baczewskiego — jako mówcę — opisuje „Dziennik Berliński” z lipca 1925 r.:

„(...) Obraz godny uwagi widzieć Baczewskiego na trybunie mówcy. Wysokiego wzrostu, silnie zbudowany mężczyzna, pełen wymowy wyraz twarzy, pewny siebie, o oczach promieniających siłą woli i gotowości decyzji, o wyczulonym słuchu, któremu nie ujdzie żaden zwischenruf, na który daje natychmiast odpowiedź, gdy uważa za słuszne to zakrapia to ironią, to humorem. Ma się wrażenie, że im częściej mu się przeszkadza, tym wspanialsza jest jego mowa. Gdy ciosy przeciwników odpiera nigdy nie traci wątku”.

Oto fragmenty kilku przemówień wygłoszonych przez Baczewskiego w latach 1923—1928; przemówień, które do furii doprowadzały posłów ugrupowań nacjonalistycznych.

„(...) Dzieci w szóstym albo w siódmym roku życia władają jedynie i wyłącznie językiem polskim. A mamy w powiecie olsztyńskim, a także na Mazurach, szkoły, w których nauczyciele ni w ząb nie znają języka polskiego. Możecie sobie wyobrazić, jak wygląda nauczanie w tych szkołach. Dziecko nie zna języka niemieckiego, a nauczyciel języka polskiego. Toć to prawdziwa szkoła głuchoniemych. Jako dowód przedstawiam sam siebie. Do siódmego roku życia ja ani słówka nie mówiłem po niemiecku, a moi rodzice, szczególnie matka, nie umie mówić po niemiecku jeszcze dziś, mimo że na Warmii osiedleni już jesteśmy setki lat. (...) — Mnie nauka w szkole głuchoniemych zrabowała cztery lata życia”.

„(...) Wskażcie mi, gdzie na rozległych boskich połaciach ziemi są szkoły, w których dzieci i nauczyciele wzajemnie się nie rozumieją, gdzie nauczyciel i dzieci mówią odrębnymi językami. Nigdzie! Takie są jedynie w Prusach”.

Przez dwie kadencje wojuje Baczewski w sejmie pruskim. Walka zaowocowała uchwaloną w grudniu 1928 r. ordynacją dotyczącą uregulowania szkolnictwa dla mniejszości polskiej. Od tego czasu Baczewski jako prezes Polskich Towarzystw Szkolnych w Niemczech poświęca się całkowicie organizacji szkolnictwa i przenosi się wkrótce z Olsztyna do Berlina. W wyborach do sejmu pruskiego w 1928 r. nie przeszedł już żaden poseł polski.

Po zapoznaniu się ze wszystkimi przemówieniami Baczewskiego w pruskim Landstagu oraz z replikami na jego wypowiedzi oczywiste się staje, że Baczewski bardzo im prze-

szkadzał, był niewygodny. Przecież Baczewski brał udział w kongresach związków mniejszościowych w Genewie i jest sporo materiałów również ze strony niemieckiej podkreślających, że niewygodny im jest radykalista Baczewski. Musieli Polacy przegrać wybory. Do tego doprowadzili Niemcy terrorem, fałszerstwami, różnymi innymi metodami. Cel był jeden — nie może taki Baczewski przemawiać więcej z trybuny sejmowej.

* * *

— Ojciec pozwalał nam w domu bawić się w to, co chcieliśmy — wspomina Stefan Baczewski. — Nie ograniczał nas, nigdy nie było tego, żeby nam jakiejś zabawy zakazał, z tym, że przy nauce był bardzo surowy. On nigdy nie sprawdzał wyników. Nie było tego, żeby chodził — jak dzisiaj się chodzi do szkoły na zebrania, jego interesowało świadectwo. Kupił wszystko, co nam było potrzebne, ale pieniędzy nie dawał. Jak ja byłem na studiach, no to ojciec widać młodzieź znał — bo zorganizował to w ten sposób — ja otrzymywałem miesięcznie ileś tam złotych, ale liczył na to, że u studenta te pieniądze mogą szybko zniknąć i nie będzie co jeść, wobec tego przysyłał worek mąki, który został oddany do prywatnego piekarza i ja odbierałem tylko chleb, tak że miał pewność wyżywienia. Był doskonałym organizatorem.

— Zdawaliście sobie sprawę, kim jest wasz ojciec?

— Rodzina nigdy nie wie. Dla nas to był ojciec, którego trzeba było słuchać. Nie było żadnej ulgowej taryfy, on nie popuścił. Nie wolno nam było kłamać. Poszedłem na węgry, chyba z siedem dni i się nie przyznałem. No to wtedy, pamiętam do dzisiaj — dosyć surowe było lanie...

W oczach Polonii olsztyńskiej:

Otylia Grotowa — Ja jeszcze Baczewskiego nie znałam, to dużo o nim słyszałam, bo przecież o Baczewskim było głośno. To był wielki autorytet. Zwłaszcza młodzi się do niego z wielkim szacunkiem odnosili. Trzeba powiedzieć, że on umiał docenić każdy wysiłek i każdą pracę, i potrafił dać wyraz temu.

Jan Boenigk — I cieszył się Baczewski ogromnym wzięciem również wśród nauczycieli szkół polskich, które później były na tym terenie.

Helena Barczowa — Żartować też potrafił. Wesoły człowiek był. No jak się schodziliśmy to i potańczył. Ładnie się bawił.

Otylia Grotowa — Bo tutaj odbywały się zabawy ludowe, zjeżdżała się młodzież z okolicznych wiosek, zwykle była najpierw jakaś akademія, jakieś przedstawienie, a potem była wspólna zabawa. Nigdzie się tak nie bawiono jak na tych naszych zabawach. I o to właśnie dbali ci przywódcy i Baczewski też poczuwał się do tego, żeby była dobra atmosfera, i nie było tam wypadku, żeby któraś dziewczyna siedziała.

Jan Boenigk — Chciał być popularny i był popularny. Z niego można było zakpić i powiedzieć mu twarde słowo — „nie masz racji, Janie”; nawet gdyby ktoś powiedział — „głupi jesteś”, śmiały się i powiedział: „A ja ci zaraz wytłumaczę jak to wygląda.” A więc dyskutował. Nie miał żalu do ludzi. Poza tym Baczewski miał — bądź co bądź — taki bardzo zdrowy i logiczny wąż, tak bym to powiedział, wycucie, że tak trzeba postąpić, a nie inaczej, że tak będzie trafniej. I śmiało trzeba występować. Przede wszystkim jego cechowała ta śmiałość. Był bardzo bezpośredni.

Wojciech Wrzesiński — Faktycznym kierownikiem, a nawet więcej, niemal dyktatorem polskiej akcji przedwyborczej w Prusach Wschodnich był Jan Baczewski. Działalność Baczewskiego, człowieka o szerokich horyzontach politycznych, lecz bardzo upartego, apodyktycznego, trudnego do współpracy w codziennym współżyciu, wywoływała nadal ciągle tarcia, kłótnie i spory wpływające nie tylko ze względu na różnice polityczne.

Juliusz Malewski — Z tego, co powiedzielibyśmy, można by chyba stworzyć sobie jakiś obraz, że to nie był człowiek tyran, despota. Młodzi historycy, którzy nie znali Baczewskiego, a znali go tylko z opowiadań różnych osób, od strony „papierkowej”, mogli tak wykoślawiony obraz o Baczewskim wytworzyć.

Stefan Baczewski — Trzeba go było znać, żeby określić, jakiej miary był to człowiek.

Juliusz Malewski — Baczewski był wybitną postacią, a dlaczego on odszedł z polskiego ruchu mniejszościowego w Niemczech? To by trzeba wyjaśnić.

Jan Boenigk — Jest u mnie oryginalny dokument tego zwolnienia:

Związek Polaków w Niemczech
Zarząd

Berlin, 28 czerwca 1933 r.

Wielmożny Pan
Jan Baczewski
Referent do spraw Oświatowych
przy Związku Polaków w Niemczech

Niniejszym komunikujemy Wielmożnemu Panu, iż zmuszeni jesteśmy Wielmożnego Pana z zajmowanego stanowiska zwolnić. Zgodnie z kontraktem wypowiadamy Wielmożnemu Panu posadę na koniec bieżącego roku kalendarzowego, zwalniając równocześnie od obowiązku pracy od dnia bieżącego roku.

Dziękując Wielmożnemu Panu za dotychczasową pracę zostajemy z poważaniem

Kierownik Naczelny
dr Jan Kaczmarek

Prezes
ks. dr Bolesław Domański

V-ce Prezes
Kazimierz Donimirski

Stefan Baczewski — Ojciec był przeciwnikiem sanacji, a także zbliżenia polsko-niemieckiego, które wówczas powstało, bo zawsze twierdził, że z tego nic dla Polski dobrego nie wyniknie. No i chyba miał rację.

Jan Boenigk — Niesnaski, jakie wynikiły pomiędzy dr. Kaczmakiem a Baczewskim doprowadziły do tego, że Baczewski chciał uniezależnić, od Związku Polaków w Niemczech, Związek Towarzystw Szkolnych. Następnie dochodzi jeszcze niechęć do Baczewskiego ze strony ks. dr. Domańskiego. Baczewski cieszył się na Górnym Śląsku, wśród ludności śląskiej olbrzymim powodzeniem, autorytetem, był popularny wśród przywódców śląskich, a to z kolei nie podobało się dr. Kaczmakowi, który miał pewne przerosty ambicji do tego stopnia, że ktokolwiek z Baczewskim się kontaktował, w oczach dr. Kaczmarka kwalifikował się na przeciwnika Związku Polaków. To był absurd, to już była pewna historia.

A. M. — Czy po tej dymisji Baczewski całkowicie odsunął się od Związku Polaków?

Juliusz Malewski — Nie Baczewski się odsunął, tylko jego odsunięto. Do tego stopnia, że podobno specjalnych szpicli wynajęto, żeby dociekli kto z Baczewskim się kontaktuje.

A. M. — I tak to trwało aż do 1939 roku?

Jan Boenigk — Baczewski chciał wrócić.

A. M. — Tak opisuje to we „Wspomnieniach Warmiaka”:

„W tych najgorętszych miesiącach, poprzedzających wojnę, w centrali Związku Polaków w Niemczech panowało bezkrólewie. W kwietniu 1939 roku zmarł ks. dr Domański. Dr Kaczmarek od maja 1938 roku przebywał w Polsce. Kazimierz Donimirski przebywał z dala od Berlina.

O bezwładzie, jaki panował w centrali w ostatnim okresie przedwojennym, byłem dokładnie poinformowany przez jej pracowników. Nie chciałem przypatrywać się temu biernie i na cztery dni przed wybuchem wojny wysłałem do centrali swego syna Zbigniewa z listem następującej treści:

»Do Związku Polaków w Niemczech i do Związku Polskich Towarzystw Szkolnych w Niemczech

Oświadczam, że od tej chwili gotów jestem przyjąć na siebie za całokształt polskiego życia w Niemczech i za organizację polskie pełną odpowiedzialność. Proszę o pełnomocnictwa.

Jan Baczewski«

— Propozycji nie przyjęto?

Juliusz Malewski — Nie przyjęto, bo było za późno. Potem wybuchła wojna.

Jan Boenigk — Baczewskiego aresztowano od razu 1 września.

Zygmunt Baczewski — Rano godzina piąta, jeszcze zanim oni przyszedli, to ojciec mówił: „Dzieci, jest wojna. Oni tu zaraz przyjdą”. Zabrali ojca i umieścili go na 24 godziny w tzw. sprycenhausie w Rangsdorfie, i na drugi dzień odprowadzali ojca w asyście policjantów tłumy hitlerowskiej młodzieży, stojąc wzdłuż ulicy, którą prowadzili ojca i opluwali go. Zawieźli ojca samochodem do Poczdamu. Przed wywozem ojca matka poszła do burmistrza gminy. Na górę do niego prowadziły takie strome schody. Wyprowadził ją i zrzucił z tych stromych schodów. Po powrocie matki przybyła policja i zabrano wówczas brata Tadeusza, który miał 17 lat i mnie. Miałem 18 lat.

Stefan Baczewski — Jak zabierali braci, to byli wściekli, że my się po polsku żegnamy i wtedy matce powiedzieli — pani jest chyba najgorsza w tym domu; że tu aresztują, a mówi się po polsku. Przetransportowali ojca z Poczdamu do Sachsenhausen.

Jan Boenigk — W Sachsenhausen był ze mną razem. Humorem podtrzymywał innych, humoru mu nigdy nie brakowało. Nawet i tam zawsze był pełen optymizmu. Pewnego dnia zwolniony zostaje mój kolega Golisz. Po jakimś czasie kolej była na mnie. Kiedy wyszedłem na wolność dowiedziałem się, że sprężyna, która działała na naszą korzyść jest niejaki Jarosz, który urzędował w biurze Gestapo, ale równocześnie według opowiadania wtajemniczonych ludzi miał być szefem komórki antyhitlerowskiej. I w ten sposób został też zwolniony Jan Baczewski.

Stefan Baczewski — Z tym, że z Gestapo ktoś przychodził co dwa miesiące, żeby się zorientować co się dzieje. Jak na ironię pierwszy nalot angielski na Berlin, pierwsza bomba trafiła w nas. Byliśmy pierwszymi w Berlinie poszkodowanymi.

A. M. — Kończy się wojna. Jak to się stało, że Baczewski nie wrócił do Olsztyna?

Jan Boenigk — Kiedy Berlin był bombardowany, to firma stolarska, w której pracował, przeniosła część swoich agend pod Szczecin. No i Baczewskiego tam oddelegowano. Niemcy uciekają, więc on będąc tam na miejscu, wszedł do willi dopiero co opuszczonej, zajął ją.

A. M. — On jednak chciał wrócić do Olsztyna.

Juliusz Malewski — Jechał z Dębna do Olsztyna, gdzie miał

zostać wojewodą. Już był w Pile, gdy dowiedział się, że wojewodą jest dr Robel. Wrócił do Dębna.

Stefan Baczewski — Ojciec cały czas myślał o Olsztynie, tylko były pewne przeszkody. Działacze miejscowi bali się, że mógłby mieć tam zbyt duże wpływy, zwłaszcza u ludności miejscowej. Ojciec zawsze miał pretensję, że tam się prowadzi w stosunku do autochtonów złą politykę.

Jan Boenigk — Jeszcze bodajże w 1956 r. przyjechał do Olsztyna i rozmawiał z ówczesnym przewodniczącym Wojewódzkiej Rady Narodowej, który przedstawił mu trudną sytuację w rolnictwie, a on na to powiada: „Wpuśćcie tu mnie, dajcie mi to w ręce, to ja wam pokażę jak rolnictwo powinno wyglądać”. Nie wiadomo czy to nie spowodowało, że nie było dla Baczewskiego mieszkania w Olsztynie, że dom jednorodzinny, który był w Olsztynie budowany wówczas przeznaczono dla kogoś innego.

Juliusz Malewski — Potem wszystko ucichło i z tego nic nie wyszło. Tak więc chcąc nie chcąc pozostał Baczewski w Dębnie Lubuskim, gdzie w pierwszym okresie sprawował funkcję burmistrza, i skąd został wybrany posłem na sejm. Po tylu latach niewiele jest już ludzi z którymi wówczas współpracował, którzy go cenili lub zwalczali. Nie jest łatwo odtworzyć atmosferę tamtego czasu, odnaleźć smak i koloryt dni.

A. M. — Spróbujmy...

Józef Bobowski — Jako burmistrz był bardzo dobrym gospodarzem. To był działacz wielkiej miary. Ja byłem burmistrzem w Moryniu. Często spotykaliśmy się na naradach u starosty powiatowego. Zaslugą jego jest odbudowa wodociągów, uruchomienie niektórych zakładów produkcyjnych. Poza tym dość szybko — jak na ówczesne warunki — zagospodarował miasto. Bardzo chętnie przyjmował osadników wojskowych. Za jego czasów było to miasteczko czyste, schludne, zarząd miejski miał wysoki autorytet.

A. M. — Na jakim tle zaczęły się rozdziewki pomiędzy nim a władzami miejscowymi?

Mirosław Humiłowicz — Miał konflikty z władzami miejscowymi, chodziło o to, że pan Baczewski miał swój majątek pod Dębem. Duże gospodarstwo. No i władze ówczesne ograniczały wielkość tych gospodarstw. I na tym tle dochodziło do pewnych konfliktów.

Stefan Baczewski — To nie było naszą własnością. To była dzierżawa, 80 ha. A tak ojciec gospodarował, że nigdy się nic nie zmarnowało na polu.

Jan Boenigk — On był rzecznikiem czy raczej propagatorem gospodarki większej, bardziej rentowanej. Lubował się w hodowli bydła. Podobno jego obora była pokazowa.

Stefan Baczewski — Chyba miał i fenomenalne szczęście, bo pamiętam, pierwszy raz chyba na tamtym terenie zakontraktował len i konopie. On wówczas już stosował to, co się dziś dopiero na szerszą skalę stosuje, a czego inni gospodarze nie stosowali w ogóle — sztuczne nawozy. Więc jak te konopie wyrosły to był las. Myśmy próbowali ciąć kosiarką — to się lamało, a było tego ok. 3 ha. Na dworzec woziliśmy len, (to szło do rozszarni) i te konopie z dobry tydzień. Jeden wagon za drugim odchodził. I to wówczas też było solą w oku. Bo doskonale z tego był dochód.

Jan Boenigk — Teraz otrzymywałyby dyplomy za to, ale wówczas był taki trend, żeby do spółdzielczości się garnać, on nie bardzo był za tym, spółdzielczość mu nie odpowiadała, tak że władze nie patrzyły na niego przychylnie, co jest wynikiem tego, że on ciągle wojował i wykazywał swoją rację.

Stefan Baczewski — Między innymi w kwestiach podatkowych. Jeżeli już nie można było w jakiś inny sposób ojcu dokuczyć, żeby zlikwidował gospodarstwo, to się zaczęły domiary. Ojciec, choć nie był prawnikiem, doskonale inter-

pretował przepisy i zawsze zwycięsko wychodził — nie z pierwszą instancją, w województwie też przegrywał. Dopiero w Warszawie przyznawano mu rację. Co na miejscu wywoływało niechęć do niego, zwłaszcza że nie tylko dla siebie to robił, ale i dla sąsiadów. Do niego przychodziło sporo osób po porady, żeby tu i tam napisał, no i żeby w jakiś sposób jako poseł interweniował.

Jan Boenigk — Potem mu to gospodarstwo zabrano, potraktowano go jako kułaka.

Stefan Baczewski — Wówczas wytoczył proces przeciwko skarbowi państwa o zapłatę za inwentarz żywy i martwy, który stanowił już naszą własność. No i ojciec wygrał, tylko nastąpiła wymiana pieniędzy i zamiast tej dużej wygranej — była bardzo mała.

Józef Bobowski — On czasem wytykał tym władzom niedowład. Pamiętam — piętnował rozdział dóbr unrowskich. Te konie, odzież, żywność — były po prostu kradzione. Kumoterskie stosunki były. Pamiętam — jeden ze starostów — sam byłem tego świadkiem — kazał jednemu z osadników zabrać konia i zaprowadzić go do siebie, do swojej stajni. I Baczewski przeciwstawiał się tym sprawom.

Stanisław Ługowski — Niemniej jednak niektóre jego posunięcia były dosyć agresywne w stosunku do tej młodej władzy, takie nietolerancyjne. Chciał być dygnitarzem, żeby mu się kłaniano, żeby był najbogatszy, takie były tendencje u niego do bogacenia się.

Mirosław Humiłowicz — Nie. Nie odniosłem takiego wrażenia. Ja go znam z urzędu, czyli jako burmistrza. Widziałem jak czyni starania, żeby miasto bogacić, zagospodarować.

Jan Boenigk — Baczewski każdą niegospodarność krytykował, obojętnie kto za to odpowiadał.

Mirosław Humiłowicz — Był bezpośredni, ale był bardzo konkretny. Konkretnie żądał jakichś odpowiedzi, jak również konkretnie zadawał pytania, względnie stawiał opory, a był przy tym bardzo dowcipny.

Stefan Baczewski — Miał język cięty, to prawda. Moze z tym nieraz przesadził, zbyt dosadnie komuś dociał. Ojciec może dlatego miał tylu nieprzychylnie nastawionych ludzi, bo widząc, że ktoś jest jemu nieprzychylny, to jeszcze specjalnie go drażnił. Jeżeli jechaliśmy do restauracji czy do kawiarni, to konno. Kopyta końskie musiały być wyczyszczone, świeżące, i wtedy trzeba było konno zajechać, konie przywiązać, a niestety kawiarnia czy restauracja były na przeciwko pewnych bardzo ważnych urzędów i oni to wszystko widzieli. To spowodowało jeszcze większe rozdrażnienie.

Stefan Kozicki — Zawsze był rubaszny, wesoły. To był taki typowy ludowy działacz, który zapewne tym swoim sposobem bycia zjednywał sobie poklask i uznanie u Ślązaków i Warmiaków, wśród których działał. Politycy z tamtych regionów to są ludzie — jak to się mówi — krew z krwi, kość z kości ludu polskiego. Wszystko w jego ustach urastało do rangi rablesowskiej.

A. M. — Stefan Kozicki był w 1956 roku w Dębnie i napisał reportaż pt. „Wielka w małym Dębnie polityka”, którego bohaterem był Jan Baczewski.

Stefan Kozicki — Przyjechałem do Dębna po to, żeby go zobaczyć i żeby z nim porozmawiać. Towarzyszył mi w mojej podróży inspektor z Rady Państwa. Najpierw, nim do Baczewskiego zawędrowaliśmy, udaliśmy się do siedziby władz miejscowych. Przypadek zrzucił, że wszedł do gabinetu, w którym siedzieliśmy z inspektorem, sam Baczewski. Potężny człowiek, wysoki. Wyciągnął jakiś papierek, położył przed przewodniczącym i poprosił o poświadczenie autentyczności podpisu. Przewodniczący odmówił. Wydawałoby się scena komiczna, ale o czymś świadcząca — że, mimo iż Ba-

czewski spotyka się z przykrościami od strony miejscowych urzędów — to jednocześnie te urzędy jak gdyby się jego bały, chciały go odsunąć poza zasięg swojego widzenia.

A. M. — Czy w tym okresie był bardzo rozgoryczony?

Stefan Kozicki — Był rozgoryczony. Nie dziwię się. Liczył na to, że jego zasługi niewątpliwe i wielkie w obronie polskości w Niemczech zostaną przez Polskę Ludową właściwie docenione. Był to człowiek starszy, ale ciągle kipiał energią i liczył, że jego możliwości zostaną wykorzystane. On był rozgoryczony oczywiście, ale wiedział, że ma rację. Nie narzekał. Bez przerwy sypał anegdotami.

Stanisław Ługowski — Nikt go z władz nie krzywdził. On początkowo czuł się jakby właścicielem tego miasteczka. Życie tego nie toleruje. Młodzi ludzie dorastają, bardziej energiczni, bardziej społeczni. On raczej przeliczał i chciał coś z tego mieć.

Stefan Kozicki — On był niezależny finansowo, nie był na żadnej posadzie, nie miał żadnej pensji, i ta jego ekonomiczna niezależność też denerwowała, a to nie były przecież żadne wielkie bogactwa. Jeżeli zarzuca się komuś, że ma w domu fortepian i to jest dowodem na to, że jest łasy na dobra tego świata, to chyba zachodzi jakieś nieporozumienie, w każdym razie pomieszanie pojęć.

Jan Boenigk — On był chory już dłuższy czas, jeszcze w 1956. No, ale był jeszcze pełen werwy.

Juliusz Malewski — Zachorował, jeszcze w Dębnie i został przetransportowany — zresztą na moją interwencję — do polikliniki w Gdańsku. Chorował na raka.

Jan Boenigk — Był 19 czerwca 1958 roku. Gdzieś około godziny jedenastej telefon z Gdańska od syna Jana Baczewskiego, który zakomunikował mi, że stan ojca jest już bardzo zły, że lekarze rokują mu nie dłużej jak 24 godziny życia. Zatelefonowałem do Juliusza Malewskiego i powiedziałem: „Słuchaj, z Baczewskim jest bardzo niedobrze i proponuję, żebyśmy zaraz wsiedli do samochodu i udali się do Gdańska, żeby jeszcze z nim porozmawiać”.

Juliusz Malewski — Jadąc do Gdańska dopiero nam się przypomniało, że przede wszystkim Baczewskiemu trzeba coś przywieźć, jakąś pamiątkę. I strzeliła nam myśl do głowy, zebrać snop różnych kwiatów polnych; chaber nie chaber, kłosy...

Jan Boenigk — Wchodząc powiadam: „Janie, niesiemy ci kwiaty z gryzlińskich pól”.

Juliusz Malewski — Prawdę mówiąc, to skłamaliśmy, że to z pól gryzlińskich, bo to było z pól gdańskich.

Jan Boenigk — Próbował się zerwać, trudno mu było. I tak chwycił oburącz, do siebie przytulił jak dziecko, głaszcząc je, „kwiaty z gryzlińskich pól” powtarzał.

Juliusz Malewski — No, możesz zaświadczyć, że biedak się rozplakał.

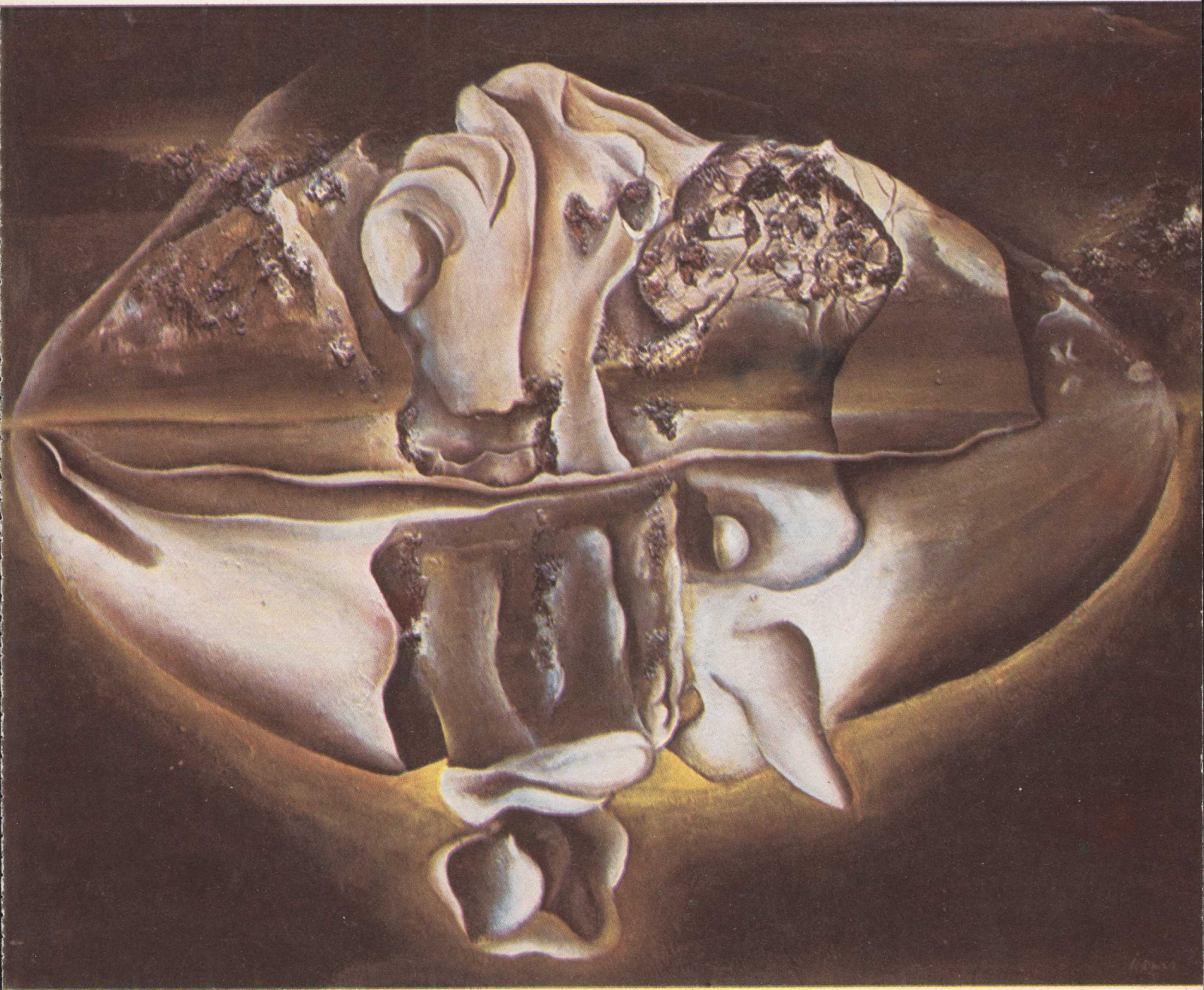
Jan Boenigk — Na to wchodzi pielęgniarka. „Czy pani wie co to są za kwiaty? To z moich rodzinnych Gryzlin, z mojej rodzinnej wsi. Niech pani przyniesie wazon”. Przyniosła wadro i musiała na taborecie postawić, vis á vis, ażeby mógł patrzeć. Ręce złożył i westchnął: „Kwiaty z moich pól, z naszych pól”. Takie było pożegnanie. Pogrzeb odbył się w Olshynie. Był ulewny deszcz, ale tłum ludzi. Przyjechali ze Śląska, ze Złotowszczyzny, ze wszystkich części Ziemi Zachodnich Polski.

Stefan Kozicki — I dopiero po śmierci Baczewskiego zaczęły spływać zaszczyty. Nagroda, order, wydana książka, wspomnienia, artykuły.

Stefan Baczewski — Nawet Krzyż Kawalerski, który ojcu miano wręczyć, odebraliśmy po śmierci.

Helena Barczowa — On tak chciał być pochowany na warmińskiej ziemi. Nie mógł wrócić za życia, to przynajmniej w taki sposób.

SEMPRONIU ICLOZAN (Rumunia) — „Dogmatyczny owal” — olej (własność Muzeum Narodowego w Szczecinie)



Fot. W. Termanowski



FRANK RUDDIGKEIT (NRD) — „Krajobraz koło Wołgogradu” — olej (własność Muzeum Narodowego w Szczecinie)



Fot. W. Termanowski

NARODZINY ŚRODOWISK ARTYSTYCZNYCH SZCZECINA (1945-1948)

KAZIMIERZ
KOZŁOWSKI

Artykuł ten stanowi część większej pracy poświęconej formowaniu się środowisk twórczych Szczecina. Zamieszczone fragmenty dotyczą procesu powstawania w pionierskich latach 1945—1948 środowisk artystycznych, tzn. teatralnego, muzycznego, literackiego i plastycznego. Niniejszy szkic nie wyczerpuje całości złożonego zagadnienia i nie jest też próbą monografii wyżej wspomnianych środowisk. Autorowi chodzi o pokazanie pewnych prawidłowości związanych z wyżej określonym tematem.

Na łamach „Morza i Ziemi” zamieszczone zostaną jeszcze dwa artykuły rozwijające zagadnienie w latach następnych, tzn. w okresie 1949—1959.

O rozwoju instytucji artystycznych Szczecina decydowały w omawianym okresie zarówno mecenat sprawowany przez władze terenowe, potencjał ekonomiczny, ludnościowy i naukowy Szczecina jak i względy komercyjne. Należy także uwzględnić naturalny klimat społeczny, sprzyjający rozwijaniu inicjatyw kulturalnych na rzecz spragnionych polskiej sztuki — po sześciu latach okupacji czy tułaczki — mieszkańców miasta. Patriotyczny entuzjazm leżał często u źródeł krzątania poszczególnych działaczy, którzy na Ziemiach Odzyskanych pragnęli wskrzesić wielką, polską kulturę. Trzeba jeszcze dodać, że „kresowy” i morski Szczecin był jednym z większych miast polskich, mógł być więc również i z tego powodu atrakcyjny dla ludzi sztuki, którzy stracili dom i warsztat pracy w zniszczonych miastach Polski centralnej oraz w innych ośrodkach kultury polskiej, które nie weszły po 1944 r. w skład państwa polskiego.

Początki życia teatralnego miasta wiązały się ze sprowadzaniem przez władze resortu kultury imprez teatralnych z zewnątrz. Sprawa ta nie była prosta. Sytuację na tym odcinku charakteryzuje pismo naczelnika Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego, przesłane do Ministerstwa Kultury i Sztuki w styczniu 1946 r. Naczelnik S. Czapelski pisał „...Muszę zaznaczyć, iż do naszego okręgu nie można przykładać miary wojewódzkich wydziałów w Centralnej Polsce. W naszym terenie Wydział sam musi wszystko robić, w przeciwnym wypadku nikt nie przyjedzie, chyba imprezy jak najmniej pożądane. Budżetu teatralnego nie jestem w stanie zrobić, gdyż stałego zespołu teatralnego nie posiadamy i z konieczności będziemy musieli posługiwać się zespołami przyjezdnymi. Dyrekcje Teatrów żądają gwarancji na przedstawienie, rozpiętość tych gwarancji jest dość znaczna, jak dotąd (...) przedstawia się od 8.000,— zł do 14.000,— zł za przedstawienie. Poza tym trzeba zespół przewieźć i wyżywić, dać kwatery”.

Z meldunków wynika, że pierwsze imprezy artystyczne, realizowane przez zespoły z Poznania, odbyły się w Szczecinie już w czerwcu 1945 r.

Organizowanie pierwszej sceny teatralnej w Szczecinie nazwanej „Grażyna” podjęli: Helena Rajkowska, aktorka pochodząca z Krakowa i Zbigniew Lubas, pieśniarz (baryton) także z Krakowa oraz aktor Jan Czabanowski.

Dnia 2 września 1945 r. odbył się pierwszy historyczny spektakl wspomnianego teatru. Afisz głosił, że w teatrze „Grażyna” w Szczecinie, przy ul. Swarowicza, reprezentacyjny zespół Urzędu Informacji i Propagandy wystawia rewię pt. „Nasz debiut” w reżyserii H. Rajkowskiej.

W grudniu 1945 r. po pozyskaniu patronatu Komitetu Miejskiego Polskiej Partii Robotniczej teatr „Grażyna” zmienił nazwę na „Teatr Mały”. Teatr ten otrzymał od władz miejskich cztery pokoje w willi, z których po przebudowie uzyskano salkę widowiskową na 250 osób ze sceną o wymiarze 6X6m i skromnym zapleczem. Pierwsza premiera z repertuaru dramatycznego odbyła się w grudniu 1945 r. Wystawiono „Grube Ryby” Michała Bałuckiego. Teatr miał charakter półamatorski, jego poziom artystyczny w pierwszym roku działalności krytyka oceniała jako niski.

Ze strony władz wojewódzkich, tzn. Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego, podjęto w marcu 1946 r. próby utworzenia teatru zawodowego. Misję tę powierzono profesjonalście Bronisławowi Skąpskiemu. Skąpski został dyrektorem „Teatru Polskiego”, drugiej obok „Teatru Małego” placówki teatralnej Szczecina, pierwszej o charakterze zawodowym.

Premiera odbyła się dnia 15 czerwca 1946 roku — wystawiono „Damy i Huzary”.

Po kilku spektaklach i dwumiesięcznej działalności w sierpniu 1946 r. B. Skąpski otrzymał wypowiedzenie, a do Szczecina przybył z Lwowa teatr pod kierownictwem S. Czosnowskiego. „Nie uzgodnione zawczasu stanowisko Warszawy i Szczecina co do obsady kierownika teatru oraz pewne niewyjaśnione po dziś dzień ambicje personalne spowodowały usunięcie B. Skąpskiego z dyrektorstwa Teatru Polskiego i przedwczesne sprowadzenie ze Lwowa części zespołu teatralnego Sylwestra Czosnowskiego. Powstała stąd niemiła sytuacja dla obu stron, która spowodowała duże zamieszanie w życiu teatralnym Szczecina...” pisał na łamach katowickiej »Odry« S. Telega w czerwcu 1947 r. Brak dokładnych źródeł uniemożliwia pełne wyjaśnienie przyczyn usunięcia Skąpskiego ze stanowiska.

Z pism urzędowych można wywnioskować, że obok potrzeby przyjęcia przez jedno z polskich miast zachod-

nych teatru ze Lwowa działały wzajemne niechęci pomiędzy dyrektorem Departamentu Teatrów Ministerstwa Kultury — Michałem Rusinkiem a naczelnikiem Czapelskim, który — zdaniem Ministerstwa — prowadził zbyt samodzielną politykę. Faktem było, że decyzję o wysłaniu do Szczecina teatru ze Lwowa podjęły władze centralne. Ministerstwo Kultury i Sztuki w porozumieniu z Ministerstwem Ziemi Odzyskanych uznały, że Szczecin będzie właściwym miejscem przeznaczenia dla teatru Związku Patriotów Polskich, który latem 1946 r. musiał być zabrany ze Lwowa.

Historia wspomnianego teatru jest następująca: po wyjeździe w sierpniu 1945 r. ze Lwowa „Polskiego Teatru Dramatycznego” w mieście tym pozostało jeszcze kilkadziesiąt tysięcy Polaków. Dla tych rodaków grupa pozostałych polskich aktorów i muzyków (a także muzykantów) postanowiła zorganizować koncerty i spektakle teatralno-estradowe. Zarząd Obwodowy Związku Patriotów Polskich wyraził we wrześniu 1945 r. zgodę na powołanie we Lwowie „Koła Dramatycznego przy ZPP”. Nazwę tę zmieniono później na Teatr Małych Form „Miniatury” przy ZPP we Lwowie. Od grudnia 1945 r. do maja 1946 r. wystawiono 5 składek słowno-taneczno-muzycznych nazywanych „rewiami”. Teatr ten (a właściwie instytucja estradowa) utrzymywał się z własnych dochodów uzyskanych za bilety wstępu, przy symbolicznej pomocy ZPP. Całością instytucji kierowała „Rada Teatralna” wybierana przez cały zespół. Dyrektorem był Sylwester Czosnowski — kapelmistrz jednego z teatrów lwowskich. W związku z zakończeniem repatriacji ludności polskiej i ten teatr musiał opuścić Lwów.

Po przeprowadzeniu się do Szczecina i usunięciu dyrektora Skąpskiego, z połączenia pozostałości „Teatru Polskiego” z przybyłą ze Lwowa grupą, powstała nowa placówka artystyczna nazwana „Teatrem Komедii Muzycznej”. Dnia 1 września 1946 r. odbyło się pierwsze przedstawienie tego teatru pt. »Na falach Odry«. „To, co zobaczyliśmy 1 września było do pewnego stopnia skandalem teatralnym (...) Tandetność przedstawienia »Na falach Odry« polegała na tym, że było to coś pośredniego pomiędzy kabaretem, cyrkiem, a pocziwym widowiskiem harcerskim” pisał publicysta tygodnika „Szczecin”.

Nowa instytucja teatralna na skutek sympatii publicystów szczecińskich do poprzedniego teatru i jego dyrektora B. Skąpskiego, spotykała się z wyraźną niechęcią, pogłębianą niewątpliwie niewysokimi umiejętnością zespołu. Z biegiem czasu napięcie uległo jednak wyraźnemu rozładowaniu, recenzje poświęcają więcej uwagi problemom sztu-

ki, mniej sprawom personalnym. Burzliwą dyskusję natomiast nie tylko w Szczecinie, ale i kraju wywołała wystawiona przez ten teatr we wrześniu 1946 r. sztuka Roztworowskiego „Przewodząca”. Dyskusja o tej sztuce miała istotne znaczenie w zakresie rozwoju kultury teatralnej, a nawet kultury politycznej mieszkańców Szczecina.

Teatr „Komedia Muzyczna” zmienił w 1947 r. nazwę na „Teatr Polski” i pozyskał bardziej doświadczonych aktorów. W ciągu dwu lat działalności teatr wystawił 40 sztuk, które obejrzało 160 000 widzów. Oceny publiczności świadczyły, że poziom granych sztuk był nierówny pod względem artystycznym, a repertuar przypadkowy i niezbyt ambitny. Teatr był praktycznie samowystarczalny, otrzymał bowiem tylko w 1948 r. 500 000 zł dotacji. Publicysta szczeciński Walerian Lachnitt tak oceniał tę instytucję artystyczną: „Jak wiele placówek kulturalnych tak »Komedia Muzyczna« borykała się z trudnościami finansowymi, brakiem aktorów, kłopotami repertuarowymi, brakiem teatralnej publiczności (...) zaczęto nadmiernie hołdować repertuarowi »kasowemu« zapominając o wychowawczo-kulturalnych obowiązkach, ciężących na jedynej placówce teatralnej Szczecina”.

Mimo dużych braków artystycznych teatr zyskał pewną popularność. Przeciętna frekwencja publiczności na przedstawieniach osiągnęła 300 osób. Niedostatek funduszy zmuszał jednak teatr do stosowania mało ambitnej polityki repertuarowej. Nawiązano kontakty ze związkami zawodowymi w celu zapewnienia zbiorowego zakupu biletów. Teatr ten w końcu 1948 r. został upaństwowiony.

Natomiast „Teatr Mały”, w październiku 1947 r. przeszedł pod kierownictwo zawodowej artystki N. Młodziejewskiej-Szczurkiewicz i uzyskał koncesję ze strony ZASP-u. Jednakże po odejściu tej artystki „Teatr Mały” utracił prawa zespołu zawodowego i w końcu 1948 r. przestał istnieć. Odegrał on niewątpliwie pionierską rolę, lecz nie stworzył wybitniejszych wydarzeń artystycznych.

Trzeba dodać, że w 1946 r. powstał przy Szczecińskim Inspektoracie Oświaty amatorski „Teatr Oświaty” oraz amatorski teatrzyk kukielkowy „Czarodziej” działający w oparciu o Kuratorium Okręgu Szkolnego.

Znacznie próciej rozpoczął się proces organizowania w Szczecinie filharmonii. W oparciu o istniejącą grupę muzykantów, i muzyków zrzeszonych w lokalnym Towarzystwie Muzycznym, z inicjatywą działaczy kultury zajmujących istotne stanowiska w WRN i związkach zawodowych podjęto zabiegi w Ministerstwie Kultury i Sztuki o pomoc finansową w utworzeniu Filharmonii. Wymieniano argumenty polityczne i społeczne, by skłonić resort do zajęcia się szczecińskim życiem muzycznym. Delegacja działaczy szczecińskich przyjęta została przez wiceministra kultury i sztuki w październiku 1947 r. Ministerstwo Kultury i Sztuki wyraziło zgodę na powołanie „Szczecińskiej Orkiestry Symfonicznej” przy Towarzystwie Społeczno-Kulturalnym. Obiecano 500 tys. zł na ten cel, zalecając pozyskanie pozostałych środków

z dochodów własnych i dotacji zakładów pracy.

Oficjalna inauguracja działalności orkiestry symfonicznej Robotniczego Towarzystwa Muzycznego nastąpiła dopiero 25 października 1948 r., a więc w rok po wyżej wymienionych ustaleniach centralnych.

Orkiestra symfoniczna rekrutowała się z muzyków Polskiego Radia i zespołów muzycznych kilku szczecińskich zakładów gastronomicznych i do września 1949 r. nie miała statusu instytucji zawodowej.

W ostatnim kwartale 1948 r. orkiestra ta zorganizowała 9 koncertów, w tym 4 „symfoniczne wieczory”, 2 koncerty „zamknięte dla świata pracy” i 3 dla młodzieży szkolnej. Na koncertach tych wykonane były utwory 23 kompozytorów, m.in. Noskowskiego, Moniuszki, Chopina, Nowowiejskiego oraz Borodina, Czajkowskiego, Glinki i Smetana. Stałym dyrygentem orkiestry i jej kierownikiem artystycznym był Feliks Lasota. Artystę tego pozyskano dzięki staraniom Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Tworzenie się środowiska literackiego w omawianych latach można podzielić na dwa wyraźne podokresy: 1945—1947 i 1948.

Ludzie tworzący środowisko literackie mieli przed przybyciem do stolicy Pomorza Zachodniego niewielki dorobek twórczy, byli też raczej publicystami i działaczami kultury niż twórcami. Dopiero w 1948 r. w ramach realizacji akcji „osadnictwa literatów” udało się władzom lokalnym pozyskać pisarzy o znanych nazwiskach, m.in. K. I. Gałczyńskiego, Jerzego Andrzejewskiego, E. J. Osmańczyka.

Przybyli wcześniej do Szczecina W. Lachnitt, T. Karpowicz, S. Telega, S. Szydlowski, S. Ostrowski kierowali się zarówno względami osobistymi związanymi z warunkami materialnymi, jak i chęcią zmiany środowiska. Do przyjazdu zachęcali koledzy wcześniej osiadli, a także mieszkania i posady oferowane przez głównego mecenasa literatury w Szczecinie wojewodę Leonarda Borkowicza. Jego zasługą było sprowadzenie Franciszka Gila, a następnie Gałczyńskiego i Andrzejewskiego.

Dla początkujących twórców niewątpliwie istotne znaczenie miał fakt, że w Szczecinie istniała sieć placówek kultury, w których mogli objąć kierownicze stanowiska. Mogli też tworzyć nowe instytucje kultury. Rozgłoszenia Radiowa, „Kurier Szczeciński”, tygodnik „Szczecin”, wydawnictwo „Polskie Pismo i Książka” to byli główni pracodawcy. Urząd Informacji i Propagandy organizował „Czwartki Literackie”. Można było wykazać się energią, tworząc np. Klub Literacko-Artystyczny czy pismo społeczno-kulturalne. Władze organizowały konkursy. Np. w 1948 r. władze wojewódzkie i miejskie przeznaczyły na działalność literacką 300 tys. zł, w tym 50 tys. zł na nagrodę literacką za utwór marynistyczny.

Inne były motywy przyjazdu i czasowego pobytu w Szczecinie znanych pisarzy. Konstanty Ildefons Gałczyński w ten sposób charakteryzuje motywy swego przyjazdu do Szczecina: „Będę w polskim porcie, wojewoda szczeciński

jest przyjacielem poetów (...), a domek z ogródkiem też zachęca”.

Jerzy Andrzejewski tak określa przyzwykły swego przyjazdu do Szczecina „znużenie przedłużającym się pobytem w Krakowie i mieszkaniem w Domu Literatów, zachęta ówczesnego wojewody Borkowicza, świetna willa na Głębokiem, pewna „egzotyka” tamtego Szczecinie.”

Nieco inne powody kierowały przybyciem do Szczecina w 1948 roku Edmundem Janem Osmańczykiem, który tak motywuje źródła swojej decyzji. „Osiedlenie się w Szczecinie zdeklarowałem wiosną 1945 r. kiedy władze polskie obejmowały miasto, następnie latem 1945 r. kiedy organizowałem re-emigrację Polonusów z Berlina. Otrzymałem przydział mieszkania na Głębokiem (...) moim zamiarem było pozostać na stałe w Szczecinie, mieście — symbolu powrotu Polski nad Odrę”.

W podobny sposób argumentował swój przyjazd do Szczecina prof. Stanisław Helsztyński, pisarz i pierwszy kurator Okręgu Szkolnego Pomorza Zachodniego, a także pierwszy laureat nagrody literackiej Szczecina w 1948 r. „W chwili kiedy z Warszawy w marcu i kwietniu 1945 r. wojewódzkie grupy operacyjne wyruszyły na zachód i północ celem przejęcia we władanie Ziemi Odzyskanych, wybór mój padł na północno-zachodnią linię, linię północnej Odry i Szczecin. W dziejach powstawania naszej państwowości był to prawdziwy kamień węgielny, punkt centralny, któremu pierwsi władcy polscy poświęcili ogrom wysiłku i uwagi (...) Pamiętam jedno z posiedzeń grupy wojewódzkiej, na którym ustalono delegację wyjeżdżającą w teren. Przemówił czar bijący z pierwszych, zaświadczonej dokumentami nazw, ścierał z map nienawistny pokost germański...”

Ze środowiskiem literackim związany był Klub Literacko-Artystyczny, a następnie Klub „13 Muz”. Klub ten korzystał z pomieszczeń i organizacyjnej pomocy Rozgłosni Polskiego Radia w Szczecinie. W Rozgłosni tej pracowali czołowi działacze Klubu m. in. St. Telega i W. Lachnitt. Ten działalność Klubu nadawali działacze kultury nie związani z partiami lewicy, co znalazło wyraz w polemice między tymi ostatnimi a działaczami Klubu Literacko-Artystycznego, np. publicysta i satyryk Stanisław Szydlowski, kpił z nagrody zafundowanej przez Klub (z prywatnej zbiórki członków Klubu) pisząc, że nagrodę będzie stanowił zbiór umów, odczytów i prelekcji na temat aktywizacji życia kulturalnego w Szczecinie.

W 1948 r. w Klubie „13 Muz” doszło do potyczki pomiędzy wyżej wspomnianymi ugrupowaniami wokół dyskusji o twórczości Tadeusza Borowskiego. „Głos Szczeciński” tak relacjonuje spotkanie Borowskiego w Klubie „13 Muz” z listopada 1948 r.: „Dyskusja, która rozwinęła się po przeczytaniu przez Borowskiego dwóch opowiadań »Chłopiec z biblią« i »Ojczyzna«, przejdzie w pewnym sensie do historii życia kulturalnego Szczecina, zarysowała się w jej ogniu po raz pierwszy w Szczecinie wyraźnie zdecydowana linia frontu walki klasowej (...) Atakujący miej-

scowi literaci — Stanisław Telega, Tymoteusz Karpowicz, Walerian Lachnitt — usiłowali dowieść i zasugerować, że dotychczasowa twórczość Borowskiego jest szkodliwa, że to nihilizm, cynizm i erotyzm w formie naturalistycznej (...). Borowskiego bronił S. Szydłowski, który wskazywał na właściwą rolę polityczno-społeczną śmiałej twórczości Borkowskiego...

Najlichniesze środowisko artystyczne tworzyli plastycy. Różne motywy skłoniły ich do przyjazdu do Szczecina. Głównie jednak — jak wynika z relacji pionierów plastyki szczecińskiej — motywem przyjazdu były sprawy mieszkaniowe i szansa na uzyskanie zatrudnienia w posiadanym zawodzie.

Pionierzy plastyki szczecińskiej rekrutowali się z artystów związanych przed wojną z ośrodkami kultury polskiej na wschodzie, byli to też b. żołnierze wojsk polskich, którzy po demobilizacji szukali w Szczecinie pracy i mieszkania. Część przybyła z Warszawy i innych zniszczonych miast Polski centralnej.

Już w październiku 1945 r. powołano w Szczecinie Oddział Poznańskiego Okręgu Związku Zawodowego Plastyków.

W grudniu 1945 r. miała miejsce pierwsza wystawa trzech malarzy — Kazimierza Podsadockiego, Mariana Tomaszewskiego, Henryka Ostachiewicza. Pierwszą zbiorową demonstracją obecności plastyków w Szczecinie był ich udział w realizacji projektu pomnika zwycięstwa. W styczniu 1946 r. komisja konkursowa na wyżej wymieniony pomnik przyznała wszystkie trzy pierwsze nagrody szczecinianom: Lechowi Krzekotowskiemu, Marianowi Tomaszewskiemu i architektowi Bochenkowi.

Z inicjatywy plastyków powstał Komitet Organizacyjny Towarzystwa Krzewienia Kultury Polskiej na Pomorzu Zachodnim, którego celem było zabezpieczenie cennych zabytków i przeciwdziałanie ich wywożeniu.

Plastycy uruchomili spółdzielnię pod nazwą „Poradnia Artystyczna i Wzorcownia”, której kierownikiem był Henryk Boehlke, do zadań której należało m. in. skupienie plastyków w jednej placówce dla podniesienia efektów pracy, pośrednictwo między plastykami a społeczeństwem celem wyeliminowania wpływów małowartościowej produkcji artystycznej i propaganda spraw związanych z morzem.

Istotną troską zarządu oddziału omawianego związku twórczego była sprawa zatrudnienia dla swych członków, organizacji szkolnictwa artystycznego

i wystaw dzieł sztuki połączonych z dyskusją artystyczną.

W wywiadzie udzielonym tygodnikowi „Szczecin” ówczesny prezes Oddziału Związku Zawodowego Polskich Artystów Plastyków Emanuel Messer odpowiedział na pytania „Z czego żyją plastycy?” (w tym czasie — 1947 r. — było ich 30 osób) — kilku artystów ma posady np. L. Krzekotowski jest dyrektorem muzeum, niektórzy pracują w urzędach państwowych, są nauczycielami w ogólnokształcących szkołach średnich i Szkole Inżynierskiej. Większość żyje z prac dekoratorskich, wykonywania szyldów, wystaw i częściowo obrazów. Kilku artystów podejmowało zajęcia nie związane z zawodem, pracując w handlu.

Poważnym sukcesem Zarządu ZPAP było zorganizowanie z inicjatywy M. Tomaszewskiego w lutym 1947 r. „Wolnego Studium Sztuk Plastycznych”, które zostało zatwierdzone przez Ministerstwo Kultury i Sztuki w marcu 1947 r. jako „Szkoła Sztuk Pięknych” na prawach dotowanego ogniska kultury plastycznej. Szkoła otrzymywała dotację resortową w wysokości 25 tys. zł miesięcznie. Znacznie większym sukcesem było uzyskanie decyzji Ministerstwa Kultury i Sztuki o utworzeniu w 1948 r. Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych, którego organizatorem był Guido Reck.

Dodać należy, że w tym czasie istniały w Szczecinie warunki do realizacji inicjatyw plastycznych, było znaczne zapotrzebowanie na usługi plastyczne zarówno ze strony instytucji państwowych, a głównie w tym czasie sektora prywatnego. Mecenat władz państwowych przejawiał się w umożliwieniu realizacji wystaw, zakupach dzieł sztuki, zapewnieniu pracy zarobkowej. Umożliwiło się artystom zrzeszanie się w klubach twórczych, m.in. poprzez przydzielanie im lokalu dla Klubu Związków Twórczych „13 Muz”. Prasa szczecińska interesowała się twórczością, podnosząc m.in. sprawę zbyt małej troski władz wojewódzkich i związków zawodowych o środowisko plastyczne.

Można pokusić się o wniosek, że środowisko literackie i plastyczne Szczecina w latach 1945—1948 mogło dość swobodnie kształtować się dzięki stworzonym przez władze lub organizacje społeczne warunkom. Zapewnione były mieszkania, (o które tak ciężko było w Warszawie, Krakowie czy innych miastach Polski centralnej) duża była możliwość pracy w zawodzie publicysty, drukowania utworów w wydaw-

nictwach, uzyskania — przez młodych początkujących twórców — uznania w środowisku (m. in. poprzez możliwość wystawienia dzieł plastycznych, udziału w konkursach), robienia kariery na „nowej ziemi”. Plastycy korzystali z fundowanych nagród i zakupów ich dzieł głównie przez władze terenowe.

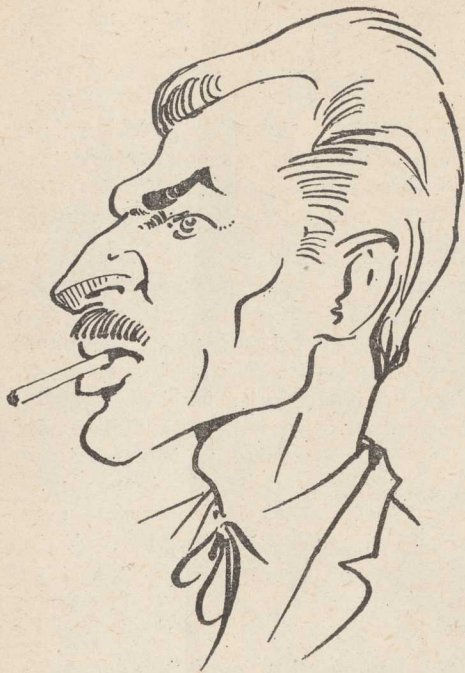
Znanych pisarzy popierały miejscowe władze, a głównie pierwszy wojewoda szczeciński. Wyjazd tych ludzi ze Szczecina nastąpił w latach późniejszych na skutek zarówno zmiennych nastrojów twórców (Gałczyński) jak i ze względu na możliwość powrotu do stolicy, do swojego środowiska, w którym życie intelektualne toczyło się innym rytmem. Niewątpliwie obok motywów materialnych ważnym motywem przyjazdu do Szczecina był patriotyzm, chęć pionierskiej pracy dla Polski, a także morski „egzotyczny” charakter miasta.

W omawianych latach władze terenowe większą troską otoczyły środowisko literackie niż plastyczne, co niewątpliwie wynikało z osobistej troski wojewody Borkowicza o pisarzy. Ze Szczecinem związali się w omawianych latach znani literaci, czego nie można powiedzieć o plastykach za wyjątkiem Mariana Tomaszewskiego, Kazimierza Podsadockiego i Zenona Konowicza. *ony*

Sytuacja polityczna w kraju pozwalała na aktywną twórczość artystom o różnych poglądach i kierunkach twórczości. Od 1948 r. sytuacja zaczęła ulegać zmianie. *Konowicz*

Już w 1948 r. władze w nowej sytuacji politycznej (po wyborach do Sejmu Ustawodawczego) rozpoczęły proces kontrolowania inicjatyw kulturalnych nie związanych z oficjalnym nurtem życia społecznego, co powodowało w praktyce likwidację rozproszonych inicjatyw kulturalnych, w tym również pierwszej szczecińskiej oficyny wydawniczej i pierwszego pisma społeczno-kulturalnego, tzn. tygodnika „Szczecin”.

Wytworzony w omawianych warunkach ludnościowych, politycznych i ekonomicznych potencjał twórczy Szczecina — nie oparty o wiodącą instytucję akademicką — okazał się nie-trwały w nowych warunkach, jakie powstały w 1948 i 1949 r. Na tle innych ośrodków kultury o zbliżonym potencjale ekonomicznym i demograficznym, takich jak Wrocław czy Gdańsk, środowiska twórcze Szczecina wyraźnie pozostały w tyle, głównie na skutek braku wyższych szkół humanistycznych, a co za tym idzie większej ilości twórców kultury osadzonych w naturalnym, instytucjonalnym środowisku.



L. Piosicki 1961a

O ideę najwyższą teatru

Tytułowa postać przedstawiona przez Bohdana Alberta Janiszewskiego w „Królu Edypie” Sofoklesa ma wszelkie dane, aby stać się, przynajmniej na gruncie szczecińskim, wzorcowym wcieleniem tego bohatera. Edyp dla tych, którzy widzieli tę sztukę na scenie Teatrów Dramatycznych w Szczecinie będzie długo kojarzył się z sylwetką tej postaci, jaką stworzył B. A. Janiszewski. Dzięki tej roli zresztą, został w 1973 roku laureatem Bursztynowego Pierścienia.

Czy Janiszewski z kolei pozostanie Edypem?

Bo w świadomości i przekonaniu szczecinian jest często identyfikowany z tą właśnie rolą, która zdaje się najbardziej odpowiada jego predyspozycjom.

W swojej karierze aktorskiej, trwającej już ponad dwadzieścia lat, grywał wiele różnych postaci. Bohaterów reprezentujących przeróżne sprawy i

epoki. Świadczą o tym choćby ostatnie role: Szymon Gajowiec w „Przedwiośniu”, Dziennikarz w „Kartotece”, Kreon w „Antygonie” Gerwazy w „Panu Tadeuszu”, hrabia Respekt w „Fantazym” i inne. Wspólne im było to, co ten aktor nosi wewnątrz siebie: ogrom doznań, doświadczeń, specyficznych cech charakterologicznych. I tym mógłby w sposób twórczy, artystyczny wyposażać kreowaną aktualnie postać, emanującą jednak najczęściej tylko fonicznie, dynamizmem, pasją, działaniem, intensywnością i emocjonalnością przeżyć.

Kiedyś powiedział: „*Ja nie nadaję się do spokojnego życia. Jestem za aktywny, trochę chyba za nerwowo...*”

Istotnie, wystarczy tylko metodą tradycyjnej wyliczanki podać pełnione przez niego funkcje w naszym mieście, by uzyskać potwierdzenie tej ruchliwości życiowej, werwy, inicjatywy. A więc Janiszewski jawi się jako współtwórca Studenckiego Studia Pantomimy, kabaretu „Biedronka”, instruktor wielu amatorskich zespołów teatralnych, wykładowca w Liceum Kulturowo-Oświatowym, w Studiu Piosenki Szczecińskiej Agencji Artystycznej, spiker radiowy, a ponadto członek Wojewódzkiej Rady ds. Upowszechniania Kultury, przewodniczący SPATiF-u oraz ZASP-u w Szczecinie, a nade wszystko aktor Teatru Polskiego w Szczecinie.

Dużo tego. Łączenie pracy dydaktycznej, z pasją społecznikowską, organizatorską, z twórczością artystyczną. Wpływa to zapewne z osobowości niespokojnej, lubiącej angażować się...

„(...) wszystko chciałbym poprawiać, naprawiać. Mam świadomość, że często można to robić ze sceny”.

Ten bardzo osobisty, subiektywny stosunek do teatru, który traktuje prawie jak miejsce do forsowania swoich przemyśleń, pouczenia widzów, wskazuje na szczególny sens i kształt jego aktorstwa. Mówił o tym w ten sposób: „*Zawsze chciałem uczyć innych i w tym rozumieniu scena była również metaforyczną salą wykładową*”.

Aktorstwo jego nie ma jednak cech ekshibicjonizmu, chociaż można byłoby twierdzić, że wyprzedaje się, zwłaszcza po tym, gdy sam ujawnił swoje odczucia w tym względzie: „*Gra na scenie to wydzieranie z siebie każdej cząstki swojej świadomości, wiedzy i filozofii*”.

Aktorstwo jego to szereg antynomii, jest emocjonalne i empiryczne, żywiołowe i zdyscyplinowane, lecz generalnie bardzo wyraźnie podporządkowane ry-

gorom własnej wizji siebie i swego „ja” wtopionego w każdą rolę.

Janiszewski precyzuje relacje między sobą i postacią, próbuje się wobec niej ustawić ze świadomością, żeby przede wszystkim wydobyć coś autentycznego, prawdziwego z siebie, aż do tego stopnia, że w wielu przypadkach trudno mówić o odrębnych formach istnienia każdej z powierzonych mu ról.

Wie, że zasadą jego pracy artystycznej jest kreowanie indywidualności innych ludzi, lecz jego własna osobowość niejednokrotnie bywa silniejsza, obywatelska sceniczna postać, ponad nią zaczyna dominować Janiszewski mentorskim tonem ze sceny starający się jak Edyp zburzyć spokój ludzkich umysłów, podrażnić, pobudzić do działania.

Dopełniają ten zespół cech wewnętrznych warunki fizyczne: ostry, wyrazisty profil, szczupłość sylwetki, oszczędny gest, tembr głosu oschły, ustawiony jakby na jednym tonie, apodyktyczny. Składają się one na swoistą stylistykę postaci. Widoczna także we wszystkich jego rolach powściągliwość, skrytość wsłuchiwanie się w siebie.

To także dr Kempner w sztuce pt.: „Dziesięć paradoksów prokuratora Kempnera, czyli ostatnie dni Hitlera”. Kempner Janiszewskiego jest taktowny w zadawaniu pytań, konsekwentnie zmierza w ściśle określonym kierunku, chce osiągnąć pewien cel; odsłonić trybiki skomplikowanej maszynierii niemieckiego faszystwu. A temu, co mówi

W karykaturze L. Piosickiego:
BOHDAN A. JANISZEWSKI





BOHDAN A. JANISZEWSKI w roli Hrabiego Respekta w „Fantazym” J. Słowackiego, reż. Janusza Bukowskiego (premiera grudzień 1979 r.)
Fot. Z. Ryngwelski

stara się nadać rangę ponadczasową. Swoją postawą i wypowiedzianymi sentencjami ma wszystkich przekonać o istnieniu sprawiedliwości, szlacheckich stosunków międzyludzkich.

W rozważnej grze, przy pomocy stosowanych gestów Janiszewski usiłuje zdobyć przychylność widza dla racji wyrażanych przez Kempnera, chociaż w trakcie trwania procesu, drażenia pytaniami przesłuchiwanego, prokurator zaczyna tracić kontakt ze swoimi współpracownikami, ale i widz ma prawo z kolei zastanowić się czy główny oskarżyciel rządzący się sprawiedliwością, rzetelnością ma jedynie dowieść prawdziwości tych cech? A co poza tym? Budzą się wątpliwości. Można przewidzieć klęskę bohatera. Kempner jest osamotniony, tajemniczy, zamknięty w sobie. Do końca nie daje odpowiedzi. Zmusza do myślenia i znów jak

niegdyś Edyp mać spokój umysłów, wyzwala sprzeciw, bunt, drażni...

Janiszewski z bogatą kolekcją swoich rozdrzgniętych wewnętrznie postaci, czy to ze sztuk klasycznych, czy współczesnych, znajduje miejsce nie obok, lecz wewnątrz całokształtu problemów życia codziennego, w splocie różnych spraw, zwłaszcza spraw teatru, aktorstwa, siebie...

Większość tego typu postaci zagrał w teatrach szczecińskich, z którymi związał się już w 1954 roku. Szczecin jest miastem jego świadomego wyboru. Wcześniej jeden z punktów na szlaku powojennej wędrówki z obozu w Peenemünde do Warszawy.

Odtwórca Edypa należy do pokolenia aktorów, którzy wierzą w siłę oddziaływania teatru żywego planu oraz w potęgę, niemal posłannictwo swego aktorstwa. Dlatego każda kreowana przez niego rola zawiera jakby niepisany komentarz odautorski.

Poza tym aktor ten otrzymuje role właściwie najczęściej predystynujące go do odtwarzania z łatwością postaci poważnych, oschłych w obcowaniu, pozornie zdecydowanych.

Wydaje się, że dla Janiszewskiego najważniejsza jest jego osobista postawa wobec bohatera, z którym ma się utożsamić, ogólna idea i sens istnienia tej postaci na scenie, by następnie całą otoczkę złożoną z tego, co się nazywa środkami aktorskimi, gestem, mimiką zastąpić, wypełnić sobą, nawet swoją prywatnością, indywidualnym stosunkiem do sztuki teatru, wyrażającym się wiarą w siłę jej oddziaływania na społeczeństwo, a to zadanie może spełnić tylko sztuka prawdziwa. Mówi o tym:

„W teatrze przynajmniej ową prawdziwość rozumiem przede wszystkim jako najwyższe zaangażowanie w sprawę sztuki i jej funkcji w żywym organizmie społecznym, jej ideowości”.

Z kolei też podpisuje się pod tezami zjazdowymi Stowarzyszenia Polskich Artystów Teatru i Filmu, które nakazują m.in.: uniemożliwić istniejące, niestety w teatrze, poczynania oszustów artystycznych, którzy chowając się pod szyldem tworzenia sztuki „zaangażowanej”, uprawiają zwyczajną hochsztaplerkę.

Janiszewski — aktor i działacz jest szczególnie uwrażliwiony na zagadnienia dotyczące sztuki, teatru, aktora. Mówi o tym dużo, często, stale podnosi te sprawy: „Celem największym i najpierwszym musi być dobro sztuki i idea najwyższa teatru: służenie narodowi i narodowej sztuce. Jednak realizowane to musi być z bardzo baczny i wrażliwym traktowaniem aktora, je-dnostki twórczej i wrażliwej”.

I nie przestaje być nauczycielem, mentorem...

B. A. Janiszewski, jako mało który aktor szczeciński, jest szczególnie uczulony na swoje „ja” artystyczne wsparte ideologiczną świadomością ról nałożonych na sztukę teatru, i ma poczucie publicznego charakteru aktorstwa.

A jednak Edyp... „A potem do maski się przyzwyczajają i nie zdejmują jej nawet wtedy, gdy odeszli ostatni już goście”.

ANNA STANKIEWICZ

BOHDAN A. JANISZEWSKI jako Don Luois w „Don Juanie”, reż. Bohdana Cybulskiego (premiera marzec 1979 r.)
Fot. Z. Ryngwelski



STANISŁAW WIT WILIŃSKI

Samotny w słońcu

Ta chwila,
krusząca światło,
nie złamie bolesnego promienia.
On czuwa wszędzie,
przyczajony,
równie samotny myśliwy,
cierpliwy i bezwzględny przeciwnik wędrowca.
Jakże często jego przenikliwe ostrze
przynosi zmęczonym ulgę.

Wędrowiec idzie pod słońce
nie czując bólu popękanej skóry
stuletniego zółwia.
Pragnie nie myśleć, nie być, parować
w zapomnieniu.

Czuje zanik dookołnej materii
ścinającej lukę w mózgu.
Lata całe, może wieki brnął do siwizny
na skroniach,
kochał zranione znaki miłości na korze drzew,
wycięte scyzorykiem.
Ufał ludziom,
bo nie mógł żyć bez naiwności dziecka,
lecz oni zabijali się w zapamiętaniu,
wieszali aniołów na przydrożnych słupach,
a skrzydła ich oblewali smotą.
Brat strzalał do brata z za węgla
i wołał nad jego trupem: — Przebacz mi,
o przebacz!

Zanosilo się na przepowiedziane
zaciemnienie.
I było tak prosto do tragedii Szekspira
jak do krzepnącej rany.
Rozkwitały okaleczone dłonie pieśniarzy,
zdruzgotane kolbami karabinów.

On stamtąd uciekł.
Opasany widnokregiem,
słońce ma za druha.
Nie podaje mu ręki,
bo wie, że i ono go zdradzi,
ukrzyżuje na gorejącym piasku,
skażone piekłem atomu.
Nie, to jeszcze nie gorycz starości
i nie jej dobitny biały koń galopuje w upale
naprzeciw.

Kto cierpiał, nigdy nie ugiął się przed mocą
tworzenia.
I właśnie to ma sens,
bo pod ciężarem wieczności
nawet kamień śpiewa.
A może samobójstwo filozoficzne?
Nie, nie, zbyt dużo w nim rytuału,
zbyt mało Boga.

Ciągle idzie naprzód.
Dymiące piaski przenoszą go z miejsca na
miejsce.

Wszędzie widzi środek świata,
otwartą tętnicę świadka przeznaczenia.
Nawet tam, gdzie młoda kawka
uwieźla w kominie cywilizacji.
O gdyby mógł ją pogrzebać w czystym
powietrzu.

Pozory życia opadają z ramion.
Leniwa fala wyzwolonego omdlenia
przyptywa,
odpływa...
Im bliżej morza
tym mocniejsza na ustach gorycz źródła.

Słone wiatry wysuszają go —
zazdrości starym sosnom, że idą na deski.
Wyzbył się nawet pogardy dla wrogów,
Najwięcej ciepła znajduje w życzliwych oczach
zwierząt.

W oddali widzi już tylko samego siebie:
zimną premedytację sumienia.
Stoi z podniesionym mieczem.
Czy stanie do walki?
Ta chwila będzie jak uderzenie w twarz,
której już nigdy nikt nie wskrzesi.
Południe — blaknący cień z nóg pije.
Kropla po kropli.

Może nie wszystko jeszcze przeciekło
przez palce?

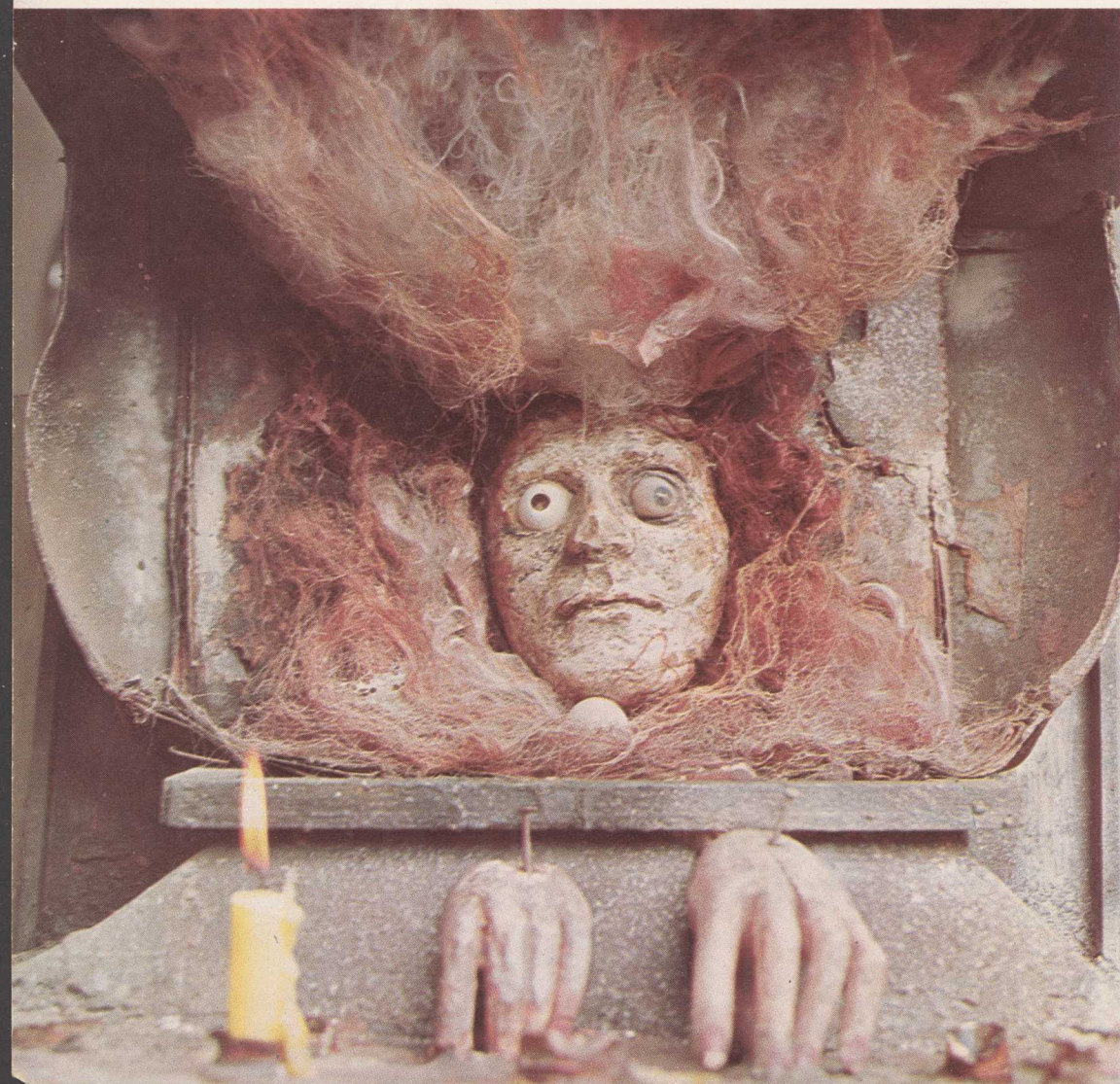
Scena zbiorowa z „Pana Tadeusza” A. Mickiewicza. Premiera — Teatr Polski, Szczecin 1978, adaptacja Jerzy Adamski, reżyseria Janusz Bukowski, scenografia Barbara Jankowska i Małgorzata Treuttler



Fot. Z. Ryngwelski



JÓZEF SZAJNA — eksponaty z wystawy indywidualnej w Zamku Książąt Pomorskich — Szczecin 1979 r.



Fot. Z. Ryngwelski

POMORZE W WOJNIE FRANCUSKO-PRUSKIEJ 1806—1807

Według opinii wyrażonej przed poniesioną klęską przez generała Ruchela, jednego z dowódców armii pruskiej w 1806 r., czekała ją konfrontacja z jej strony „bezwładu, w którym było tyle zdań, ile głów przy braku kogokolwiek, kto miałby odwagę przyjąć odpowiedzialność za powzięcie decyzji” z — po przeciwnej stronie „potężną wolą trzymającą mocno w dłoni wszystkie nici dowodzenia”.

Momentem zderzenia były dwie bitwy stoczone 14 października 1806 roku pod Jeną i pod Auerstedt, jedna pod osobistym dowództwem Napoleona, druga pod dowództwem marszałka Davout. Trzy armie pruskie liczące łącznie 126 800 żołnierzy zostały rozbite. Panika ogarnęła i sparaliżowała całą organizację państwową. Król pruski Fryderyk Wilhelm III uciekł z Berlina przez Gorzów, Grudziądz do Królewca, podczas gdy część wyższej biurokracji państwowej, kasy skarbowe i garnizon berliński zdążyły do Szczecina. Ocalałe korpusy rozbitej armii wycofywały się; jeden pod dowództwem Blüchera do Lubeki, inny pod dowództwem ks. Hohenlohe, ścigany przez kawalerię Murata — w kierunku Szczecina. Główne siły armii francuskiej zdążyły w tym czasie przez Berlin, Poznań ku dolnej Wiśle.

Korpus Hohenlohego w sile 20 000 ludzi wyczerpany dwutygodniowym forsownym odwrotem złożył 28 października broń pod Prenzlau 40 km na zachód od Szczecina odsłaniając dostęp do twierdzy, która miała mu zapewnić schronienie.

Szczecin liczący w 1805 roku 18 973 mieszkańców był otoczony podwójnym pierścieniem fortyfikacji. Od północy i zachodu trzy forte gwardziste broniły przedpola miasta, które z kolei było otoczone linią szańców, biegnącą wzdłuż linii średniowiecznych murów obronnych. Od strony południowej Odra stanowiła dodatkowy atut obronny. Ówczesny Szczecin zaliczano do lepiej umocnionych twierdz pruskich, choć budowanych bynajmniej nie z myślą o stawieniu kiedyś czoła francuskiej inwazji. Pojawienie się w pobliżu oddziału złożonego z ok. 800 francuskich kawalerzystów podziało jak grom z jasnego nieba na garnizon obezwładniony wieloletnią pokojową rutyną i na owładniętą paniką biurokracji berlińskiej, która znalazła tu schronienie. Mimo rozporządzenia załogą wzmocnioną przez przybycie berlińskiego garnizonu i wystarczającymi zasobami, sędziwy gubernator twierdzy 81-letni generał von Romberg, bez rozpoznania nawet sił przeciwnika, na pierwsze jego żądanie podpisał kapitulację. W wyniku tego aktu następnego dnia (30 października) garnizon złożył broń, około 6 000 jeńców zabrano do Francji, oficerowie zostali zwolnieni na słowo; Francuzi zagarnęli 160 dział oraz nałożone na miasto jednorazową daninę i kontrybucje.

Dla francuskiej strategii wojennej ważniejszym od tych zdobyczy było wejście w posiadanie największego portu pruskiego na Bałtyk i blokowanie tym samym ewentualnej interwencji od strony morza szwedzkiej, angielskiej lub rosyjskiej. Opanowanie Szczecina otwierało ponadto szlaki przemarszu na wschód, których znaczenie będzie wzrastało w toku dalszych wydarzeń wojennych.

Rozbicie Prus nie oznaczało bowiem końca wojny. Główne siły francuskie po opanowaniu stolicy kraju podążyły przez Poznań i Toruń w kierunku Gdańska i Królewca, tymczasowej siedziby rządu pruskiego. Na drodze do ostatecznego zwycięstwa zaczęły piętrzyć się przeszkody. Ocalałe z pogromu oddziały pruskiej armii stawiały opór broniąc dostęp do twierdz nad dolną Wisłą: Grudziądz i Gdańska. Walki i oblężenia trwające całą zimę wiązały siły francuskie wspomagane przez drugą dywizję polską dowodzoną przez Jana Henryka Dąbrowskiego. Poważne trudności powstały z chwilą wystąpienia zbrojnego Rosji po stronie już pokonanych, zdawało się, Prus. Bitwy pod Pułtuskim, a zwłaszcza krwawe zmaganie zaściełające 60 tysiącami poległych i rannych pola pod Pruską Hławą 7 i 8 lutego 1807 r. żadnej ze stron nie przyniosły przewagi, zatrzymując wskutek obustronnego wyczerpania tok wojny na 4 miesiące. Napoleon ze swej zimowej kwatery w zamku Finckenstein (dzisiejszy Kamieniec koło Ostródy) zmuszony był do uzupełniania luk w jego szeregach i do gromadzenia zasobów przed ostateczną rozprawą, do której miało dojść w czerwcu pod Friedlandem. Dołączały się do tego kłopoty związane z oblężeniem Gdańska, a także niepokoje powodowane oporem twierdzy Stralsundzkiej, stanowiącej kluczową pozycję dla Szwecji, sojusznika Prus, na Pomorzu Szwedzkim na zachód od rzeki Piany.

W tych warunkach obszar Pomorza między Szczecinem i Gdańskiem nie będąc terenem bezpośrednich zmagania wojennych stanowił nader ważną strefę, przez którą podążały uzupełnienia armii działającej w rejonie dolnej Wisły i na Mazurach. W praktyce usankcjonowanej rozporządzeniami administracyjno-wojskowymi ustaliły się trzy osie przemarszów, z których główną była oś szczecińsko-gdańska z ustalonymi etapami noclegowymi w Goleniowie, Nowogardzie, Resku, Świdwinie, Białogardzie, Koszalinie, Pękaninie, Sławnie, Słupsku, Łupawie, Lęborku i Wejherowie. Uzupełniały ją: jedna z Kostrzyna przez Gorzów, Drezdenko, Piłę oraz inna ze Szczecina przez Stargard, Drawsko, Czaplunek, Szczecinek, Chojnice; zależnie od liczebności kolumn były przewidziane odchylenia od osi podstawowych.

Zarządzenia o utrzymywanie dróg w należytym stanie użytkowym nie zabezpieczały jednak w pełni bezpieczeństwa przemarszów. Głównym gniazdem

ich zagrożenia był Kołobrzeg, który zdołał uchronić się przed zajęciem przez Francuzów i przygarnął żołnierzy rozproszonych z rozbitych oddziałów uzupełniając swój nieliczny początkowo garnizon fortecny. Przewlekłe oblężenie Kołobrzegu, przekształcające się raz po raz w luźną blokadę wskutek odwoływania oddziałów na inne pola walki, nie stanowiło wystarczającej przeszkody dla wypadów z twierdzy nękających obszar przemarszów i podsycających walkę partyzancką.

Zanim zajmiemy się bliżej epizodem kołobrzeskim warto wspomnieć o istnej pladze jaką dla mieszkańców miasteczek i wsi były gromady włóczących się bez celu maruderów. Cały kraj stał się w tym czasie obszarem wędrówek żołnierzy z rozwiązanych oddziałów pruskich, z których tylko cząstka docierała do reorganizowanych formacji. Zbłąkami w okolicach, do których wojna nie dotarła „uprawiali łatwy i wygodny proceder — jak to opisywał współczesny tym wydarzeniom świadek¹ — powtarzania odwiedzin u tych samych gościnnych gospodarzy, pod zmienionym imieniem... Byli oni nie tylko zgubieni dla armii, ale wysysali szpik z kraju, dla którego obrony ich powołano”. Nie mając wiele do stracenia ludzie ci wiązali się w bandy zagrażające bezpieczeństwu na drogach. Przekonał się o tym na własnej skórze marszałek Francji Victor, kiedy podróżował bez eskorty z Poznania do Szczecina, aby tam objąć naczelne dowództwo. Podczas posiłku został on pojmany w gospodzie w Choszczynie i odstawiony do Kołobrzegu, skąd jako cenną zdobycz przesłano go drogą morską do Kłajpedy do dyspozycji rządu pruskiego².

Kołobrzaska twierdza na uboczu szlaków wojennych, przygotowana słabiej do obrony od szczecińskiej została zlekceważona przez dowództwo francuskie w chwili powszechnej paniki i łatwości jej opanowania. Dziesięć dni po zajęciu Szczecina dowództwo wysłało do Kołobrzegu parlamentariusza w osobie kapitana Mestram z żądaniem poddania się. „Najzupełniej jest pewnym — zanotował świadek odprawy udzielonej parlamentariuszowi³ — że, gdyby Francuz zamiast przybyć samotnie zjawił się z oddziałem kilku setek żołnierzy, wystarczyłoby to, aby w danym momencie wkroczyć w nasze bramy”. Korzystając z bierności przeciwnika dowództwo twierdzy podjęło niezbędne zabiegi do wytrzymania przewidywanego oblężenia.

Nadmorskie położenie twierdzy stwarzało jej szanse otrzymywania pomocy w sprzecie i zaopatrzeniu wojennym od sojuszników Prus, Anglii i Szwecji; umożliwiało także utrzymywanie łączności drogą morską z rządem przebywającym w Królewcu. Od południa i wschodu twierdzą otaczała nizina łatwa do zatopienia przez otwarcie śluz. Kluczową pozycją obrony portu był gaz Załęże nad zachodnim brzegiem Parsęty przy jej ujściu do morza. Drugą kluczową pozycją był fort Wilczy odległy 1500 kroków na wschód od portu, w pobliżu wydm morskich, zakończający od północy wschodni, tzw. bytowski front obrony. Fort ten wznosząc się 30 stóp nad poziomem morza panował ogniem artyleryjskim nad całym wschodnim przedpołem twierdzy. Utrata tego fortu byłaby równoznaczna z oddaniem przeciwnikowi pozycji panującej nad niżej położonym miastem, a w konsekwencji z niemożnością prowadzenia dalszej obrony.

W walce o Kołobrzeg zaznaczyły się dwa okresy: pierwszy — przygotowania obrony, luźnej blokady i funkcjonowania twierdzy jako bazy wypadów partyzanckich i drugi — oblężenia właściwego, który rozpoczął się w początku kwietnia 1807 r. i z krótką przerwą trwał do zakończenia wojny w czerwcu tegoż roku.

W okresie pierwszym wypadki partyzanckie wykorzystując luki w blokadzie miały początkowo na celu rekwizycje żywności i pieniędzy ubiegając zaborczość francuskiego kwatermistrzostwa. Zmierzały one także do nawiązania łączności z siłami szwedzkimi działającymi na Pomorzu Szwedzkim na zachód od Piany. Organizatorem lotnych oddziałów i ich działań był rzutki rotmistrz huzarów Ferdynand Schill, który ranny w bitwie pod Jeną znalazł schronienie w Kołobrzegu zresztą ku utraceniu starego i pełnego rozwoju komendanta twierdzy pułkownika Lucadou. Partyzanckie wypadki prowadzone ze zmiennym powodzeniem zmierzały do utrzymania przez wyspy Wolin i Uznam stałej komunikacji załogi kołobrzesckiej z Pomorzem Szwedzkim. Natomiast obszar na wschód od Kołobrzegu miał dla Prusaków znaczenie jako rejon współdziałania z oblężonym Gdańskiem. W rejonie tym Słupsk był pozycją strategiczną, ważną dla francuskiego dowództwa jako zabezpieczenie drogi dla posiłków ciągnących ze Szczecina pod Gdańsk.

Zadanie opanowania rejonu Słupska zostało powierzone dywizji generała Henryka Dąbrowskiego maszerującej z X korpusem armii francuskiej pod Gdańsk. Pierwszy patrol w sile 150 koni wysłany pod dowództwem Łubińskiego dotarł 2 lutego do Szczecinka, po czym wycofał się do Chojnic. W połowie lutego 1807 r. dowództwo lewego skrzydła dywizji Dąbrowskiego objął Michał Sokolnicki. Szybkim marszem przez Bytów, Dębnicę Kaszubską i Kusowo przybył on w sile 500 osób piechoty i 4 szwardonów kawalerii pod Słupsk. Po stoczeniu bitwy na tyle niefortunnie, że pruski oddział broniący Słupska wycofał się z bronią, Sokolnicki zajął miasto. W raporcie wysłanym stamtąd do generała Henryka Dąbrowskiego przedstawił spis oficerów, którzy się odznaczyli i wykaz zdobyczy wojennej, kontrybucji nałożonej w wysokości 30 tys. talarów, a także zaofiarowanych mu dwudziestu kilku zegarków srebrnych i złotych. Dąbrowski w odpowiedzi na ten raport, datowanej w Gniewie 25 lutego 1807 r.⁴ zganił Sokolnickiego:

„... bardzo źle, że 30 tysięcy talarów kontrybucji, które wybrałeś, tu nie przysłałeś, ani wspominasz, że masz je przysłać, bo to jest właśnie czego tu potrzebujemy, bo tu bijemy się o egzystencję naszej Ojczyzny, a nie o kontrybucje...

Bardzo mnie nie ucieszyło, że Generale kazałeś pobrać zegarki, proszę bardzo, abys je wszystkie inne fanty, jeżeli jakie wziąłeś, kazał natychmiast poddawać właścicielom, gdyż to jest wcale przeciwne prawom wojny, a osobliwie w tym czasie, gdzie tyle zewsząd odbieram zaskarżeń złej konduity Polaków w Pomeranii. Ja napiszę zaraz do stanów Pomeranii, że to wszystko, co się stało od komendy mojej w Pomeranii przeciw prawom wojny, było przeciwko mej woli i nigdy z mego rozkazu, a zatem żądać będę, aby mi podali wszystkie swoje zaskarżenia, bo nie chcę wcale być w

takich rzeczach odpowiedzialnym, ani przed Cesarzem, ani przed całym światem. Niemiec mówi: „wie gewonnen so zerronnen” Polak zaś: „zła parta idzie do czarta”.

Z przekąsem też w tym samym liście zganił wypuszczenie pruskiego oddziału ze Słupska:

„... musiłeś Generale mieć herbarz polski Nie-sieckiego, gdyż znalazłem wymienione wszystkie familie polskie i więcej dystyngujących się niż niewolników’.

W miesiąc później, po odwołaniu Sokolnickiego pod Gdańsk, Słupsk został zajęty (15 marca) przez oddział kawalerii wyprawiony z Kołobrzegu pod dowództwem v. Brunova. Oddział ten stoczył trzy dni później potyczkę we wsiach: Mianowice (n. Karśnica) i Zagórzycy z podjazdem złożonym z 150 kawalerzystów polskich i saskich, dowodzonym przez francuskiego oficera. Brunov stwierdziwszy po tej potyczce niemożność przebiecia się do Gdańska wycofał się z powrotem do Kołobrzegu.

Rozpoczęcie właściwego oblężenia uniemożliwiło dokonywanie wypadów partyzanckich z Kołobrzegu. Skład wojsk oblegających pod dowództwem generała Loison był wielonarodowościowy: oprócz oddziałów francuskich znalazły się w nim oddziały Włochów, Wirtemberczyków, Turyngijczyków, huzarzy holenderscy i Polacy. Polakami w liczbie ok. 400 ludzi dowodził ks. Antoni Sułkowski; zajmowali oni szaniec oznaczony na planie rozmieszczenia sił oblężniczych nazwą „La Polonaise”, położony w bezpośrednim pobliżu wydm nadmorskich, niedaleko „Wilczego Fortu”. W dniu 3 maja 1807 r. kapelan ks. Ignacy Przybylski wygłaszał kazanie: „Żołnierze polscy — pod Kolbergiem obozujemy! Od czasów Chrobrego nasz regiment, na łonie województw gnieźnieńskiego i poznańskiego utworzony, pierwszy chorągwie polskie na Pomorzu rozwija”⁵.

Oblężenie przeciągało się wskutek odwołania części oddziałów na Pomorze Szwedzkie. W samej twierdzy wskutek zwaśnienia w jej dowództwie nastąpiła zmiana dowódcy: na miejsce niedołężnego komendanta król pruski przysłał utalentowanego majora v. Gneisenau. Na kołobrzeską redę przypłynęła szwedzka fregata uzbrojona w 46 dział, z których do końca oblężenia wspierała ogniem obronę. W połowie maja nadpłynął bryg angielski uzbrojony w 18 dział eskortując dwa frachtowce z ładunkiem broni i amunicji.

14 czerwca, w dniu, w którym Napoleon kończył wojnę decydującym zwycięstwem pod Friedlandem, w Kołobrzegu toczyła się zacięta walka o fort „Wilczy”, dwukrotnie stracony przez pruską obronę. Dowódca oblężenia generał Loison w swoim raporcie adresowanym do marszałka Brune z 15 czerwca zachwalał męstwo Polaków, któremu zawdzięczał zdobycie fortu: „... po bardzo żywym i dobrze ukierunkowanym przygotowaniu ogniem artylerii, spostrzegając, że nieprzyjaciel zaczyna się chwiać stanął na czele grenadierów i Polaków, aby maszerować do fortu. Grenadierzy zawahali się przez chwilę, ale dzielni Polacy dali im przykład i fort został odzyskany. Walczono do 7 rano... To odzyskanie jest zasługą ognia artylerii i brawury Polaków (Cette reprise est du au feu de l'artillerie et à la bravoure des Polonais)”. Podobnie adjutant generała Loison w sprawozdaniu pisemnym bezpośrednio po zakoń-

czeniu bitwy, 15 czerwca do swego zwierzchnika generała Clarke w Berlinie pisał, że generał Loison zbyt się naraża osobiście dodając odwagi żołnierzom, ale „wszystko to byłoby na próżno gdyby artyleria i Polacy go ostatecznie nie wybawili”⁶.

Po utracie kluczowej pozycji na wschodnim froncie obrony położenie twierdzy stało się beznadziejne. Artyleryjski ogień z pozycji górującej nad miastem wzniecał nieustanne pożary; spłonęły wtedy m. in. ratusz i znaczna część tężni. W końcu czerwca padły umocnienia osłaniające port i wyjście w morze. U progu nieuchronnej kapitulacji parlamentarzysta przyniósł zbawczą dla Kołobrzegu wieść o zawieszeniu broni podpisanym w Tylży, a wraz z tym — o wstrzymaniu ognia.

* * *

Źródła do dziejów Pomorza w wojnie 1806/7 r. są rozrzucone w drukach nieraz trudno dostępnych i w archiwach. Zespół akt dotyczących omówionych tu wydarzeń znajdujący się w Wojewódzkim Archiwum Państwowym w Szczecinie uległ częściowemu zniszczeniu podczas ostatniej wojny; zawarte w nim wiadomości dotyczą głównie spraw gospodarczych — świadectw i obciążeń związanych z wojną. Wiadomości o przebiegu działań wojennych spoczywają natomiast w Vincennes pod Paryżem, w znajdującym się tam francuskim archiwum wojny.

Warto tu odtworzyć świadectwo o losie jednego z wiarusów, którzy zdobywali Kołobrzeg. Jest nim kartka wszyta w tomie akt z doby wojen napoleońskich landraty w Gryficach.

Oto jej treść:

„Przybył z lazaretu Janowicz Kapral
Dnia 27 Julii 1807

Zagodziński
kpt.

Z Kom. 5-ty

(u dołu kartki dopisek w jęz. francuskim:)

Należy dać kwatery Kapralowi, który przybył do szpitala Greifenberg 26. lipca

P. Kurnatowski
Kwatermistrz”

¹ H a k e n, J.C.L., Ferdinand von Schill, Eine Lebensbeschreibung nach Original Papieren, Leipzig, 1824, t. 1, s. 328.

² Marszałek Victor traktowany jako jeńiec wojenny został wymieniony za generała Bluchera wziętego do niewoli po bitwie pod Jeną wraz z korpusem pod Ratkau koło Lubeki.

³ Joachim Nettelbeck, Bürger zu Colberg. Eine Lebensbeschreibung von ihm selbst aufgezeichnet und herausgegeben von J.C.L. H a k e n, 2 Aufl. Leipzig 1845, s. 352.

⁴ Źródła wojskowe do dziejów Pomorza w czasach Księstwa Warszawskiego, Cz. I, Zajęcie Pomorza 1806/7. Janusz Staszewski, Fontes t. XXVI, Toruń 1933, s. 312, i in.

⁵ „Gazeta Poznańska”, dodatek do nr 42 z maja, 1807 r. (Przytoczone według Staszewskiego J., Wojsko polskie na Pomorzu w roku 1807, Gdańsk 1958, s. 228).

⁶ Według tekstów w jęz. francuskim opublikowanych w oparciu o kwerendę w Archiwum Wojny Francji, w: Klaje H., Waldenfels und seine Grenadiere, ein Beitrag zur Geschichte der Belagerung Kolbergs im Jahre 1807, Kołobrzeg 1907, s. 129, 135.

Cele przygotowywanej agresji

W propagandzie zewnętrznej przywódcy III Rzeszy koncentrowali uwagę na sprawach Gdańska, Pomorza (korytarz), niemieckiej mniejszości narodowej w Polsce. Plany przewidywały natomiast likwidację państwa polskiego w ogóle. 28 kwietnia Hitler bezprawnie uznał, że deklaracja o nieagresji z Polską z 26 I 1934 r. została rzekomo złamana przez Polskę i dalej nie jest ważna. Po raz pierwszy oficjalnie przedstawiono żądania niemieckie wobec Polski. I w tym wypadku Hitler eksponował problem Gdańska i mniejszości.

23 V 1939 r. Hitler wygłosił przemówienie na tajnej konferencji przedstawicieli armii i rządu, w którym uzasadniał tezę głoszącą, iż bez zajęcia szeregu obcych krajów Niemcy rzekomo nie mogą rozwiązać stojących przed nimi problemów ekonomicznych. W przemówieniu tym odszedł od kamuflażu polityczno-propagandowego z lat 1934—1938 i powrócił do idei wypowiedzianych przed dojściem do władzy. Analizując sprawę konfliktu z Polską o Gdańsk mówił: „Polska nie jest dodatkowym wrogiem. Polska zawsze stać będzie po stronie naszych przeciwników. Mimo paktu przyjaźni w Polsce zawsze dominowała chęć wykorzystania przeciwko nam każdej nadarzającej się sposobności. Gdańsk nie jest obiektem, o który chodzi. Chodzi o rozszerzenie naszej przestrzeni życiowej na wschodzie i zabezpieczenie dostaw żywności jak również o rozwiązanie problemu bał-

ny w marcu, bo miał może wówczas jeszcze pewne braki. W międzyczasie strona przeciwna zrobiła kolosalne postępy. Reżim hitlerowski może być obecnie powalony jedynie przez rewolucję”. Rydz-Śmigły przeceniał przygotowania obronne Polski i jej sojuszników oraz znaczenie sił rewolucyjnych w Niemczech. 21 lipca Beck dowodził, że możliwość konfliktu zbrojnego z Niemcami bierze pod uwagę od czasu swej ostatniej rozmowy z Hitlerem w styczniu 1939 r., położenie wojskowe Polski ocenił „jako dobre”, a więc w związku z tym gotów był uwzględnić „interesy i życzenia angielskie w odniesieniu do zachodniej Europy (Belgia, Holandia, Szwajcaria), natomiast co do wschodu Europy uważał, że i w tym rejonie Polska nie da sobie narzucić żadnej polityki...”. Kierownik polityki zagranicznej Polski zdawał się nie dostrzegać znacznej izolacji Polski na forum międzynarodowym, przeceniał rolę i znaczenie Polski, nie zdawał sobie sprawy z faktu, że Anglicy i Francuzi gotowali się do nowych ustępstw wobec Niemiec kosztem Polski. Nie doszło do tego, bo Hitler tego sobie nie życzył. Był on przekonany, że Polska jest izolowana, że sojusznicy jej nie przyjdą z pomocą. W czasie nowej konferencji mógł liczyć co najwyżej na korekturę granic i włączenie Wolnego Miasta Gdańska do Rzeszy. Tymczasem chodziło mu o likwidację państwa polskiego w ogóle.

22 sierpnia Hitler ponownie wygłosił przemówienie na tajnej konferencji wyższych dowódców w Obersalzberg.

ANTONI
CZUBIŃSKI

MIEJSCE POLSKI W HITLEROWSKICH PLANACH

tyckiego”. W innym fragmencie przemówienia Hitler stwierdził: „Nie może być mowy o oszczędzaniu Polski i dlatego utrzymuję decyzję: zaatakować Polskę przy pierwszej dogodnej sposobności. Nie można liczyć na powtórzenie się sytuacji jaka miała miejsce z Czechosłowacją. Zadaniem jest izolowanie Polski. Powodzenie izolacji jest rozstrzygające...”

Hitlerowska propaganda i przygotowanie militarne do agresji

Wojna propagandowa z Polską nabrała teraz olbrzymiego rozmachu; szybko przekroczyła ona swym zasięgiem i natężeniem wszystko, co miało w tym zakresie miejsce do 1934 r. Hitler oskarżał Polskę o zagarnięcie ziem niemieckich, o podsycanie waśni w Europie, o prześladowanie mniejszości niemieckiej w Polsce, o złamanie deklaracji o nieagresji z Rzeszą z 26 I 1934 r. Argumentacja ta znajdowała uznanie i wsparcie na forum międzynarodowym ze strony organizacji faszystowskich. Miała duże zrozumienie i uznanie w Anglii, Francji i USA. Działała w tym duchu również dyplomacja niemiecka. Rząd polski był zdezorientowany. Marszałek E. Rydz-Śmigły w rozmowie z Szembekiem w dniu 19 VII 1939 r. m. in. stwierdził: „Jeśli Hitler chce wojnę rozpętać to nie może zbyt długo czekać. Każdy dzień jego sytuację utrudnia. Nie poszedł na konflikt zbroj-

ny. Krzychał: „Było dla mnie rzeczą jasną, że wcześniej czy później musi dojść do konfliktu z Polską. Decyzję powziąłem już na wiosnę, lecz sądziłem, że wpierw zwrócę się przeciwko Zachodowi, a dopiero potem przeciwko Wschodowi... Chciałem wpierw wytworzyć znośne stosunki z Polską, aby najpierw uderzyć na zachód. Ten odpowiadający im plan był jednak niewykonalny. Stało się dla mnie jasne, że w czasie konfliktu z Zachodem zaatakuje nas Polska... Stosunki z Polską stały się nieznośne. Moja dotychczasowa polityka wobec Polski (Gdańsk i korytarz) została rozbита przez interwencję Anglii. Polska zmieniła swój ton w stosunku do nas. Stan napięcia stał się nie do zniesienia. Inicjatywa nie może przejść w obce ręce. Teraz jest bardziej sprzyjający czas niż przed 2—3 laty... Obecnie istnieje prawdopodobieństwo, że Zachód nie zaatakuje nas...”. „Zniszczenie Polski stoi na pierwszym planie...”

W innym przemówieniu z tego samego dnia Hitler mówił: „Zadaniem jest zniszczenie żywych sił, a nie osiągnięcie określonej linii. Nawet jeśli na Zachodzie wybuchnie wojna, to na pierwszym planie pozostanie zniszczenie Polski...”. Tego ani Beck, ani Rydz-Śmigły nie brali pod uwagę. Nie chciano do końca wierzyć w możliwości porozumienia radziecko-niemieckiego. Tymczasem 23 sierpnia 1939 r. w Moskwie podpisano radziecko-niemiecki układ o nieagresji na 10 lat. Atak Niemiec hitlerowskich na ZSRR

uległ odroczeniu. Nieaktualna stała się sprawa ewentualnego porozumienia Anglii i Francji z ZSRR. Układ sił w Europie uległ zasadniczemu przeobrażeniu. Zagrożona bezpośrednio Polska mogła liczyć tylko na pomoc państw zachodnich; państwa te do wojny nie były przygotowane i robiły wszystko, by nie ściągnąć na siebie pierwszego impetu hitlerowskiego ataku. Beck 24 sierpnia wnioskował, że ostatecznie kroki niemieckie świadczą o możliwości ich agresji na Polskę w każdej chwili. Natomiast wiceminister Szembeck jeszcze 26 sierpnia próbował dowodzić ambasadorowi francuskiemu w Polsce, że „ostatnie posunięcia Niemiec wydają mu się wskazywać, iż w Berlinie decyzja wojny nie została jeszcze definitywnie powzięta”. Jak wiadomo wojna miała się rozpocząć właśnie w tym dniu. Atak został odroczony ze względu na podpisanie układu brytyjsko-polskiego z 25 VIII 1939 r.

Koła wojskowe były bardziej przezorne. Mimo to słaba i osamotniona Polska nie miała żadnych szans w bezpośrednim starciu militarnym z potężną III Rzeszą. Polska spełniła jednak swój obowiązek wobec świata. Nie przyjęła ona dobrowolnie żądań Hitlera, nie powiększyła potencjału ekonomicznego i militarnego państw faszystowskich, podjęła sprawiedliwą wojnę obronną. Stawiając opór Hitlerowi Polska spowodowała zakończenie pokojowego okresu ekspansji III Rzeszy w Europie. Próba opanowania Polski spowodowała wybuch wojny i pełną kompromitację hitleryzmu w skali międzynarodowej. Sojusze zawarte przez Polskę spr-

atmosfera totalnej wrogości. Przy czym tradycja nacjonalistyczna hakatyzmu pruskiego znajdowała uzupełnienie w doktrynie rasistowskiej i polityce walki o przestrzeń życiową na wschodzie. Stąd pierwsze akcje eksterminacyjne wobec ludności polskiej podjęte zostały przez oddziały Wehrmachtu już w pierwszych dniach wojny. W cytowanym wyżej przemówieniu z 22 sierpnia 1939 r. Hitler mówił: „Podam propagandową przyczynę rozpoczęcia wojny, obojętnie czy będzie ona prawdziwą czy nie. Zwycięzcy nie będzie się nikt później pytał czy mówił prawdę, czy nie. Przy rozpoczynaniu i prowadzeniu wojny nie chodzi o prawo, lecz o zwycięstwo. Zamknąć serca przed litością. Postępować brutalnie... Prawo jest po stronie silniejszego...”

Zbrodnia Wehrmachtu

Bezpośrednim skutkiem takiego nastawienia kierownictwa był fakt masowych mordów dokonywanych w czasie kampanii wrześniowej w Polsce przez poszczególne jednostki i pojedynczych żołnierzy Wehrmachtu. Przy czym w okresie tym faktów tych nie ukrywano. Żołnierze niemieccy chwalili się swymi wybrykami w listach do swych bliskich, robili i rozsyłali zdjęcia ilustrujące działalność plutonów egzekucyjnych i zniszczenia, o kampanii w Polsce pisano reportaże i książki. W latach 1939—1940 ukazało się w Niemczech kilkadziesiąt większych książek prezentujących „ekspedycję karną” Wehrmachtu w Polsce we wrześniu 1939 r. Od początku podejmo-

EKSPANSJI I PODBOJÓW W LATACH 1938-1945

Część II

wiły, że agresja hitlerowska na Polskę przekształciła się w II wojnę światową, a Polska stała się jednym z pierwszych członków koalicji antyfaszystowskiej. Polska przegrała kampanię wrześniową; nie przegrała jednak wojny. Z wojny tej wyszła ostatecznie jako członek zwycięskiej koalicji.

„Prawo jest po stronie silniejszego”

Zadawnione „grzechy” polskie wobec imperializmu i militarizmu niemieckiego, odbudowa państwa polskiego w 1918 r., oderwanie od Niemiec zagrabionych w ubiegłych wiekach prowincji polskich w drodze powstań zbrojnych, opór stawiany przez społeczeństwo i państwo polskie wobec ekonomicznych i politycznych nacisków imperializmu niemieckiego w okresie Republiki Weimarskiej, pokrzyżowanie planów Hitlera pokojowego podporządkowania Polski i ewentualnego wyzyskania jej do wojny z ZSRR, postulaty wynikające z ideologii szowinizmu niemieckiego i rasizmu, postulaty wynikające z hitlerowskiej koncepcji Generalnego Planu Wschódniego spowodowały, że tak czołowi przywódcy III Rzeszy jak i wielu szeregowych członków partii hitlerowskiej i żołnierzy Wehrmachtu pałało żądzą odwetu i chęcią zemsty wobec ludności polskiej. Stosunek agresora hitlerowskiego do podbijanych ziem polskich wynikał z wielu różnych przesłanek; był to stosunek zupełnie inny niżeli np. wobec narodów zachodnioeuropejskich. Na odcinku polskim panowała

wano jednak próby przerzucenia na Polskę odpowiedzialności za wojnę i jej skutki, pisano w sposób nieobiektywny i obraźliwy o narodzie polskim i jego państwie, oskarżano ludność polską o rzekomo popełnione zbrodnie na ludności niemieckiej, ukrywając zbrodnie faktycznie popełniane przez Niemców.

Antypolska propaganda

W 1939 r. ukazało się kilka obszernych i bogato ilustrowanych prac o Gdańsku i tzw. „Korytarzu” (Pomorze). Eugen Peter ogłosił książkę pt.: „Raubstaat Polen”, w której próbował dowodzić, że państwo polskie po I wojnie światowej powstało na skutek rabunku cudzych ziem, że od początku miało ono „zbójcecki” charakter. Herbert Drescher opublikował broszurę pt.: „Die Polen vor Berlin”, w której zestawiał głosy polskie domagające się przesunięcia granicy polskiej dalej na zachód po Łabę i Berlin, i wyciągał z tego wnioski głoszące, że Niemcy musiały się bronić, że podjęły „wojnę” celem obrony swego stanu posiadania i pouczenia „bezcelnych” Polaków. Rudolf Heider natomiast książkę swojej dał tytuł: „Dlaczego Polska musiała się rozpaść” (Warum musste Polen zerfallen). Autor w sposób tendencyjny dobrał informacje i dane na temat struktury społecznej, polskiego charakteru narodowego i polskich dążeń politycznych dowodząc, że Polacy rzekomo są leniwi, niezdolni do systematycznej pracy, zanarchizowani, rozpici. Już w końcu XVIII w.

rozbiory były rzekomo konieczne, ponieważ Polacy nie umieli się rządzić. W okresie międzywojennym natomiast wykazali oni podobno nie tylko brak zdolności do utrzymania własnego państwa, ale stanowili czynnik destrukcyjny dla całej Europy. Cywilizowane narody europejskie musiały bronić się likwidując państwo polskie tak w XVIII jak i XX wieku.

Wojskowy punkt widzenia na ten temat prezentuje kilka prac. W 1940 r. Dowództwo Główne (OKW) wydało obszerną książkę z przedmową samego Szefa Sztabu OKW marszałka Keitla pt.: „Zwycięstwo w Polsce” (Der Sieg in Polen). Zbrodnie popełnione przez Wehrmacht próbowano tutaj przypisać żołnierzom i „dywersantom” polskim. Problem ten znalazł rozwinięcie w książce generała Ernsta Kabischa pt.: „Niemiecki pochód zwycięski w Polsce” (Deutscher Siegszug in Polen). Autor rozwinął sformułowanie w oświadczeniach propagandowych J. Goebbelsa oskarżenia narodu polskiego i rozwijanej w Polsce rzekomo bezpodstawnej nienawiści do Niemców i wszystkiego co niemieckie, o zacofaniu społeczeństwa polskiego, o braku patriotyzmu, o cechujących, rzekomo tradycyjnie, Polaków chęci mordów i grabieży itp. Według Kabischa to sami Polacy palili swoje wioski i miasta, by nie dostały się w ręce niemieckie, mordowali Niemców itp.

W 1940 r. pojawiły się też pierwsze książki poświęcone w całości rzekomym okrucieństwom polskim, bezpodstawnym morderstwom itp. Ministerstwo Spraw Zagranicznych Rzeszy wydało oficjalnie firmowaną książkę pt.: „Dokumente polni-

publikacje przyznające, że tak we wrześniu 1939 r. jak i później w czasie okupacji Niemcy popełnili w Polsce dużo przestępstw i zbrodni.

Eksterminacyjna polityka hitlerowska

Zajęcie ziem polskich przez armię niemiecką postawiło przed przywódcami III Rzeszy nowy problem. Musieli oni ustalić określoną linię postępowania wobec ludności polskiej i sprawy polskiej w ogóle. Generalne założenia stosunku hitlerowców do narodu i państwa polskiego ustalono już wcześniej. Hitlerowcy nawiązywali do tradycji nacjonalistów niemieckich. Wojna nie pozwalała im jednak zrealizować w pełni tego, do czego zmierzali. Polityka ich zmieniła się w zależności od sytuacji na frontach II wojny światowej.

Charakterystyczny jest jednak fakt, że nie próbowali oni utworzyć uzależnione od siebie pseudorządu polskiego. Ziemie polskie zostały podzielone. Część wcielona do Rzeszy miała być natychmiast oczyszczona z elementu niegermańskiego. Generalne Gubernatorstwo los ten czekać miał w przyszłości. Tempo usuwania ludności polskiej z ziem wcielonych do Rzeszy nie było jednolite. Podobnie przedstawiał się problem represji i eksterminacji. Polityka represji stosowana była powszechnie. Natomiast polityka eksterminacji objęła w pierwszej kolejności ludność żydowską i tzw. polską warstwę przywódczą, tj. inteligencję twórczą, działaczy politycznych, przedstawicieli aparatu państwowego. Od czasu

MIEJSCE POLSKI W HITLEROWSKICH PLANACH EKSPANSJI I PODBOJÓW W LATACH 1938-1945

c.d.

scher Grausamkeit” (Dokumenty polskiego barbarzyństwa) oskarżając Polaków o rzekome wymordowanie w czasie kampanii wrześniowej 58 tysięcy niewinnych Niemców. Książka rozpoczynała się relacjami o okrucieństwach popełnionych rzekomo przez Polaków w czasie powstania wielkopolskiego (1918) i kolejnych trzech powstań śląskich (1919—1921) i kończy się omówieniem sytuacji we wrześniu 1939 r. Autorem publikacji chodziło z jednej strony o przerzucenie odpowiedzialności za zbrodnie hitlerizmu na ludność polską, a z drugiej strony o rozbudzenie i umocnienie poczucia nienawiści i chęci zemsty u ludności niemieckiej nie podzielającej poglądów rasistowskich i nie zwalczającej dotąd Polaków. Takich Niemców było jednak niewiele.

Tezy te zostały szybko podjęte i rozpropagowane przez wielu publicystów i historyków niemieckich. Już w 1941 r. ukazała się głośna książka Franza Ludtke pt.: „Tysiącletnia wojna między Niemcami i Polską”. Pojawiły się liczne publikacje poświęcone martyrologii mniejszości niemieckiej w Polsce okresu międzywojennego i w czasie kampanii wrześniowej. Ustalone w tym czasie tezy przetrwały po wojnie w publikacjach wydawanych w RFN. Wobec polemiki podjętej przez prawników i historyków polskich sami Niemcy musieli jednak przyznać, że postawionych przez propagandę III Rzeszy też nie da się utrzymać. W ostatnich publikacjach tezy te nie są już w pełni podtrzymywane. Pojawiają się też

do czasu stosowano jednak również represje jak gdyby na oślep celem rozbicia ruchu oporu, terroryzowania i zastraszenia ogółu.

Los ludności polskiej nie był podobny do losu innych narodów podbitych Europy Zachodniej. Los ten upodabniał się do losu narodów ZSRR. Eksterminacyjna polityka hitlerowców spowodowała, iż Polska poniosła największe straty osobowe i olbrzymie straty materialne. Wojna i okupacja wyryła się silnym piętnem na całej przeszłości narodu polskiego i wywiera nadal duży wpływ na poglądy bieżące społeczeństwa i politykę rządu polskiego.

Podejście społeczeństwa polskiego do spraw wojny, okupacji, zbrodni wojennych i zbrodni przeciw ludzkości różni się zasadniczo od podejścia do tych spraw narodów zachodnioeuropejskich.

¹ B. Czarniecki, *Fall Weiss*. Z genezy hitlerowskiej agresji przeciw Polsce. Warszawa 1961, s. 172, T. Cyprian, J. Sawicki, *Sprawy polskie w Procesie Norymberskim*, Poznań 1956, s. 70. W przemówieniu do wyższych dowódców wojskowych z 23 XI 1939 r., a więc już po zajęciu Polski Hitler mówił: „Jedno było jednak dla mnie jasne od pierwszej chwili, że nie mogę się zadowolić wyłącznie przyłączeniem Sudetów do Niemiec... Wtedy wydałem rozkaz marszu na Czechy. Nastąpiło utworzenie bazy do wszczęcia ataku na Polskę. W tym czasie jeszcze nie wiedziałem czy przyjdzie mi uderzyć najpierw na wschód, a później na zachód czy też odwrotnie... Pod naciskiem wypadków zapadła decyzja rozpoczęcia walki najpierw z Polską...”

STANISŁAW ZAJĄCZEK

Twórcza

jest bogiem sztuki,
która w nim kielkuje
i dojrzewa;
kark jej łabędzi nagina
w elipsę poddania.
Ale pośpiech krwi
czym może ujarzmić?

On niósł zmęczone serce
w żyłach,
po schodach,
na piętra.
Więził w sobie
rozśpiewaną przestrzeń stygmatów,
które nie krzyczą.
Zgarbiony,
cierpliwie się wspinał na szczyt.
Jeden z nas,
w naszym pulsie,
dzisiaj.

Wyżej
w skrzynce po kwiatach
śpiewała jaskółka — zerwana struna.
Wspinał się, spokojny,
jakby nie odczuwał klęski.
Potem — już spadał:
pod nim olbrzymiało wirowanie,
skomlały organy hamującego czasu.
Cicho wyzwalala się pełnia.

A kiedyśmy patrzyli jak odchodzi,
nie było nic w naszych twarzach,
prócz ziemi,
prócz kielkującej darni.

Bajka o oksymoronie

Dzień jasny
Najpiękniejszy oksymoron Boga
W moim wierszu
Który wciąż jeszcze
Czeka na nienapisanie

Wspólnota

To ja —
To dziecko patrzące na mnie zbyt wyrozumiale
Konduktor pytający o bilet, trzydziestotrzyletnia
Zmarła z przyczyny nieznannej. Krwiodawca. Pan X
Dawca życia w stosunku do bliżej nieznannej liczby osób
W nich wszystkich jestem
A we mnie mnie nie ma.
Więc dlaczego
Wciąż mówię i mówię i mówię.

Kwadraty snu

Każdy może śnić jak poeta, kobieta, mężczyzna, dziecko. To zawsze tylko, jakże łatwa rezygnacja ze wszystkiego innego. Ale jest jedynie pozbawiony nazwy, a więc tym, którym odjęto ryzyko posiadania cech, a więc wreszcie — obojętnym, zdarzają się sny naprawdę wartości grzechu. Są zawsze takie same. Dwa równoboczne trójkąty — czerwony i niebieski zbliżają się ku sobie niczym pałatyńskie połówki, aby w ciszy utworzyć nieruchomy kwadrat.

Przychodzą regularnie.

* * *

— reanimowanej, co
noc, co sen przypartej
plecami do ziemi, nieśmiertelnie zranionej
wymykającej się żrenicą bezbrzeżną
przesypującej się między palcami
w garści piasku pulsującej
rytmem sztucznego oddychania
odchodzącej w czas przeszły niedokonany
ten ucisk serca, ten głos, to echo, tę ciszę
ten sen ociemniały, budzący się z siebie
nie ze mnie

STRACONE POKOLENIE

„Dziś dla nas, w świecie nieproszonych gości,
w całej przeszłości i w całej przyszłości.
Jedna już tylko jest kraina taka,
w której jest trochę szczęścia dla Polaka:
Kraj lat dziecięcych!”

(Adam Mickiewicz: „Pan Tadeusz”)

1. Ich wielkość rozpoczynała się z chwilą ucieczki; może nawet w momencie podjęcia decyzji — w tej sekundzie, gdy w myślach budziło się pragnienie wolności. Patrzyli wówczas w stronę gasnącej gwiazdy Napoleona, a później innych gwiazd i szli niepokorni, dumni, choć zniewoleni. Często skrepowani bardziej świadomością obowiązku wobec ojczyzny, aniżeli kajdanami. Zostawiali ziemię skłutą bagnetami, świeże mogiły. Przemierzali Europę, przepływali Atlantyk. Szli z gasnącym wzrokiem, z gorączką pragnienia wiedząc już, że kolejnych braci „rozdziobały kruki, wrony”. W sercach nieśli bunt, który mógł rozpalić Europę. Rośli i marnieli. Jedni w olbrzymów, drudzy w karłów. Wieczni polscy tułacz zabijani z czasem, jeśli nie nostalgia, to śliną plują przez „lepszych” Polaków z właściwego stronnictwa.

Wielka polska emigracja polityczna, wielki polski romantyzm, wielka tragedia skazanych na dziewiętnastowieczną banicję. W ich szalonej do obłędu odpowiedzialności wobec kraju i historii, w ich czynnie; gdzieś tam — w tym tyglu hardości, dumy i obowiązku — początki nas. Tam gorzała ta iskra przyszłej, niepodległej Polski. Bo przecież nie tylko w dziele Mickiewiczów, Słowackich, Chopinów i Norwidów.

Wielka emigracja... Po 147 latach historyk napisze o niej: „U genezy jej leży nie tylko wzmógłony terror i ucisk narodowy we wszystkich trzech zaborach; była ona wyrazem protestu przeciwko podporządkowywaniu obecnej przemocy losów Polski; emigranci mieli także nadzieję na łatwiejsze pozyskanie dzięki swej obecności w krajach zachodnich pomocy ich ludów czy rządów dla odzyskania niezależności. Nadzieje te nie były całkiem bezpodstawne — wrzenie rewolucyjne w Europie nadal utrzymywało się, a powitanie zgotowane uchodźcom zdawało się potwierdzać słuszność ich postawy”. (Józef Andrzej Gierowski, Historia Polski 1505—1864, cz. 2, PWN, Warszawa 1978, s. 290—291).

Cele i zamierzenia emigracji były wielkie. Na miarę pragnień. I przez czas jakiś koła emigracyjne dostarczały krajowi, a także europejskiemu ruchowi wolnościowemu kadry działaczy przyszłych powstań. Przez czas jakiś... Później nadzieje na szybki powrót do kraju zaczęły gasnąć. Pozostał mistycyzm i zagubienie. Kolejne pokolenia, gdy wymarli przywódcy, uległy wynarodowieniu.

„Do Adama Mickiewicza. 25 lutego 1850 r. To, co mi mówisz o Emigracji naszej potwierdza się w przekonaniu, że jedną z najcięższych klęsk naszego czasu są emigracje polityczne. Na emigracji człowiek bękaracieje, wynaradawia się. Pozbawiony ożywczych soków własnej ziemi, schnie albo wsysła się na gadanie, kiedy tymczasem prawdziwe życie kraju organicznie rozwija się na miejscu. Ignacy Domeyko”.

Czy losy każdej polskiej emigracji musiały być podobne? Bo podobne są, ale czy musiały prowadzić do tego samego? Cele, przyczyny i początki każdej z nich były różne. Krańcowo różne. Jakże żałośnie wyglądała w zestawieniu z wielką emigracją polityczną — emigracją za chlebem, ta z początku XX wieku. Albo ta ostatnia, z historycznej konieczności, u której genezy krwawy polski wrzesień. Różne przyczyny — podobne losy — identyczny koniec: wynarodowienie.

Zygi z Lymington

Jeńców bierzesz, patrzysz, a on po polsku gada. Co z nim zrobić? Wielkie pomieszanie było. Dzisiaj w niemieckim wojsku, a jutro u nas. Andersa się pytają: — No, gdzie ty weźmiesz te rezerwy? A on mówi: — Z przodu. I tak było. Inna sprawa, że z tymi jeńcami mogliśmy sporo zaszkodzić szkopom. Wczoraj byli jeszcze po tamtej stronie, więc póki pamiętali niemieckie okopy szli z nami na nocne wypady. A lepiej walczyli niż my. Bali się. Mam tu obok Lymington kolegę, co był w niemieckim wojsku. Heniek Żelazny ze Śląska. On był przed wojną mistrzem Polski w boksie. Na olimpiadę miał jechać.

Najpierw nam — jeszcze we Włoszech — mówili: jesteście żołnierzami i Wojsko Polskie musi tu jeszcze pobić szkopów, a potem jak wojna się skończy, to jedziem do Polski. Z ziemi włoskiej do polskiej. Jak w hymnie. I wojna się skończyła. Kiedy jedziemy? No, jeszcze muszą coś tam załatwić między politykami. Przyszło więc czekać. A my młodzi byli i każdy chłopak tylko myślał, gdzie tu babę złapać, popić sobie... Była okazja. Potem zawieźli nas do Neapolu i każą jechać do Anglii. Nie tylko kazali, ale i zapakowali na okręt i wysadzili w tej mgle. Co teraz robić? Można jechać albo do Kanady, albo do Nowej Zelandii, albo możesz tu w wojsku stać. Do Polski nie radzili jechać.

Ja tu mam jednego znajomka. Zawodowy, przedwojenny ułan. Jak o Polsce zaczniesz gadać, to on płacze, kurcze pieczone... On stary i miał więcej lat niż ja, gdy przyszła wojna. Ja byłem szczun. Co o Polsce zaczniesz, tak on ryczy. A wielki jest: sześć stóp! I silny jak byk. Chwalić się też jak ułan umie. Ja to pić umiem — mówił kiedyś. Niby to zrozumiałe skoro ułan. I inne bajery Władek zasuwiał. Nie wierzyłem, bo przecież przedwojenny ułan nie płacze. Aż mi kiedyś matka przysłała butelkę polskiego spirytusu. Akurat robiłem w Istly razem z Władkiem — ułanem i takim jednym Walińczykiem. Siedzimy w dwójkę bez Władka. Jeszcze nie przyszedł. Wlali my tak po naparsteczku spirytusu i rozcieńczyli sokiem. Walińczyk wypił. Oczy mu wylazły, krztusi się i ja też. Nie umiemy pić tego cholerstwa. Dolaliśmy jeszcze wody, ale i tak się nie dało pić. Wtedy pomyślałem, żeby dać Władkowi. Zawsze się chwalił, że po ułańsku pije. Czekamy. Wreszcie przyszedł. Nalałem mu pełny kieliszek. No, napij się Władziu — mówię do niego — pij, zanim zaczniesz robotę. Władziu ostrożnie wziął, żeby nie wylać i wypił. Ani okiem nie ruszył, tylko mówi: — To dobre na jedną nogę. Więcej nie masz? Wtedy mu uwierzyłem. Nie kłamał. Naprawdę ułan. Przedwojenny. Sześć stóp, silny, pić umie, ale cholera płacze jak o Polsce wspomnisz. Tytu tu naszych jest — marynarzy, piechociarzy i lotników, a tylko ten jeden płacze. Ułan, psia krew. Albo ten stary, co służył na „Błyskawicy”. Dziwny jakiś taki. Przyjdzie, powie dzień dobry i milczy. Milczy, milczy, a potem śpiewa polskie piosenki. Nie wiem, co z nim jest. On tylko w jedną stronę chce lecieć. Żonę zostawił, dzieci zostawił. Ona do mnie przychodzi i płacze, że do Polski uciekł. Po jakimś czasie wrócił. Jeszcze bardziej zwariowany.

Cholera, jak ten czas szybko zleciał. Już tyle lat mi tu zeszło. Nie chciałem w dużym mieście żyć. Tam nasi ciągle się kłócą. Tu mam blisko wodę, ryby, no i wy tutaj przyzwyczajacie. Przywykłem do tego miasteczka. Sporo jednak czasu minęło, zaczym człowiek nauczył się tutaj żyć. Zanim przyzwyczaiłem się do angielskiej herbaty, minęły ze dwa lata. A choć tyle już w Anglii mieszkam, ich chleba nadal nie lubię. Jak bym tak mógł polskiego dostać...

Wiesz, chłopie, wpierv to ich związki zawodowe krzywo na nas patrzyły. Myśleli, że chcemy taniej robić niż Anglicy, ale my głupi nie byli. Zapisaliśmy się też do związków. I tam nam mówili, że ile mamy robić. Za mniejsze stawki nie pracowaliśmy. Kazali też pracować spokojnie i nie robić wcześniej. W końcu przekonali się, że nie robimy taniej i nie jesteśmy kokurencją. Uznali, że jesteśmy równe chłopcy. Bali się, że Polacy będą robić lepiej, szybciej i taniej. Frajer by robił za taniej.

Trzydzieści pięć lat minęło... Żeby tak czas mógł się wrócić. Chłopie, z powrotem do Polski bym przyjechał. Nie zostałbym tu. Dobrze ci jest, jak nic nie myślisz, bawisz się, ale ze starością masz coraz więcej czasu na myślenie; czasu na tęsknotę za domem. Rozmawiasz z kimś i się łapiesz, że porównujesz: „a w domu to robiliśmy zawsze tak...” Mieszkaś na obczyźnie, a jak Boże Narodzenie przyjdzie, albo inne nasze święto, to wyjesz do księżycy. Swojej baby po polsku nie nauczyłem. Dzieci też ani w ząb po polsku...





Jedyna radość, jak nasi gdzieś wygrają w piłkę albo gdzie indziej. A przez to, że wy tu czasem przyprawiacie, coraz lepiej po polsku mówię. Lubię być z wami. Chłopie, też przecież okazja jak raz na rok człowiek ze swymi ludźmi pogada. No, nasze ludzkie inni są... Jak tu jesteście, to czuję się Polakiem. Coraz bardziej..

2. Wynarodowienie... Emigracja — wynarodowienie? Cyprian Norwid był innego zdania. Ustawicznie bronił jej dobrego imienia choćby na przekór faktom:

„Do Władysława Bentkowskiego. (Paryż, czerwiec 1863 r.). (...) Nasłuchałem się przez lat kilkanaście mniemania, jakoby długo od kraju oddaleni nie mieli możności uprzytomnienia sobie potrzeb miejscowych — chciej, z łaski swojej, przyjąć w zamian uwagę, że większa część potęgi postępowej z tego się właśnie czerpie, iż skoro szczegóły i detale miejscowe tracimy z oczu, pozostają przed wszystkim ogólne zarzysy dobra, prawdy lub piękna — I zaprawdę powiadam Ci, że nie tylko Kościuszko po to do Ameryki odsunął się, ale że cała Emigracja dlatego i po to na wszystkie światła strony musiała konieczną być przez długie lata rozeslaną (...) Twój Cyprian Norwid”.

To właśnie Norwid — jego tragiczna postać stanowi dla mnie przykład, egzemplifikację losów polskiego emigranta. Uosobienie trzech emigracji. Może i przez to, że postać ta jest potrójnie rozdarta i potrójnie, a może i bardziej cierpiąca. Wgnaniec z własnej woli, biedny a niechciany, geniusz a lekceważony, tułacz, który pod żaglami zawędrował aż do Nowego Jorku, ale który z tej wyprawy niczego, poza drzącą w dłoni nie wyniósł. Nie popłynął przecież tak daleko, by lepiej widzieć Polskę, której nie było. Wspomina o Kościuszcze, lecz to nic nie znaczy. Ostatecznie i Kościuszko i Norwid byli w Ameryce.

Jest mi bardziej bliski przez morski wiatr, który zaniósł „Czarnego Rycerza” do czyścica, bym mógł zobaczyć, jak nie-trwałe jest to, co urealniamy w materii w odróżnieniu od idei, myśli, od twórczości. Czytam jego wiersze. Choćby ten: „Z pokładu »Marguerity« wypływającej dziś do New-Yorku. Wiersz żyje: „Cokolwiek słońca w żaglach się prześwieca, omuska maszty lub na fale spryska...”, nie straszy rozkładającą się składnią, nie rzeźbi konającą metaforą. Żyje! „Czarny Rycerz” zaś skonał. Czas nadał mu trupi wygląd. I zapach.

Są statki, które żyją dłużej od ludzi, które jeszcze po śmierci; opuszczone i zbutwiałe, zachowują w kształcie rozpadającej się dziobnicy resztki dumy, a może i pamięci. Nigdy jednak nie przypuszczałem, że spotkam „Czarnego Rycerza”; że natknę się na żaglowiec, który w połowie ubiegłego stulecia chodził z Nowego Jorku do Hawany. Kapitan tego statku dał ongiś zarobić na życie Cyprianowi Norwidowi wykorzystując zdolności „malarzkie” polskiego poety. Norwid malował część kajut żaglowca. Na rozkładający się kadłub „Black-Warriora” natknąłem się na cmentarzysku żaglowców w angielskim Hamble. Czy był to na pewno „Czarny Rycerz”? Zdołałem odczytać tylko część nazwy statku: „..... Warrior”. Dzisiaj wrak nie ma już kajut. Rozbebeszony kadłub straszy szkieletem wrę i szczątkami burtowego poszycia. Patrząc na te szczątki nie chciałbym się jednak mylić. Chociaż, jakie to ma znaczenie? Żaden symbol. Można przecież powiedzieć wprost — ludzie na emigracji zatracają swą osobowość, czas zniekształca ich polskie do niedawna dusze. Im dalej i dłużej od Polski, tym bliżej zapomnienia. I tak ciągle, niezmiennie od 1830 roku.

Jan z Plymouth

Pierwsze dwa lata po wojnie były najtrudniejsze. Może nie dla mnie, ale dla większości polskich marynarzy i lotników. Zaproponowano nam miejsca na statkach rybackich. Panie, jeśli ktoś pływał na niszczycielach i ścigaczach, przecież nie przejdzie na koryto. A poza tym mieliśmy dosyć pływania. Chciało się do domu. Te dwa pierwsze lata były latami przysposobienia do nowych warunków. Myślałem, że oszczędzę sobie tych niepokojów. Zaraz po zakończeniu wojny zgłosiłem chęć wyjazdu do Polski. Czekala na mnie matka. Zgłosiłem się na wyjazd i czekałem. Ona czekała i ja czekałem. Długo. Tak długo, że matka zdążyła umrzeć, a ja się ożeniłem. Mimo to wróciłem do Polski. Pojechałem z żoną i mieszkaliśmy w moim kraju jedenaście lat. Służyłem na kolei jako maszynista I klasy, w Jeleniej Górze. Do 1958 roku. Żona zbyt mocno tęskniła za swoim krajem i chciała

wrócić. I dobrze, że wróciła, bo teraz jest pożytek z tego, co się w Polsce nauczyła. Ukończyła we Wrocławiu Technikum Księgarskie i kursy tańców polskich w Toruniu. Widzi więc pan, że my nie jesteśmy typowi dla angielskiej Polonii. Żona Angielka, a mówi po polsku. Córki też znają mój język. Typowi jesteśmy w czym innym. Może w tym, co chcemy teraz coś zrobić dla Polski.

Powiem panu teraz o tych politycznych podchodach. Właściwie są w Anglii dwa obozy. Jeden znajduje się w Londynie i to są te „leśne dziadki”. Mają swój własny rząd, który przecież nikogo poza nimi nie reprezentuje. Mają swego prezydenta... Zapomniałem jego nazwisko. Mają ministrów, ale ten rząd do niczego. Pieniądze zdobywają sprzedając domy i wszystko, co im zostało z dawnych lat. Trzymają się. Mówią, że jeszcze wrócą do Polski na dawne stanowiska.

Dam panu taki przykład.. W klubie było zebranie naszego Angielsko-Polskiego Stowarzyszenia Kulturalnego i Koła Marynarki Wojennej. Z tej okazji przyjechał z ich rządu pan komandor Kor... Kar... Choroba, też nie pamiętam. Zapomniałem. Ale przyjechał, mniejsza z tym, jak się nazywał. Przyjechał i zaczął różne dyrdymały opowiadać. To ja mu mówię: — Proszę pana, wojna już się dawno skończyła i żadnych oficerów komandorów nie ma. A on na to: — O nie! Jeszcze istnieją, czego jestem dowodem. Na to ja: — A właśnie, że nie ma. A on: — My mamy swój polski rząd i mamy regularne awanse, stopnie i dyscyplinę. Ja wtedy mówię: — Mieście sobie, ale z dala od nas. Po chwili on: — Pan zdaje się coś mówić o Polsce... Pan był w Polsce? Byłem jedenaście lat — ja na to odpowiadam i zaraz pytam: — A pan był? Nie, nie byłem — wybałał zdenerwowany i tak się rozeźlił, że nie dał mi skończyć tylko wrzasnął: — Pan jest z propagandy rządu warszawskiego! I nie chciał dalej z mną rozmawiać. Zwrócił się do mojej żony. Na to żona go też pyta: — Jeśli pan nie był w Polsce, co pan może teraz o niej mówić. A skąd się pani nauczyła tak ładnie po polsku mówić — on się dziwi? Żona na to: — Bo miałam ochotę. A tutaj u was są tacy, że matka Polka, ojciec Polak, a dziecko słowa po polsku nie umie. Nawet dzień dobry nie powie. Pańskie dzieci mówią po polsku? Pan nie wie jak Polska wygląda, bo pan nie chce wiedzieć, albo nie może pan wiedzieć. Ciekawe, dlaczego pan nie pojedzie do Polski? Boi się pan? Na to komandor zwinął manele i poszedł sobie jak zmyty. Do Londynu. Do „leśnych dziadków”.

Nie, ja nie jestem komunistą, choć jak pan wie, ci kombataneci z „Orla Białego” mówią, że Czarnota to komunistą. Sami nie wiedzą, co mówią... Jak myśmy powrócili tu z Polski w 1958 roku, to „Orzeł Biały” nie chciał nas znać, choć jest klubem byłych polskich marynarzy. W odróżnieniu od naszego stowarzyszenia oni uznają „leśnych dziadków”. Najczęściej wtedy, gdy czegoś z Londynu potrzebują. Zaś koło byłej samopomocy, czyli obecny Klub Marynarki stoi tak pośrodku. Ni tak, ni siak. Ni pies, ni wydra. I peino tu w Anglii takich klubów polonijnych. Co klub, to inna im Polska przyszwica. Ciągłe kłótnie. Żadnej zgody. Wróć do tego 1958 roku... Jak przyjechalśmy tu wtedy do Plymouth, było nam bardzo ciężko. Nic nie mieliśmy. Jedyne co przywoziłem ze sobą z Polski, to były dwie walizki, dwie córki i żona. Nie mogłem dostać pracy. Trudno było. A od tych panów zrzeszonych w „Orle” zawsze zalaływało burżuazją. Nie to co my — gołysz. Mieli warsztaty, fabryczki, zakłady. Więc mogli pomóc dając jakieś zajęcie, ale gdzie tam... Nie chcieli mnie przyjąć do pracy. Nie pomogli. Żona poszła do Boshy, a jakiś czas potem i ja dostałem robotę. Przez kolejne dziesięć lat było nam ciężko. Nawet nie wystarczało, by na wakacje do Polski pojechać. Ale pomaleńku doszliśmy do siebie, dorobiliśmy się i teraz co roku jeździmy do kraju. A co do tych z „Orla” — oni faktycznie mówią: — „Och!... Czarnota? O, nie! Czarnota jest komunistą, bo ciągle o Polsce dobrze mówi. Widocznie przyjechał tu specjalnie napuszczony”. Zresztą podobnie mówią niektórzy w Klubie Marynarza. A oni też są podzieleni na dwie partie, z których jedna sprzyja Londynowi i ma nas za bolszewików. I tak to jest w całej Anglii wśród Polaków. Jedni potrzebują swoich komandorów i błogosławieństwa „leśnych dziadków”, a drudzy są tacy, jak my. Nie znoszą tej głupoty, fikcji i bzdurnego rządu. My w naszym Angielsko-Polskim Stowarzyszeniu Kulturalnym jesteśmy bliżej robotarzy, bo się z nich wywodzimy. Nikt z nas się tutaj nie dorobił wielkiego majątku.

Te grupy właściwie mnie nie interesują, ale widzę ich podchody. Teraz chcieliby dwie sroki trzymać za ogon.

Chcieliby korzystać i z rządu w Londynie i z ambasady PRL. Zaraz po wojnie każdy z nich zrobił się obywatelem angielskim i obnosili się z tym wszędzie mówiąc ciągle: „I'm sorry”. A jak teraz na starość przycisnęła tęsknota za krajem, i choć pyskują na Polskę wielu chce do niej jechać, wszyscy chcą się robić Polakami. Wie pan dlaczego? Bo taniej! Jak się ma obywatelstwo polskie taniej wychodzi wyjazd pod płaczące wierzby. Chcą być Polakami na miesiąc urlopu. Nie chcą płacić po dwanaście dolarów dziennie. Sięgają po sakiewkę i krzyczą, że są Polakami. Jakżeś jednak bracie swoją narodowość i swoje obywatelstwo stracił już nie jesteś Polakiem. No, niech pan powie, tak czy nie? Nie jesteś Polakiem! A ja się swego polskiego obywatelstwa nie zrzekłem. Na koniec powiem panu coś innego. Narzekam na nich, plotkuję, a to przecież nieszczęśliwi ludzie. Przecież oni sami nie wiedzą kim są. No, bo kim?

3. Poznałem ich wielu. W Malmö, Kilonii, Hamburgu, Cowes, Lymington, Plymouth. Zaniósł mnie tam pomyślnie wiatry. Zawijałem do tych portów. Rzucąłem cumy wiedząc, że za chwilę usłyszę głos: „Wy z Polski?” Zawsze przychodzą na polskie jachty, słuchają, mówią, zapraszają do swych domów. A w każdym domu na ścianie albo obraz polskiego okrętu wojennego, albo obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, albo jedno i drugie. Czasem mała biblioteczka z „Panem Tadeuszem” na widocznym miejscu. Czasem polskie stroje ludowe. Czasem lzy...

Z Plymouth na Morze Irlandzkie płynąłem wzdłuż urwistych brzegów Kornwalii. W pewnym momencie pomyślałem o lordzie Byronie. Chyba przy cyplu Lizard, który nam przyszło opływać o zmierzchu. Brzegi były skaliste, niedostępne, groźne. A może przede wszystkim posępne. Gdzieś na wzgórzach światła domostw. Zupełnie nierealne. Z innego, jakby obcego świata. W pewnym momencie odczułem, że nic mnie z tym posępnym lądem nie łączy. Nie, nie odczułem z tego powodu satysfakcji. Był to bardziej lęk. Światła w tamtych oknach, gdzieś pod niebem, były obce i martwe. Dlaczego tak czułem? Czy dlatego, że nikogo na tym lądzie nie miałem, że byłem obojętny tym ludziom z angielskich domów? Być może chodziło o coś innego. Ciągle myślałem o cmentarzysku w Hamble. O „Czarnym Rycerzu”. I o Norwidzie. Wzdłuż tych brzegów płynął polski wygnaniec w połowie grudnia 1852 roku. Wypłynął z Portsmouth na pokładzie amerykańskiego żaglowca „Margaret Evans”. Z Portsmouth do Nowego Jorku. Miał powody, by cieszyć się widząc znikające na horyzoncie angielskie brzegi. Za oceanem czekała na niego „wolność”. Uciekał od ucieczki. Uciekał od braci Polaków. Za oceanem znalazł kolejne rozczarowanie. Ani on, ani nikt z Mickiewiczów, Słowackich i Chopinów nie mógł przecież uciec przed własnym przeznaczeniem. I choć to nie los uczynił ich wielkimi dla polskiej sprawy, jednak los nie był łaskawy. Złożyli swe kości ostatecznie na obczyźnie. Ich pokolenie nie miało jednak co żałować. Ta ucieczka w niewolę obcej wolności, ta emigracja zanim uległa wynarodowieniu, sporo dla Polski zrobiła. Może nawet najwięcej ze wszystkich emigracji. Cóż współczesna nam emigracja może dla Polski zrobić?

Angielsko-Polskie Stowarzyszenie Kulturalne w Plymouth

Nazywam się Barbara i jestem członkiem stowarzyszenia. Dobrze nie mówię po polsku, ale na pewno rozumiem co mówię. Nasze stowarzyszenie powstało w 1973 roku. Mamy stu członków i staramy się tutaj podnieść polską kulturę, pielęgnować ją. Niestety, Polacy nie trzymają się zbyt mocno razem. Staramy się im stworzyć troszkę polskości. Chcielibyśmy zrobić coś i dla Polski i dla nas oczywiście. Tańczymy polskie tańce. Mamy grupę folklorystyczną o nazwie „Krakowia”. Śpiewamy po polsku. Mamy też sobotnią szkołę, w której dzieci uczą się po polsku. A są to przeważnie angielskie dzieci, które chcą wiedzieć dużo o Polsce. Zresztą, jest tu dziś wśród nas pan Fulton. Niech on powie, co sądzi o naszej pracy.

John Fulton — członek Rady Miejskiej Plymouth: „Przed dwoma laty poproszono mnie, bym wziął udział w pracach stowarzyszenia. Przyznam, byłem zafascynowany tym, co robi towarzystwo; między innymi wystawą osiągnięć polskiej kultury i gospodarki. Na wystawie zgromadzono ciekawe eksponaty, obrazy, fotogramy przywiezione z Polski. Była to ekspozycja pierwszej klasy. Uważam, że Angielsko-

-Polskie Stowarzyszenie Kulturalne prowadzi tu pożyteczną i uporczywą pracę, czym umiejętnie przyczynia się do propagowania osiągnięć polskiego narodu”.

Przychodzą do nas angielskie dzieci i młodzież. Spędzają z nami czas. Uczą się polskich piosenek i tańców. Jolly na przykład jest z nami niemal od początku.

Jully (lat 17): „Należę do stowarzyszenia od ponad sześciu lat. Jest tu po prostu inaczej niż gdzieś indziej. Niż w innych angielskich klubach. Polska jest dla mnie ciekawym i egzotycznym krajem. Bardzo mi się podobają stroje ludowe, w których występujemy. I ludzie są tu bardzo mili. Czekają zawsze na nas i dlatego czujemy się tutaj tak swojsko. Jestem dumna z tego, że należę do tej grupy”.

To bardzo ładne, co powiedziała. Ona czuje się dumna... No, a są tacy Polacy w Plymouth, który żyją pojedynczo. Część z nich zapomniła jak się mówi po polsku. Nie chcą nas znać. Są tylko Anglikami. Sporo, sporo ich jest i w Plymouth i gdzieś indziej. A nam jest tutaj dobrze. Może i dlatego, że mamy powody do satysfakcji. Nasza praca, jej efekty, cieszą się uznaniem. Ten dorobek możemy zaprezentować, przedstawić, chociaż z drugiej strony nasza działalność tak naprawdę jest przede wszystkim dla nas samych i dla naszych wnuków. Dla dzieci — mniej. To nasze pokolenie jest już zupełnie stracone. My stanowimy to pierwsze pokolenie, które tu przyjechało i osiadło. Nie mówię o tych, o których pan wspominał. Tamci z ubiegłego wieku, polityczni emigranci dawno wymarli i nikt o nich nie pamięta. Nikt nic nie wie. Żyją gdzieś między nami ich wnukowie i może nie wiedzą, że w ich żyłach płynie polska krew. Nasze dzieci, z małymi wyjątkami, urodziły się po wojnie. Powiem szczerze — nie często chcą być Polakami. Teraz jednak powstaje kolejne pokolenie zrodzone z tych dzieci i w nich coś kiełkuje; jakieś zainteresowanie Polską. Coś się w nich zbudziło. Szukają wiadomości o swoich dziadach, o Polsce.

4. Poznałem ich wielu. W Plymouth, Southampton, Cowes, Lymington. Rozmawiałem z trzydziestoma, a może i z setką osób, których losy wojny rzuciły do Anglii. Byłem w kilku domach. W paru klubach polonijnych. I teraz twierdzą, że nie ma nic smutniejszego od klubu polonijnego. Jeśli spotkałem trzech „byłych” Polaków, wiedziałem, że reprezentują trzy frakcje. Najczęściej skłócone. Każdy z nich uważa się za „lepszego” Polaka. Licytują się polskością, kontaktami z krajem. Jedno jednak jest pewne, że Polska nie jest im obojętna.

5. Profesor Józef Buszko pisze w czwartym tomie „Historii Polski”: „Z zachodu powróciło do Polski w latach 1944—1949 ok. 2,3 miliona ludności, z czego ponad 85% w latach 1945—1946. Ta fala repatriantów osiedliła się częściowo na ziemiach »dawnych«, w znacznej jednak mierze również na odzyskanych. Najliczniejsze grupy powracały z Niemiec, następnie z Anglii, Francji i Belgii...” Nie było wśród nich ludzi, których spotykałem w angielskich, niemieckich i szwedzkich portach. Dane statystyczne mówią, że nasza Polonia rozsiana po całym świecie liczy grubo ponad dziesięć milionów osób. Czy czytając dziś Mickiewicza, Słowackiego, bądź Norwida ci ludzie uświadamiają sobie coś więcej poza tęsknotą i nostalgią? Czy wiedzą, dlaczego nikt dziś nie powie, że wielka polska emigracja polityczna nie była dziełem straconym? A oni?

Wracam myślami do cmentarzyska żeglowców w Hamble. Do tego, co pierwotnie zdawało mi się najsmutniejsze z obrazów współczesnej Anglii. Tak myślałem nie znając obrazu pierwszego pokolenia polskich emigrantów II wojny światowej. Stracone pokolenie z wielką miłością do kraju lat dziecińczych. Cóż oni mogą zrobić dla tej swojej dalekiej teraz ojczyzny? Mogą ją kochać...

Pociągi zatrzymane pod semaforem pogwizdywały smutno. Czasem liść wiatrem porwany, z tych liści ostatnich, które jeszcze na drzewach przetrwały, pacnął o szybę mego sublokatorskiego pokoiku i usunął się w dół z szelestem. Siedziałem otulony kocem. Kaloryfery nie grzały. Do zmroku coś stukąło, pobulgotało, potem umilkło zupełnie. Metal rurek i żeberek był zimny, obojętny. Martwy.

Zadzwoił dzwonek. Domyśliłem się, że wraca moja gospodyni. Z kuchni wyszła jej teściowa, aby otworzyć. Cień staruszki przesunął się po matowej szybie mego pokoiku.

— Czemu tak zmiono tutaj mamę? — pytała pani C. oswobodzając się z płaszcza i mokrych butów.

— Aż, lepiej nawet nie mówić.

— Co? znowu?

— Przyszli te centralne naprawiać i ukazał im się...

Uchyliłem drzwi. Staruszka spojrzała na mnie i zawahała się. Nie widząc jednak na mej twarzy niedowierzania dokończyła:

— ...ukazał im się człowiek bez głowy.

— Znowu! znowu!

— Kto go tam wie — wzruszyła ramionami teściowa pani C.

— No, a ci co naprawiali?

— Nic. Podobno wzięli narzędzia i poszli.

Dzwonek zadzwonił powtórnie oznajmiając tym razem córkę pani C. uczennicę pierwszej czy drugiej klasy szkoły średniej, dziewczynkę kilkunastoletnią, dobrze jednak rozwiniętą.

— Czemu tak późno? — spytała pani C.

— Zespół taneczny — odpowiedziała dziewczyna.

— Czekaj, czekaj — rzekła babka zgryźliwie. — Będiesz się tak po wieczorach włóczyć to jeszcze kłopot nam wszystkim zrobisz, albo i on cię spotka.

— Mama nie rozumie — ujęła się pani C. za córką. — Dziecko musi.

Ale dziewczyna nie obraziła się na swą starą, czasem może i zrzedliwą babcię. Wzdrygnęła się ze strachem. Uściskała staruszkę.

— Oj babciu, babciu, gdyby mnie tak gdzieś na prywatce albo w bramie choćby na przykład taki spotkał i zagadał, i był bez głowy, i chciał pocałować, to bym chyba — babciu — ze strachu umarła.

Słyszałam i ja o tym okropnym wypadku, który wydarzył się przy budowie naszych bloków. Właściwie nie przy samej budowie, lecz przy torach w pobliżu. Instalatorzy opowiedzieli o nim pierwszym mieszkańcom. W czasie zasiedlania, gdy ludzie poznają się

wzajemnie, gdy jedni drugim spieszą z pomocą, gdy znajdzie się chwila czasu na sąsiedzka rozmowę ta historia stała się znana wszystkim. Lecz jakże przetrwać mogła? Jak mogła być żywa nadal? Czy rzeczywiście ukazywał się... lecz skoro tylu ludzi, tylu ludzi... Nie umiałem silić się na niedowiarstwo. Są wszak „rzeczy na niebie i ziemi, o których się nie śniło filozofom”.

Tego wieczoru rozmawiałem też z panem C. Wrócił później niż córka. Kręcił się przechodząc chyba niepotrzebnie z pokoju do pokoju, szukając czegoś w kuchni i łazience. Z ostrych, głośnych przytyków żony domyśliłem się szybko: podejrzewany był o to, że pił. Oszklone drzwi pozwoliły mi też zorientować się, że pan C. swobodnym i rzeczowym zachowaniem usiłował potwierdzić swoje wyjaśnienia dotyczące owego picia: — „jeden czy dwa kieliszki moja droga, ostatecznie czasem trudno się wymówić”.

Wydawało mi się jednak, że w jego głosie wyczuwam ton jakiś inny niż zwykle po takim powrocie. Jakby nutę lęku. I to nie lęku przed awanturą. Zapukał wreszcie do mnie. Zaczął przepraszać, że przeszkadza, ale on tylko tak i zaraz pójdzie.

Podsunałem mu krzesło. Usiadł. Przystał panować nad zdenerwowaniem. Przełykał ślinę raz po raz. Przez chwilę nie mógł wykrztusić słowa.

— Coś się stało?

Zaczął tłumaczyć, że przecież nie miewa halucynacji. Żywi do mnie zaufanie. Wierzy, że go rozumiem. Chce, a właściwie musi o tym opowiedzieć. Właśnie mnie. Nie będzie przecież straszyl kobiet.

Otóż w biurze mieli małą uroczystość. Wprawdzie urządzenie uroczystości prywatnych i picie alkoholu w pomieszczeniach służbowych nie jest zupełnie zgodne z przepisami, ale zarządzenia zarządzeniami, a życie życiem. Ponieważ alkoholu nie było zbyt wiele, kilku, zresztą ludzi na poziomie, prawie wyłącznie magistrów, zapragnęło wstąpić jeszcze do jakiejś restauracji. Zimno było, zaciął lodowaty wprost deszcz.

Pan C. nie miał przy sobie ani zapalniczki ani zapalek. Tak się jakoś złożyło, że i jego koledzy na próżno obmacywali swe kieszenie. Na przejściu dla pieszych, tuż obok kolejowego wiaduktu jakaś ciemna postać.

— Czy mogę prosić o ogień? — zagadnął pan C.

Wtedy tamten zdjął głowę z karku. Z ust głowy buchnął płomień. Pan C. przypalił, ale gdy chciał podziękować, nieznajomy znikł.

Mogłem tylko wysłuchać jego opowiadania. W czarne szyby bębnił deszcz.

* * *

Jesienny świt pełen był ludzi spieszących do pracy. Sunęły samochody świecąc we mgle żółtymi światłami. Babka już wracała z wczesnoporannych zakupów. W siatce złożyły się bułki. I ona chciała mi coś powiedzieć. Otóż podczas robienia zakupów, w kolejce słyszała, że dyrektora M., który mieszkał niedaleko nas w wieżowcu, człowieka zasłużonego, odwieziono w nocy do szpitala z zawalem.

Po dwunastej podobno poczuł dziwny ciężar. Chciał zapalić światło, ale nawet ręki do nocnej lampki podnieść nie zdołał..

— Usiadł mu na piersiach — opowiadała — na piersiach! Ust nie mógł zamknąć, to mu wpychał jakieś pisma rozmaite, urzędowe. Wódką, koniakami polewał..

— Ale kto?!

— Jak to kto? — odparła. — Strzygoń.

Z jej opowiadania wynikało, że M. zmęczony widocznie trudnościami organizacyjnymi w czasie swej odpowiedzialnej pracy nie potrafił zrzucić z siebie gniotącego go ciężaru.

Wskazówki mego zegarka dyskretnie, ale stanowczo przynaglały, abym powiedział jej „do widzenia”.

Nie miałem czasu, aby się zastanawiać czy ofiara tego wypadku, właściwie chyba widmo ofiary, pokutowała czy może chciała się zemścić. I nie myślałem o tym przez godziny pracy wciągnięty w jej rytm. Jej problemami zaabsorbowany.

*
* *

Nad miastem wisiał deszczowy i wietrzny listopad. Ledwie zdążyłem zjeść obiad, już robiło się ciemno. Pustoszały ulice. Przechodnie unosili kołnierze płaszczy, wciągali głowy w ramiona chroniąc się przed kroplami deszczu.

Z baru wytoczyła się grupka biesiadników. Przedem szli dwaj milicjanci, obchodzili swój przydworcowy rejon.

Miarowe milicyjne kroki niosły się echem w pustej ulicy. Szli z paskami pod brodą. Baczni na wszystko. Rozmawiali. Byłem blisko.

— A tamten — powiedział plutonowy do kaprała — tamten... — wskazał brodą.

— Ten pijany?

— No, chyba pijany... no ten... ten, co tak stoi i czeka.

— I co?

— Ma on głowę na karku, czy nie ma?

— Widzę... ale, że też...

— Pod pachą ma, czy co?

— Pod pachą chyba. Ale i tak w izbie wytrzeźwień pełno.

Przeniknął mnie dreszcz lęku. Skreśliłem w swoją ulicę. Z ulgą przekreśliłem klucz w zamku.

— Ma pan gości — powiedziała pani C. I ona była zdenerwowana.

Leon i Artur zdążyli się już poznać. „No wreszcie!” przywitali mnie razem. Jakże się cieszyłem z tej wizyty. I mogłem opowiedzieć wszystko. Przynieśli alkohol. Kieliszków wprawdzie nie miałem, ale szklanki były czyste. Wypiiliśmy po dwa razy równo.

— Ma się to oko — twierdził Leon.

Opowiedziałem im o wszystkich dziwnych zdarzeniach. Tłumaczyłem, że Strzygoń według ludowych wierzeń pojawiał się nocą. W tym wypadku też w zasadzie trzymał się godzin po zmroku. Ale nie był zbyt konsekwentny. Tamten z wierzeń wracał rano na cmentarz.

— Słyszałem kiedyś — przypomniał sobie Leon — w audycji poświęconej chyba zagadnieniom UFO, hipotezę, że być może tajemnicze zjawiska, które się dziś pojawiają i to sprzed lat, są projekcją, konkretyzacją... Konkretyzacją tkwiących w naszej podświadomości przekonań o nich. Gdyby więc przyjąć, że i ten jak go nazywasz Strzygoń, jest taką konkretyzacją?

— Myślałem i o tym. Tylko widzisz, Leon, jest też inna hipoteza. Kontrhipoteza w stosunku do tamtej. Według tej drugiej, to właśnie my jesteśmy konkretyzacją tego, co istnieje w podświadomości ludzików z Kosmosu lub takich zjaw. Czasem bywa, że i bezgłowych.

Do drzwi zapukał pan C. — Przepraszam, ale ja tylko na chwilę.

Kiedy go jednak zaprosiliśmy, by usiadł, zgodził się skwapliwie.

— Och, dziękuję. No, ale jeżeli już to... — wyciągnął i on pół litra.

Zjawiła się za chwilę pani C. Potem i babka.

— A bo jakoś tak strasznie.

— Ja — powiedział Leon — znam identyczny przypadek. — Mieliśmy praktykantów. Jeden taki założył się o skrzynkę piwa, że włoży głowę pod podciąg.

— I co?

— I też wygrał.

Pan C. również coś sobie przypomniał.

— W zakładzie fryzjerskim na rogu kiedyś zdarzyła się tragedia. Ot, здаwałoby się zwykła razura. Gazety na

krzeselkach. W nich informacje międzynarodowe i wiadomości lokalne o udanych i nieudanych interwencjach redakcji.

Na fotelu siedział klient. Toczył z fryzjerem jedną z tych codziennych sepek tysięcy rozmów wnikliwie analizujących, zawierających również oceny krytyczne. Ot, jedna z takich rozmów, które dla zabicia czasu prowadzi się w przedziale kolejowym, w poczekalni, czy właśnie w razurze fryzjerskiej. „Ja to bym panie...” — mówił klient. „Trzeba energicznie! Bym pokazał!”

A twarz fryzjera się zmienia.

— Bo to trzeba ostro!

A fryzjer: — Czyżby...? — I brzytwę o pasek poostrzył.

— Tylko ostro!

— No to ciach!

Raz tylko pociągnął. Brzytwa była ostra, z Anglii fryzjerowi znajomy przywiózł... Logiczne, co?

— Ockham — westchnął Artur — Wiliam Ockham. Anglik. Filozof. Tyle już wieków... A z jego brzytwy do dziś dnia korzystają niekiedy logicy czy filozofowie obcinając byty niepotrzebne...

— E, denerwowała się babka, bo przed laty to ludzie wiedzieli co z takim robić. Jak miał twarz krwią zanadto nabrzmiałą to łeb osikowym kołkiem przebijali. Albo w trumnie choć dali w zadek łopatą. Nieraz wystarczyło.

— Ale co będzie? Co będzie? — niepokoiła się pani C.

— E, tam — odpowiedział jej mąż rozlewając następną kolejkę — jakoś to będzie.

W karykaturze L. Piosickiego:
ZOFIA ORDYŃSKA



Z twórczości studenckiej grupy poetyckiej „TU I TERAZ”

SZYMON KACZMAREK

Ratujcie nasze dusze

osaczony niebem i
wodą
ostrzem siwego horyzontu
wzrok biały
jak wyschnięte morze
włada pustą plażą

dom
zbyt daleki jak na dom rodzinny
odpływa z wciąż tą samą falą

zatopiony dźwięk
świat niepoznany ochrypli
wołaniem coraz dalej
do ostatniego i pierwszego brzegu
rozpaczy

horyzont bardziej pusty
niż podniesiona wysoko
martwa flaga
dłoni

(Fragment)

ROMAN GRYGIAS

Portret II

Jak małe podobieństwo
ich dwoje w ciemnym pokoju
ze staroświeckich ram ślubnego zdjęcia
od lat z tym samym wzrokiem
przeszywającym obiektyw kamery
i tych dwoje zmęczonymi oczyma
śledzących świat na ekranie telewizora
ci pierwsi-nieważcy wiarą w przyszłość
ci drudzy-obciążeni przeszłością na szczycie Golgoty
pozostaje już tylko rozpiąć
wiarę na krzyżu przeszłości
a ciało słowem się stało
jedynie słowem ...

*Wiersze nagrodzone w konkursie poetyckim,
zorganizowanym przez grupę „TU I TERAZ” w 1979 r.*

Ostrzeżenie przed lądem

Opozycja morze — ląd obecna w różnym nasileniu w całej literaturze marynistycznej przybiera w niektórych wypadkach kształt opozycji skrajnych przeciwieństw. Nieomal manichejski podział na kraj świata (morze) i ciemności (ziemia) doprowadza do mniej lub bardziej celowej absolutyzacji zjawisk, wyzwalając jednocześnie cały szereg opozycji pokrewnych. Należy do nich przede wszystkim ta, którą można zamknąć w umownym układzie: Żegluga — Port. Żegluga jest tu więc synonimem wyboru, port — znakiem konieczności, i choć oba skrajne skrzydła tego układu opozycji są od siebie nawzajem zależne, i nie mogą istnieć w oderwaniu od siebie, postawienie między nimi znaku interpunkcyjnego jakim jest myślnik, dzieli ową zależność na kategorie zdecydowanie wrogie. Tworzą się kolejne układy alternatywne przeciwstawiające sobie zarówno wartości, jak i całe systemy światopoglądowe. A więc: wolność — niewola, pełnia — ograniczenie, twórczy niepokój — jałowa pewność...

Morze staje się przez to żywiołem sprzyjającym ludzkiej naturze, port — wytworem sztucznym, zniewalającym, będącym w oczywistym związku z całością cywilizacyjnych norm i obowiązków psychikę kulturowych nakazów.

To, co w historii całej marynistycznej literatury nobilitowało żeglugę do rangi skrótu w jakim ukazuje się los człowieka, zadecydowało też pośrednio o drugorzędnym lub zgoła wrogim charakterze lądu. Pęd, morskie szkwały, sztormy, zamiast budzić dawny lęk, który jeszcze Klonowicowi dyktował: „Może nie wiedzieć Polak, co to morze, Gdy pilnie orze”, stały się w poezji zjawiskami pożądanymi. Nawa, okręt przemierzający oceany, symbol losu jednostki, a nawet państw całych, póki płynie póty jego podróż traktowana jest jako szczęśliwa. Daleki cel wyprawy, ziemia, nie jest ważna, z jej strony grożą tylko niebezpieczeństwa: mielizny i rafy. Więc — trzeba płynąć i strzec się lądu.

Twórcą, u którego powyższe wątki są wyjątkowo silnie wyeksponowane, jest Zbigniew Jankowski. Znamienno to fakt, gdyż autor „Psałterza Bałtyckiego” jest chyba jedynym w naszym kraju poetą, który morski temat traktuje aż tak serio i nieomal zawodowo, wypełniając nim swoje kolejne tomy wierszy.

Jankowski podchodzi do problematyki lądu w dwójaki sposób: raz abstrahując zupełnie od jego istnienia, fascynując się „bezbrzeżnością” opisywanego żywiołu, raz wskazując na ziemię jako na wieczne zagrożenie, czyhające na żeglarzy. Oczywiście, ów ląd, przed którym poeta ostrzega (tytuł tego podrozdziału jest jednocześnie tytułem ostatniego tomu wierszy Zbigniewa Jankowskiego), to nie tyle

jednoznaczna konstrukcja wszelkiego zła, ile zbiór niebezpieczeństw natury etyczno-moralnej, o których pisałem powyżej. Spójrzmy zresztą na przykłady. W tomiku „Ciężenie morza” z 1970 roku znajduje się wiersz z otwierającą go kwestią: „Co chciałbyś skreślić? / Powiedz — brzegi, te wszystkie fiordy / ogryzające twoje morze / powiedz — dno” (Bezbrzeżne”).

Kwestia ta sformułowana zostaje po latach zupełnie już jednoznacznie, nawet tytuł wiersza posiada wartość argumentu: „Zmoldlić się / z morzem i powietrzem / w ciało morza i powietrza / w jego i twoje / bezbrzeżne ciało” („Ideal”).

Bowiem dla Jankowskiego ideałem jest właśnie owa mityczna morska nieograniczoność; nie chce, nie może zgodzić się na brzegi, ląd i porty. Charakterystyczne, że ziemia prawie we wszystkich przypadkach przybiera w jego wierszach kształt fizycznego agresora, już nie tylko na „dusze” żeglarzy dybiącego, ale i na ich ciała. Ląd jest tu zdradliwa, śmiertelna pułapka: „Teraz za ciebie / krzyczęć będę / zanim cię pożrą (...) moich portów betonowe szczęki” („Nad Lastą”).

Zdradliwa, bo nawet to, co stworzone ręką człowieka i ku jego obronie, zawsze obróci się w końcu przeciw niemu: „Znam tylko jeden kuter bogobojny (...) Wypatroszył go falochron / pod Kołobrzegiem w tamtym roku” („Litania za rybaków”).

W „Poemacie z Williamsem Willisem” sytuację tę obrazuje zaskakujący oksymoron: „... nie tonąłeś ku ziemi”. Dla Jankowskiego wszystko to, co ma związek z ziemią, stanowi zagrożenie jawne aż do przerysowania; w tym samym poemacie o samotnym żeglarzu trafia się taki opis: „Wzdłuż nabrzeży ostrono groty / bratobójcze noże / przeciwko twojej / wyboru / luksusowej samotności”.

Nabrzeża, brzegi, morskie dno — to hasła z pewnością wieloznaczne, ciekawe jest jednak to, że dla autora „Wysokiego łowiska” samo słowo „port” praktycznie nie istnieje. Tak, jakby było słowem — magicznym, słowem — tabu, mającym moc niedobrego przyciągania. I tylko w jednym przypadku pojawia się, lecz w jakże odmiennym od spodziewanego kontekście! „Trzy kutry wracają do portu. Nie udało się morzu” — napisze Jankowski w „Tryptyku o nieudanym połowie”. Ale groźba morskiego sztormu ustąpi w późniejszych wierszach groźbie życia na uwieczni, zakotwiczenia na płytkich wodach oportunistów.

Jankowskiemu wtórują w tym względzie bardzo licznie inni poeci, zwracając jednak za każdym razem uwagę na inny rodzaj niebezpieczeństwa ukryty za szyldem portu.

Dla T. Kubiaka, niebezpieczeństwem okazuje się tu być pamięć związana z konkretną sytuacją, czasem i miejscem. Pamięć bolesna: „I nie wracać już nigdy do żadnej przystani / bo każda przypomina, ziarnkiem piasku ra-

ni”. („Morska podróż z Gdańska do Gdyni”).

Ale powyższe uwagi płyną z ust młodej wdowy „w czerni po mężu”, towarzyszące bohaterowi wiersza. Czy kobieca egzaltacja jest tu na pewno podana bez żadnego cudzysłowu? Można dyskutować. Pewne jest natomiast, że Zagórski w swej sugestywnej wizji „Piekiła Krabów” nie ma wielu wątpliwości, co do charakteru portowego nabrzeża: „Przez falochron popielaty portu / Ruszy kupców i gapiów tłum / I oddać się będzie po trochu / Od ryb morza pożegnalny szum”.

Ziemia, port okazuje się tu być synonimem piekiła, rajską rzeczywistość ukryta jest w morskich głębinach. Trochę naiwną wymowę takiego przesłania osłabia fakt, iż dla Zagórskiego liczy się nie tyle okrucieństwo człowieka, mieszkańca piekiła, ile zwrócenie uwagi na odmiennosć sąsiadujących ze sobą światów. To jakby próba głosu w obronie wartości nienazywanych, piękna tajemniczego i oczywistego, piękna natury.

Kazimierz Sopot, w jednym ze swych wierszy z tomu „Wyjście z cienia”, stara się znaleźć dla tej zrodzonej ze sprzeczności sytuacji bardziej dyskusyjny ekwiwalent. I u niego port jest znakiem zaniku wartościowej aktywności, ale zdaje sobie on również sprawę, że portu uniknąć nie da się w żadnej żegludze. Pompatyczność zapewnień o

„bezbrzeżności” mórz jest mu obca, zgadza się na powrót, choć jest to gorzka zgoda: „odbijamy od portów / na zewnątrz ci sami / inny ładunek powierzamy wiatrom (...) a tam za burzą już łagodność prądów / dziób naszej nawy kielec w tę stronę / z której nas czeka nowych portów beton / i durniejszy kupcy / i bezpieczny postój”.

Obcość lądu istnieć może tylko w sferze idei, codziennie raz po raz umysławia tę prawdę wszystkim „wiecznym żeglarzom”. Bowiem to, co początkowo mogło być wolnością, powoli zmienia się w przekleństwo. Brak związków z ziemią, staje się początkiem zaniku własnej osobowości, latający holender z wiersza Brylla jest przestrożą dla tych, którzy uwierzyli w bezkres:

„Co dzień płacemy ciszej, co dzień
myślimy krócej
Każdy idący zachód zabarwia się naszym
rumieńcem
Jesteśmy coraz biedni i coraz trudniej
rzucac
w bezmyślną pustkę fal wołania o ląd
i szczęście”.

Bardzo dużo dźwигów

Nie wszyscy jednak poeci piszący o portach przeżywają tego typu rozterki. Obraz miasta będącego przedprożem mórz nabiera u wielu cech realistycznej obserwacji. Realistycznej lub naśladowującej realizm. We wszystkich tych bowiem wypadkach prężność i siła portowych urządzeń, szeroki oddech, którym emanuje atmosfera doków i na-

brzeży, usilnie stara się przeistoczyć w symbolikę wielkich liter. Mówi się więc: statki, dźwigi, przeladunki, a myśli: Zapał, Praca, Technika... Owszem port może dostarczyć motywów do tego typu refleksji, ale zbyt proste ich powielanie doprowadza bardzo prędko do schematyzacji.

Naśladowanie z natury gubiło więc najczęściej pisarzy używających pióra w podobny sposób jak malarz, który będąc w porcie rejestruje na płótnie zaledwie iglice dźwigów. Wiele mamy płócien, podobnie ubogich treściowo i formalnie, sporo mamy podobnie banalnych wierszy. Jeśli siła i optymizm, to oczywiście stalowe przęsła mostu: „*Mostem ze stali/ dudnią drezyny/ mostem do portu/ platformy jadą*” (J. B. Ożóg, „Szczecin”) lub w innej wersji, już z dźwigami: „*Ponad stuokie bloki białe/ powychylały głowy/ Żelazne kran/ dźwigi portowe*” (W. Karczewska, „Gdynia II”).

Nie oparł się również tej konwencji J. Przyboś, zawsze zresztą bardzo wrażliwy na strzelistość architektury: „*już o Gdańsk przyptyw łądu bije Wisłą/ zamarzając żelaznymi dźwigarami/ na port*”.

J. Nagrabiecki kumuluje wszystkie powyższe banały antropomorfizując (co również jest charakterystyczne) sam port i czyniąc zeń synonim Dobrej Siły: „*...wsłuchajcie się więc w mowę /.../ stoczni i portów/ które nigdy nie tracą sił*” („Rwanie fal”).

Opisywacze miejskich nabrzeży nie potrafią zazwyczaj uwolnić się od natłoku realistycznych obserwacji, czynią to tym nieumiejętniej, że piętrzą obrazy ponad potrzebę i przesadzają ich interpretacje nachalnością komentarza. Zgrabnie poradził sobie z tematem A. Zaniewski w poemacie zatytułowanym „Nowy port”. W finale szczęśliwie unikając patosu łączy to, co wieloznaczne i symboliczne z planem realnym. Przesłanie, które posyła czytelnikom, mieszkańcom półbaśniowego portu, zamyka zwrotką: „*Tu się kończy mój czas/ dalej są tylko fale/ wokół trwa Nowy Port/ dzielnica pierwszych pytań /.../ i Port Północny wstający jak z baśni/ słyszę już syreny nadpływających statków*”.

Nie zawsze jednak port budzi tak jednoznaczne refleksje, dla wielu poetów nie jest on wcale synonimem dumy z osiągnięć pracy rąk ludzkich, ale znakiem zniszczeń, samookaleczeń cywilizacyjnych. Kultura zostaje tu niejako przeciwstawiona Naturze. Port to już

nie tylko rozkład obyczajów, prostytucja, nadbrzeżne szynki i handel niewolnikami, to przede wszystkim brudne kanały, smród benzyny i łatwe zarobki. Kelnerka z wiersza B. Faca: „*wpiaw płynęła przez smary przez oliwę portu/ by ją namaścić obok leżący mężczyzna/ dokładnie wcierając olejek z kokosów*”.

W innych jego wierszach „*huczy luksus towarów w ładowniach portowych*”, a dzielnice portowe „*toną w piwie*”. Tu żyje się szybciej, lepiej, smutniej. Port staje się sam dla siebie zaprzeczeniem, z morzem wiąże go tylko wizyty handlowych statków. Nawet „*W drodze do Nowego Świata*”, jak brzmi ironiczny tytuł wiersza M. Skwarnickiego, trudno było żywić złudzenia. Ziemia obiecana kusi tylko możliwością zapomnienia, a przecież, stwierdza bohater wiersza: „*Nie zapomniałem o niej w porcie/ Tam woń doków zmieszana z odorem benzyny/ Oranżerie wieżowców w zielonym kręgu miasta...*”

Pozorny zbytek, tani blichtr przytłacza, rodzi zgodę „*Coraz mniej was niewidzę*” — powie inny bohater przemierzający ulice portowego miasta w zupełnie innym utworze — starzeje się wszystko, nawet bunt traci siły, a człowiek własną twarz, której odbicie chybocze w „*przewiewnych kanałach cuchnącego portu*” (S. Stabro). I nie ma w tym niczego, co mogłoby uwłaczać portowej legendzie.

Dziwić natomiast może, że ci, którzy opisują wysokie portowe dźwigi i brudne portowe kanały tak rzadko zwracają uwagę na samą istotę miasta leżącego nad otwartą, szeroką wodą. Że tak sporadycznie pada prosta kwestia: „*Oto w porcie za ramion narożem przystańcie. Widzicie? — Morze!*” (T. Karpowicz „Morze w porcie”).

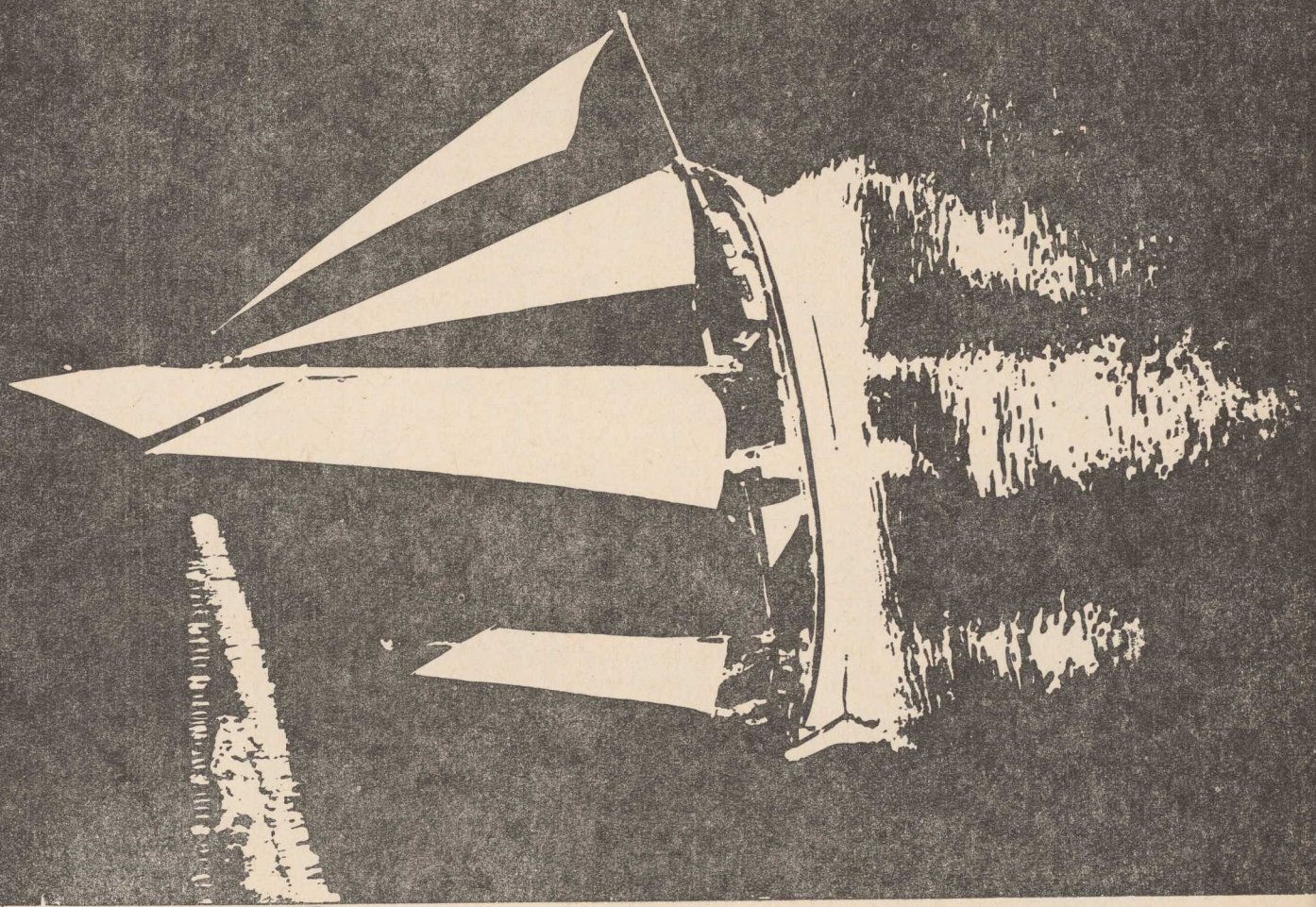
Próbując w jakiś sposób podsumować to, co powiedziałem w niniejszym artykule, wrócić muszę do punktu wyjścia, do pytania o wzajemne związki morza i łądu, uobecnione w liryce marynistycznej. Nie będzie oczywiście żadnym odkryciem fakt, że takie związki istnieją, a wszelkie dowodzenie byłoby w tym względzie równie jałowe jak dowodzenie związków między drzewem i owocem, słowem i pojęciem...

Bardziej istotne jest natomiast to, że wspomniane związki nie są tylko uzupełniającym się układem przeciwieństw, ale że obecność ich implikuje wewnętrzną dynamikę literackiego dzieła, że prowokują one do zajmowania zdecydowanych postaw światopoglądowych, że skłaniają do twórczej refleksji. Oczywiście, samo mechaniczne zderzenie pojęć nie daje jeszcze wyszukanych efektów artystycznych, a nawet wprost przeciwnie, rodzi zwyczajny banał i pustosłowie. Antytezy, gdyż taką kategorią stają się w tym względzie oba pojęcia, użyczają wtedy po prostu konturów zwyczajnym truizmom.

Z drugiej jednak strony, stała obecność obu motywów w naszej tradycji literackiej stwarza doskonałą okazję do porównań i do kształtowania własnej indywidualnej repliki tematu.

Motyw portu pojmovany był w tym szkicu dosyć szeroko. Przydałem mu atrybutów pojęcia zbiorczego, w jego zakres wchodziły bowiem m. in. takie słowa, jak: „ziemia”, „ład”, „przystań”, „brzeg”. Uczyniłem tak kierując się przede wszystkim żywą tradycją językową, która to umieszcza „port” w bardzo szerokim semantycznym kontekście. Mimo to, a może właśnie ze względu na to, przy doborze i analizie materiału jasnym stało się, że port jako znak tak zakorzenionych w kulturze treści, przyciągał jednych twórców — odstraszał jednocześnie drugich. I tak głównymi realizatorami motywu portowego okazali się poeci klasycyzujący lub zbliżeni do klasycyzmu. To właśnie oni powoływali się, mniej lub bardziej wprost, na ten obrosły już literacką patyną symbol. To przede wszystkim oni używali w formie podstawowej samego wyrazu: port (ewent. przystań). Wystarczy zresztą przyrzeć się liście nazwisk z cytowanych powyżej przykładów. A inni? Inni, wzorem Z. Jankowskiego, stronili raczej od portowego motywu jakby obawiając się wyzwolenia drzemiących w tym słowie pokładów konwencji. Tylko, że to także o czymś świadczy — chociażby o tym, że motyw portu w poezji stał się motywem klasycznym, motywem, do którego odwoływanie się pociąga za sobą zgodę na określoną poetykę.

Nie wiem czy to dobrze czy źle, ale w tym konkretnym przykładzie, konwencjonalny stosunek do rozpatrywanego motywu nie pozwolił twórcom na jego głębsze potraktowanie. A warto chyba coś uczynić, aby „port” przestał być tylko synonimem spokojnej przystani, egzotycznych świateł i prężnej pracy dźwigów. Warto, bo w tym względzie rzeczowość wymnęła się poetom i do ich obserwacji wkrada się ton laurki.



poza
kadrem

ANDRZEJ ANDROCHOWICZ



**BARANOWSKI,
BARANOWSKI...** A! To żeglarz nasz kochany!

— „Czy panu coś mówi nazwisko — Krzysztof Baranowski?”

Zapytany zniechęca na jednej z ulic Szczecina starszy pan w okularach, tęgi, z wąsami, o dobrodusznym wyrazie twarzy, przystaje, przez chwilę próbuje skupić myśli.

— „Baranowski?! — mówi niemal zdecydowanie — słyszałem, słyszałem”.

— Mianowicie?

— „Zaraz... Baranowski, Baranowski...? A! To żeglarz nasz kochany. Opłynął jako trzynasty ten, ten, no — Horn! Słyszałem, podawali o tym w telewizji. Bardzo się martwiłem, jak ostatnio nie było od niego wiadomości”.

Pani w średnim wieku, niczym nie wyróżniająca się w ubiorze ani wyglądem:

— „Baranowski...? Nie pamiętam. Nie wiem”.

— „A słyszała może pani o takim żeglarzu...?”

— A! Właśnie, właśnie. Tylko nie wiedziałam czy to żeglarz czy sportowiec jakiś.

Inni: „To ten co płynie?, wiem przepłynął przylądek Horst (!), czy coś takiego”.

Oto niepełny plon sondy, którą przeprowadziłem na ulicach Szczecina i Warszawy w marcu 1973 roku.

Realizowałem reportaż filmowy, zaopatrzone nieco przydługim tytułem — „«Polonezem» dookoła świata — rejs widziany z łądu” — uważałem, że mogę sobie pozwolić na zadanie przechodniom, w moim pojęciu, naiwnego pytania — kto to jest Krzysztof Baranowski i co o nim wiesz?

Kapitan „Poloneza” płynął już wtedy z Port Stanley do Plymouth jako pogromca Hornu. Jego nazwisko nie schodziło ze szpałt gazet, bez przerwy mówiło się o nim w radiu i telewizji. Trudno więc mi było uwierzyć, że ludzie nie wiedzą albo wiedzą tak mało. Fakt ten skomentował, jak zawsze celnie red. Bohdan Tomaszewski: „Každy z nas więcej wie o drugoligowym piłkarzu niż wyczynie Krzysztofa Baranowskiego. Samotny rejs wielkiego żeglarza Leonida Teligi przeszedł w Polsce prawie bez echa. Ale nareszcie Krzysztof Baranowski ma wielką «prasę», na którą w pełni zasługuje”.

W przygotowaniach do wyprawy Krzysztofa Baranowskiego zaangażowanych było prawie czterdzieści instytucji i przedsiębiorstw. Wszystkie podjęły określone zobowiązania finansowe i rzeczowe wobec żeglarza i stoczni, której w udziale przypadło najtrudniejsze zadanie — zbudować w bardzo krótkim terminie, szybki i bezpieczny jacht regatowy. Niestety realizacja tych zobowiązań, mówiąc oględnie, przebiegała niezbyt precyzyjnie. Przez dwa tygodnie (od 14 do 30 kwietnia 1972 r.) z ekipą filmową dreptałem kapitanowi Baranowskiemu po piętach i przyglądałem się temu wszystkiemu. Tego się nie da opisać. To co udało mi się utrwalić w 52-minutowym filmie, to tylko sygnały problemów jakie musiał rozwiązywać Baranowski, żeby osiągnąć zamierzony cel.

Na jacht dostarczano albo nie to co było potrzebne, albo w stanie nie nadającym się do użytku. A wszystko z reguły z dużym opóźnieniem.

Żelazną pozycją w rozkładzie dnia pracy Krzysztofa były telefony. Dzwonił kilkanaście razy dziennie do najprzeróżniejszych instytucji i przedsiębiorstw rozsianych po Polsce. Prosił, przypominał, przynaglał.

Z jednej strony szumne mecenaty, zobowiązania, przyrzeczenia, słowem łańcuch ludzi dobrej woli. Z drugiej — bezwład organizacyjny, obojętność, uniki zwłaszcza w podejmowaniu szybkich i odpowiedzialnych decyzji.

Sytuacja, którą na szczęście w programie trzyletnich przygotowań do wyprawy Krzysztof Baranowski brał pod uwagę. Z olimpijskim spokojem, wielką znajomością spraw i ludzi (zasada — „nie drażnić”) — potrafił zebrać i uchwycić

wszystkie rwące się nici tego organizacyjnego przedsięwzięcia. Ktoś bardzo trafnie powiedział, że dla żeglarza najtrudniejsze do pokonania są rafy lądowe. Później jest już tylko morze. — Kpt. Krzysztof Baranowski wypłynął ze Świnoujścia do Plymouth we wtorek („nie jestem przesądny, ale w poniedziałki i piątki nigdy nie wychodzę w morze”) 2 maja 1972 r. I tę właśnie datę należy uznać za początek jego wielkiej żeglarskiej przygody.

Wcale to jednak nie oznaczało końca kłopotów żeglarza, który nawet na największej wodzie wciąż był zaleźny od pomocy ludzi z łądu. Klasycznym tego przykładem była sytuacja w jakiej znalazł się Krzysztof Baranowski po głośnych wywrotkach „Poloneza” na Oceanie Indyjskim. Brak w naszym języku precyzyjnego określenia słowa „wywrotka” powoduje w kraju sprzeczne komentarze. Jacht obrócił się wokół własnej osi i poszedł masztami w dół, machnął kozła czy tylko położył się na fali? Jakiego rodzaju wywrotki na kilkumetrowej fali są w ogóle możliwe? Wytrawni żeglarze i konstruktorzy twierdzili, że w przypadku „Poloneza” wywrotek w ogóle nie było.

Żeby stwierdzić co stało się na Oceanie Indyjskim z „Polonezem” i udzielić fachowych wskazówek żeglarzowi, zebrała się nawet specjalna komisja ekspertów PZZ. Obradowała bez udziału konstruktorów i budowniczych jachtu (!), wydając wątpliwej wartości ekspertyzę, która notabene nie dotarła do oczekującego w Hobart na Tasmanii Krzysztofa Baranowskiego. Przebywał tam już od 21 grudnia 1972 r. Bez pieniędzy na konieczny remont jachtu, bez samosteru i bez decyzji PZZ-tu, głównego sponsora wyprawy, co ma robić dalej.

W książce „Droga na Horn” Krzysztof Baranowski tak pisze o swojej sytuacji w tym czasie:

„Dzień przed Sylwestrem myślałem, że się powieszę. Peter Johnson nie wykonał naprawy żagli. Pieniądze nadal nie przyszły. O samosterze i linach nikt nic nie wiedział. (—) Dzwonił Janusz Chemoniuk, wicekonsul z Sydney, że nie uzyskał zgody na przyłot do Hobart. Potem dzwoniło Polskie Radio z zapytaniem, co nucę kiedy samotnie opływam świat (—) Wreszcie zadzwonił Wiesław Rogala*).

— Wysłaliśmy na razie część pieniędzy...

— Wiesz przecież, jakie tu są ceny! Opłacę tym zaledwie żaglomistrza...

— Już w załatwianiu dalsze pieniądze.

— Ale ja tu stoję już dziesięć dni i wkrótce powinienem wypływać! Co z samosterem?

— Niestety, firma produkująca samostery, nie ma części zapasowych.

— Wiesław, ja przecież nie mogę dalej płynąć bez samosteru!

— Kup w Australii, a „Novimor” pokryje koszty.

— Rozejrzę się, ale nie wiem czy w ogóle produkują w Australii.

— To się rozejrzyj, a ja ci chciałem przekazać jeszcze wyniki konferencji poświęconej wywrotkom „Poloneza”.

— Bardzo jestem ciekaw, obiecane telegramu się nie doczekałem.

— To dziwne, myśmy wysłali do Gdyni-Radio taki telegram. W każdym razie komisja stwierdziła, że wywrotki były spowodowane wyniesieniem rufy nad wodę na grzbiecie fali i utratą sterowności...

— Słucham, słucham.

Na linii Warszawa—Hobart cisza. Odczekałem minutę i rzuciłem słuchawkę (—) Gdzie ja zdobędę samoster, co ja zrobić?”

* Owcześni Sekretarz ZG PZZ w Warszawie.

Ta rozmowa miała miejsce 30 grudnia (1972 r.). Tego samego dnia na moją prośbę dyrektor Stoczni Jachtowej im. Leonida Teligi mgr Edmund Bąk zamówił rozmowę z Hobart. Miała to być taka sobie okolicznościowa, przedsylwestrowa rozmowa stoczniovców z Krzysztofem Baranowskim. Wieczorem w gabinecie dyrektora Bąka zainstalowaliśmy kamerę filmową, do telefonu podłączyliśmy magnetofon i głośnik, aby przebieg rozmowy wszyscy słyszeli. Oprócz dyrektora Bąka na tę rozmowę zaprosiłem konstruktorów „Poloneza” — inż. Edwarda Hoffmana i kpt. Kazimierza Jaworskiego oraz szefa Biura Konstrukcyjnego Stoczni Jachtowej — inż. Czesława Gogońkiewicza. Naturalnie o wcześniejszej rozmowie Krzysztofa z sekretarzem PZZ-tu nic nie wiedzieliśmy. Później dopiero okazało się, jak kapitan „Poloneza” wyczekiwał na telefon od stoczniovców. Przebieg tej rozmowy ilustruje w sposób niezwykle plastyczny skomplikowaną sytuację Krzysztofa Baranowskiego po przejściu Oceanu Indyjskiego. Rozmowa zaplanowana na kilka minut — trwała półtorej godziny. Połączenie otrzymaliśmy o 20.30. W Hobart był świt 31 grudnia 1972 r. Dzwonek telefonu. Zapalamy światła. Kamera „Start”. Teraz dyr. Bąk może podnieść słuchawkę.

Pani z międzynarodowej:

— Halo, Hobart na linii, łączę, proszę mówić.

— Halo, Baranowski przy telefonie.

Edward Bąk — Halo, cześć Krzysiu, jak się masz, mówi Edzio Bąk.

K. Baranowski — Witam... Dyrektorze, niezbyt dobre wieści...

E. B. — No, słucham cię Krzysiu.

K. B. — Moje zdanie na temat stateczności „Poloneza” nie jest najlepsze. Uważam, że „Polonez” ma za mało balastu i stąd wiele kłopotów. W związku z tym wkładam trzy czwarte tony balastu wewnętrznego, ołowiu do środka...

E. B. — (przerywa) Krzysiu, jest tutaj Edzka Hoffman, Kuba Jaworski i Gogońkiewicz. Ja Edzce oddam słuchawkę, bo ta sprawa jego najbardziej interesuje i zaraz to sobie z nim wyjaśnisz, dobra?

K. B. — Dobra.

E. B. — Edzka, chodź tu szybko — (do słuchawki) — A ja później jeszcze będę z tobą rozmawiał.

— **K. B.** — Dobra, dobra...

E. B. — (znieczierpliwiony) Edzka...!

E. Hoffman — Halo, Krzysiu!

K. B. — Dzień dobry.

E. H. — Cześć!

K. B. — U mnie jest wczesny świt, cholera, dzwonicie do mnie do łóżka. No, słucham.

E. H. — Dla mnie bardzo są niezrozumiałe te krytyczne sytuacje na fali. Siedleś na samosterze czy sterowałeś?

K. B. — Już to mówię. Z tym, że Edzka, jest jedna zasadnicza sprawa, żebyśmy się zrozumieli musisz przyjąć, że są tutaj takie fale, o jakich nie mamy pojęcia. W związku z tym wszystkie kalkulacje jak się jacht na fali zachowuje zupełnie odpadają, bo przychodzi jedna taka fala, która się załamuje i wtedy ty nic nie widzisz i nic nie wiesz, jesteś po prostu cały w wodzie i czekasz co jacht zrobi. Więc Stary, według mnie „Polonez” ma bardzo dobrą stateczność kształtu, która w wypadku fali jest jego największą wadą, dlatego, że jacht poddaje się fali. Jeżeli fala jest bardzo duża i bardzo stroma, i w dodatku się załamuje, to wtedy ma olbrzymi wpływ na zachowanie się jachtu. Natomiast stateczność ciężaru jest stosunkowo mała, i w związku z tym jacht nie jest w stanie się oprzeć temu działaniu fali. Ja sobie zdaję z tego sprawę, że to był jacht bardzo dobry na inne warunki. Niemniej mam pretensje

do PZZ-tu, że oni tam dyskutowali, dyskutowali, a nic mi nie powiedzieli! Według mnie powinni odpowiedzieć ci eksperci, gdzie trzeba dołożyć balastu. Tutaj na miejscu nikt nie wątpił ani przez chwilę w to, że ja się wywracałem czy jak ja się wywracałem. Wiesz, że tam masztami poszedłem do dołu i tak dalej, natomiast wątpią w Polsce. I mam, wiesz, lekki żal i nie chcę dyskutować ani z ekspertami w PZZ-cie ani z wami, jeśli będziecie mieli inne zdanie, ale mam wszelkie ślady na jachcie, że jacht poszedł głęboko masztami pionowo do dołu. Ale mniejsza z tym. Wniosek jest taki... Balast jest stosunkowo za mały.

E. H. — I co, i co zdecydowałeś?

K. B. — No wiesz, ja bym się zdecydował gdybyście wy wcześniej dzwoniли albo wcześniej coś powiedzieli, albo żeby z PZZ-tu przyszło jakieś słowo otuchy. Ale w tej sytuacji obawiam się, że przykrećcie czegokolwiek na zewnątrz może być niebezpieczne, jeśli się powtórzą znowu jakieś takie hocki-klocki. W związku z tym ja układam w tej chwili „prosiaki” ołowiane — trzy czwarte tony, do środka, pomiędzy grotmasztem a silnikiem, a więc w tej części najniższej.

E. H. — Ale zwróć uwagę, żeby to nie latało, bo wtedy tragedia jest z takim „prosiakiem”.

K. B. — No, nie, nie musisz mi tego mówić, Edzka...

E. H. — Tak...

K. B. — Jest tutaj jeszcze jedna sprawa. Kuba, jak dowiedziałem się bardzo okrezną drogą...

E. H. — Może ja ci dam Kubę w takim razie, dobra?

K. B. — Dobra...

K. Jaworski — Halo, cześć!...

K. B. — No, witaj...

K. J. — Cześć.

K. B. — Powiedz czy mnie dobrze słyszysz?

K. J. — Słyszę cię bardzo dobrze.

K. B. — No, słuchaj, dowiedziałem się okrezną bardzo drogą, że masz wątpiwości co do wywrotek.

K. J. — Nie, nie, nie. To jest za duża odległość i te wiadomości docierają do ciebie zniekształcone, podobnie zresztą jak twoje wiadomości są zniekształcane po drodze. Pomijamy w tej chwili nasze zdanie na temat wywrotki. Ja proszę ciebie, mam bardzo podobny pogląd do twojego na temat stateczności, że tam jest duża stateczność uzyskana kształtem, natomiast stosunkowo jest niewielki ciężar. Stąd moja propozycja, żebyś rozważył możliwość zrezygnowania w ogóle z bezana, bezanmasztu. Żebyś go wyrzucił, zostawił komuś w prezencie, podarował.

K. B. — Stary, ja myślałem o tym, ale tego telefonu bardzo mi brakowało. No...

K. J. — Więc Stary, to jest równoznaczne z dodaniem do balastu prawie 600 kilogramów na głębokości dwóch metrów. Więc możesz sobie wyobrazić jak to znakomicie może poprawić stateczność.

K. B. — Tak, Stary, ja myślałem o tym, ale nie mogłem się zdecydować.

K. J. — Jeżeli tylko masz odrobinę wahań, to nie zastanawiaj się i wyrzucaj go, w pokrzywy, daj byle komu, w prezencie możesz podarować.

K. B. — Chciałem ci powiedzieć, może to będzie komplement dla twojego pierwszego pomysłu, że od momentu wywrotki ja zrezygnowałem z grotu m.in. dlatego, że on poszedł w kawałki, ale miałem jeszcze drugiego grotu i cały czas pływałem na sztaksach, to znaczy na apslu albo na foku postawionym na sztagu bezana. Natomiast z drugiej strony komplement dla twojego pomysłu tych masztów. Nie chciało mi się w to uwierzyć, ale prawdopodobnie utrzymanie masztów przy tej wywrotce zawdzięczam masztom stalowym.

ZIEMOWIT SZUMAN — „Drzewo świadomości” — polimer



Fot. W. Termanowski

Y/s „Cetus” na Cieśninie Solent w regatach Admirałs Cup '79



Fot. J. Mordhorst (YPS — Hamburg)

ZIEMOWIT SZUMAN — „Drzewo świadomości” — polimer



Fot. W. Termanowski

Y/s „Cetus” na Cieśninie Solent w regatach Admirals Cup '79



Fot. J. Mordhorst (YPS — Hamburg)

K. J. — No, naturalnie, bo one mniejszy opór stawiają, jeżeli są w wodzie. Słuchaj, Krzysiu, jeszcze teraz o sprawach ogólnych. Mam tu przed sobą „Ekspress Wieczorny”, w którym jest taki piękny tytuł: „Halo tu Hobart, za dwa tygodnie chciałbym wyruszyć, ale «Polonez» w proszku — mówi kapitan Krzysztof Baranowski...”

K. B. — Kuba! Przecież ja nigdy nie powiedziałem, że „Polonez” jest w proszku.

K. J. — No tak, ale oni tak napisali (śmieje się).

K. B. — Ja rozumiem, ja przecież znam kolegów, ale co mam zrobić? Mam przestać mówić? Odmawiać rozmów? Odpowiada ci to?

K. J. — Później w tekście tam są zdania, które trochę przeczą temu tytułowi, poza tym my nie mamy bezpośrednio od Ciebie, nie mieliśmy do tej pory żadnych informacji, poza tym nas się nikt o zdanie nie pytał. To, co wymyślili w PZZ-cie na temat twojego żeglowania na fali, odbywało się zupełnie poza nami, myśmy z tą sprawą nie mieli nic wspólnego i instrukcja żeglowania na fali wyszła wyłącznie z PZZ-tu, pamiętaj. Nas się nikt o zdanie, ani żadną opinię nie pytał.

K. B. — Rozumiem, ale czy to jest w porządku, to woła o pomstę do nieba, to jest kryminał...

K. J. — No, oczywiście.

K. B. — Kuba, ponieważ rozsądnie mówisz, to chcę ci powiedzieć jedną rzecz. Po pierwsze — tutaj ja nie mogę nie powiedzieć ani dobrego, ani złego, co by nie zostało przekręcone. Poza tym, wy weźcie też poprawkę na dziennikarzy. I jeszcze jedna sprawa. Niezależnie od tego, co będą mówić, dobrze czy źle — to albo ja dopłynę i was ozłocą, albo nie dopłynę i was będą ciągać. A ja bardzo żałuję, że ta rozmowa nie miała miejsca tydzień wcześniej. Nie mogliście zadzwonić?

K. J. — No... (pauza) Prawda, że mogliśmy, ale my sądziliśmy z kolei, że ty będziesz do nas dzwonił (śmieje się), a wiem, że rozmawiałeś już z PZZ-tem i z PAP-em...

K. B. — To są rozmowy, które oni zamawiają. Bo jedna taka rozmówka kosztuje mnie tutaj 60 do 100 dolarów, a z kolei wątpliwości są czy ja dobrze wydaję te pieniądze i jak słyszysz mam trudności z ich otrzymaniem.

K. J. — Ale Stary, z morza, z morza się z nami łącz...

K. B. — Kuba, z morza nie ma żadnej możliwości łączności. Ja z trudem, z wielkim trudem mogę przekazać pozycję, a słyszalność jest taka, że resztę sobie dopowiadają. Operatorzy przekazują dziennikarzom historie, które — jak się im wydaję — słyszeli.

K. J. — Krzysiu, rozumiem, oddaję słuchawkę. Na razie, do zobaczenia i usłyszenia.

E. B. — Krzysiu! Ustalamy w ten sposób, że jeżeli ten bezan wyrzucisz, a w odpowiednim porcie będziesz bezanmaszt potrzebował, to my ci nowy przyślemy. Rozumiesz...

K. B. — Doskonale.

E. B. — Tak, że tym się absolutnie nie przejmuj. To jest pierwsza sprawa. Druga sprawa, jeżeli cokolwiek i gdziekolwiek będziesz potrzebował w zakresie wyposażenia, którą może zrobić stocznia — jakimkolwiek sposobem daj znać i my tam, gdzie to będzie tylko możliwe — wszystko ci przyślemy. Czy jakieś żagle, czy jakieś olinowanie, czy nawet z importu rzeczy, rozumiesz. Nie ma żadnego problemu.

K. B. — Rozumiem... Dyrektorze, kochany, najmilszy. Bardzo mi się to wszystko podoba, ale nie mogliście tydzień temu zadzwonić?

E. B. — No słuchaj, no... (skonsternowany). Nas o wszystkim informował Rogala. To, co Rogala powiedział o linach i samosterze, to ja natychmiast załatwiłem.

K. B. — Natychmiast, ale to wszystko pokręcili agenci, po drodze, i ja dzisiaj powinienem mieć tutaj samoster, a jeszcze go nie mam. Ja nie mam czasu oglądać się na cokolwiek, tylko załatwić natychmiast za wszelkie pieniądze.

E. B. — Krzysiu, sprawa samosteru to jest wina tej firmy, bo taka duża firma na zachodzie w Anglii i nie ma części do samosteru.

K. B. — Tak, rozumiem...

E. B. — No, ale już wyszedł nowy. Olinowanie, jak się w piątek dowiedzieliśmy, robotnicy zrobili ci przez sobotę i niedzielę, i w poniedziałek zawieźliśmy do Warszawy, i dostałeś wysyłkę całego olinowania.

K. B. — Doskonale dyrektorze. Wszystko dobrze. Szczęśliwego Nowego Roku (dalej słowa niezrozumiałe).

E. B. — (przerzywa) Krzysiu, od całej załogi składam Ci najserdeczniejsze życzenia Noworoczne, bardzo serdecznie Cię pozdrawiamy i oczekujemy Ciebie w naszym polskim Szczecinie, żebyś się tutaj jak najszybciej, cały i zdrowy, z jachtem pokazał.

Ta rozmowa przytoczona z konieczności z dużymi skrótami, została po czasie skomentowana przez kapitana Baranowskiego w książce „Droga na Horn”:

— „Ludzie! (...) przecież ja tu od zmysłów odchodzę, a wy dzwonicie dopiero teraz! Ja wiem, że są trudności i trzeba uzyskać zgodę głównego księgowego, ale przecież nie w tym rzecz. Wy dopiero teraz przyznajecie mi rację. Dopiero teraz dajecie rady, kiedy ja od tygodnia zatrudniam przy jachcie kilkunastu ludzi. Dopiero teraz mówicie, że nowy samoster został zamówiony, kiedy ja zdążyłem postawić na nogi pół Australii i Wielką Brytanię w poszukiwaniu samosteru!

Po tej rozmowie nie wróciłem już do łóżka”.

Namawiając dyrektora Bąka do zamówienia rozmowy telefonicznej z Hobart, nie przypuszczałem, że była ona aż tak żeglarzowi potrzebna. Całe szczęście, że dyrektor Bąk nie pytał o zgodę swego głównego księgowego, bo jak się okazało, telefon na Antypody kosztował stocznię 18 tysięcy (!) złotych... i wyczerpał połowę rocznego funduszu przeznaczanego na miejscowe i zamiejscowe rozmowy.

W jaki sposób później dyrektor uzasadnił swemu księgowemu potrzebę wydatkowania tej sumy, pozostanie jego tajemnicą. W każdym razie osobiście jestem wdzięczny obu Panom, za rozwiązanie tego skomplikowanego problemu po męsku. Ale, jak pisze Krzysztof Baranowski — nie w tym rzecz.

Otóż jego udział w Transatlantyckich Regatach Samotnych Żeglarzy i rejs dookoła świata był w historii polskiego żeglarstwa pierwszą próbą, pierwszym doświadczeniem i sprawdzianem nie tylko umiejętności szczecińskich szkutników, ale możliwości i umiejętności organizacyjnych działaczy sportu żeglarskiego. Jak wiemy, próba z trudem, bo z trudem, ale udała się. Niestety nie wyciągnięto z niej żadnych wniosków. Kiedy podjęto decyzję (oczywiście za późno) budowy jachtu dla Kuby Jaworskiego na „Ostar 76”, historia powtórzyła się niemal identycznie jak w przypadku „Poloneza”.

W ubiegłym roku obserwowaliśmy przygotowania Jurka Siudego do regat Admiral's Cup. To było żałosne. Okazuje się, że żadne dotychczasowe doświadczenia nikogo i niczego nie nauczyły.

Kpt. Krzysztof Baranowski był pierwszym, który pokonywał rafa lądowe, aby osiągnąć zamierzony cel — startować w poważnych, liczących się regatach. Wszyscy myśleliśmy, że dla swych następców przetarł te lądowe szlaki. Okazuje się, że nic z tych rzeczy. W tym roku „szykujemy się” na „Ostar-80”. Czy coś się do tej pory zmieni w sposobie „szykowania się”?

Wydaje się, że mamy za sobą nie tylko czasy „potopu szwedzkiego”, ale również okres, w którym przyglądaliśmy się sobie z tzw. „rezerwą”. I dalej, wzajemne kontakty gospodarcze i kulturalne, coraz żywsze kontakty turystyczne, wpłynęły na to, że w latach siedemdziesiątych wystartowaliśmy do spotkań drugiego stopnia. Stworzone zostały bowiem warunki ku temu; staliśmy się w sferze gospodarczej partnerem bardziej przydatnym stronie szwedzkiej, a kontakty oficjalne, na szczeblach reprezentacji państwowych reprezentowane przez instytucje naukowe i kulturalne, wytworzyły między społeczeństwami odpowiedni klimat.

W województwach nadmorskich wierzyliśmy od dawna, że nadejdzie czas, kiedy tendencje do nawiązywania bezpośrednich kontaktów będą się nasilały, że nie będą już wystarczały oficjalne, namaszczone imprezy, ale, że ludzie z ludźmi zechcą się spotkać, poznać siebie nawzajem i poznać obyczaje i kulturę sąsiadów. Przez Pomorze biegnie przecież szlak wędrówek współczesnych Wikingów na południe; że te wędrówki będą się nasilały, że i my będziemy wędrowali na północ ciekawymi innymi, z tego zdaliśmy sobie sprawę w Gdańsku jeszcze przed uruchomieniem komunikacji promowej. Z inicjatywy środowiska literackiego, przy poparciu władz i przy współudziale Zarządu Głównego ZLP w latach sześćdziesiątych (1963 i 1968) zorganizowano polsko-skandynawskie Spotkania Literackie. Ówczesne ambicje naszych środowisk (uczestniczyli w nich również pisarze szczecińskiego oddziału), przetrwały chyba nasze możliwości organizacyjne, a chyba również partnerów skandynawskich. Owszem, w czasie tych spotkań zjechało do Gdańska (a właściwie do Grand-Hotelu w Sopocie) wielu pisarzy, ale więcej w tym było zainteresowania sytuacją polityczną w naszym kraju, niż sprawami bezpośrednio nas interesującymi, związanymi z „wymianą” literatur. Pozostały jednak po tych spotkaniach znajomości i przyjaźnie między pisarzami, a także większa świadomość potrzeby udostępnienia polskiemu czytelnikowi literatury z Północy. Wydawnictwom polskim, szczególnie Wydawnictwu Poznańskiemu, nie można chyba nic zarzucić. Właściwie wszystko co cenne z literatury skandynawskiej ukazało się na półkach polskich księgarń. Odpowiedzi, rewanżu ze strony skandynawskiej raczej nie było. Ciągłe jeszcze pokutuje tam przekonanie o tym, że polska literatura zaczyna i kończy się na Sienkiewicz i Reymoncie.

Minęło parę lat, zmieniła się więc

BOLESŁAW FAC

SPOTKANIA W SKANII

sytuacja o tyle, że można już mówić o poszczególnych partnerach. Szczególnie ożywiły się kontakty ze Szwecją i z Finlandią. Między Polską a tymi krajami zostały zniesione wizy wjazdowe. Od brzegów wspólnego morza odbijają coraz częściej promy, uruchamiane są regularne linie. To też przyczyniło się do obopólnej ruchliwości. W przeszłości droga do Gdańska i Szczecina prowadziła przez lotnisko w Warszawie.

Pewnego dnia, szwedzki działacz robotniczego związku kultury i działacz komuny w Höganäs, zobaczył gdzieś w Europie wystawę malarzy z Gdańska, Barbary Ur i Andrzeja Piwowarskiego i przewiózł część obrazów do rodzinnego miasta. Obrazy te wystawił w salonie wystawienniczym biblioteki, jej dyrektor, dr Karl H. Bolay. Ta inauguracja polskiej plastyki bardzo odpowiadała sympatiom dyrektora biblioteki i pisarza, sam bowiem (ze strony matki) jest pochodzenia polskiego. Tak doszło w kwietniu 1978 r. do zorgani-

zowania Tygodnia Polskiego w Höganäs (północno-zachodnia Skania), któremu patronował również, energiczny Konsul Generalny z Malmö, dr Józef Kostera.

Rok przedtem strony te odwiedził pisarz i działacz kulturalny z Gdańska, Jacek Kotlica. Brał on wtedy udział w IV. Międzynarodowej Konferencji Pisarzy w pobliskim Mölle („stolica” szwedzkiej Riviery). Tematem czarnej konferencji były wzajemne odniesienia i wpływy pisarza, i środków masowego przekazu. Jacek Kotlica prezentował tam nie tylko swoje utwory, ale również taśmy z nagraniami audycji poetyckich rozgłośni regionalnych i centralnego programu III Polskiego Radia.

Kwietniowy Tydzień w 1978 r., na którym prezentowano polskie książki, przekłady szwedzkie i niemieckie wierszy polskich poetów, gdzie wystawiano indywidualne wystawy polskiej plastyki, dał wiele do myślenia nie tylko głównemu organizatorowi, dr Bolayowi, ale i nam. Postanowiliśmy wspólnie, by następny Tydzień Polski zorganizować tu po międzynarodowej konferencji pisarzy w Mölle, i by również poposzerzyć propozycje. Wielką pomocą służył jak zwykle na terenie Skanii Generalny Konsulat w Malmö. Tak więc parę dni po V. Konferencji w pobliskim Höganäs Ambasador PRL w Szwecji, pan Paweł Adam Cieślak dokonał otwarcia wystawy dzieł plastycznych środowiska gdańskiego. Otwarcie tej wystawy było dobrą inauguracją II. Tygodnia Polskiego w Höganäs. Ekspozycja, której komisarzem był doc. Włodzimierz Łajming, zawierała ponad 40 prac 13 artystów z Gdańska. Przyjęto ją niemal entuzjastycznie. Dr Bolay ma nadzieję, że gdy przekaże ją innym ośrodkom bibliotecznym w Szwecji, obiegnie ona cały ten kraj.

Na tym jednak nie koniec „polskich akcentów” w Skanii. Wspomniana już V. Międzynarodowa Konferencja Pisarzy w Mölle, (22—25 sierpnia ub. r.) zgromadziła 42 pisarzy z 16 krajów. Ta, co dwa lata organizowana konferencja pisarzy postępowych każdorazowo przyjmuje inny temat swych obrad. W tym roku przyjęto temat: „Pisarz a regionalizm”. Wygłoszono kilka referatów i dyskutowano nad nimi. Niżej podpisany wygłosił referat na temat miejsca kaszubszczyzny i literatury kaszubskiej we współczesnej literaturze. Jak podkreślano w relacjach prasowych i radiowych, ubiegłoroczny poziom obrad był wysoki. Złożyły się na to: jakość referatów i wystąpień, które cechowała zarówno rzeczowość, jak i pasja prezentacji swoich opinii i polemik z innymi. Pisarze nie zapominali o swym

powołaniu pisarskim. Mówili więc przede wszystkim o twórczości i wpływie środowiska rodzinnego na nią, owej małej ojczyzny, z której pisarz wyrasta, i która ma tak wielkie dla jego twórczości znaczenie. Jak zwykle, równie ważne jak publiczne wystąpienia, były kontakty między samymi pisarzami. Dzięki nim dochodziło nierzadko do szczegółowego określenia postaw, bliskich i zblizonych, czasem dalekich. Porozumienie tu odbywa się na płaszczyźnie wzajemnego zrozumienia, ponad granicami uprzedzeń i jest przeniesieniem ideałów humanistycznych i postępowych do społeczności międzynarodowej. Tak więc spełnią się założenia organizatorów, którzy mają nadzieję działać na rzecz współpracy pisarskiej między narodami. Za dwa lata VI Konferencja będzie obradowała właśnie pod tym hasłem: „Pisarz a współpraca międzynarodowa”. V Konferencja rozdzieliła również nagrody literackie, „za twórczość, która ponad granicami walczy o ideały humanistyczne i postęp”. W tym roku owe „Międzynarodowe Nagrody Literackie w Mölle” otrzymały — Inge-Meidinger-Geise z RFN, Bolesław Fac z Polski i André Weckman z Francji. Poza tym wydawnictwo spółdzielni pisarzy w Viken — „Eremit-Press” przyznało swoim autorom, trzy „srebrne pióra”. Tak więc i owa konferencja miała swoje polskie akcenty.

Na podstawie tego krótkiego przeglądu sierpniowej „działalności” polskiej w niedalekiej Skanii, rysuje się już pewna koncepcja dalszej działalności. Tu dygresja. (Dr Karl H. Bolay poza swoją obfitą i znajdującą uznanie poza granicami Szwecji twórczością literacką — poezje, powieści, przekłady, słuchowiska — działa również jako naukowiec w bibliotekarstwie. Jest wykładawcą w Wyższej Szkole Bibliotekarskiej, jest autorem kilku książek z tej dziedziny, jednej szczególnie cennej, będącej „wykładem” jego „wynałazku” — Artoteki. Idea artoteki polega na systemie gromadzenia i wypożyczania oryginalnych (!) dzieł sztuki poprzez sieć biblioteczną. Jego pomysł został już wykorzystany przez biblioteki NRD, wzbudził również zainteresowanie w ZSRR. Dr Bolayowi marzy się stworzenie takiej artoteki w Polsce. Widzi bowiem w naszym kraju najodpowiedniejsze warunki do jej urzeczywistnienia). Dochodzimy do sedna sprawy:

Znakomicie rozwija się bibliotekarstwo w województwie szczecińskim. Jest to zapewne zasługa zarówno przychylnego stosunku władz, jak i pasji ludzi w nim pracujących, z dyrektorem Biblioteki Głównej w Szczecinie,

panem mgr. Stanisławem Krzywickim na czele. Znam dobrze z autopsji bibliotekarstwo w Gdańsku i w innych województwach, mam więc skalę porównawczą. Myślę więc, że bibliotekarstwo publiczne w województwie szczecińskim jest w ścisłej czołówce krajowej, kto wie czy nie najlepsze. Decydują o tym i zrealizowane już inwestycje we wszystkich niemal miastach i miasteczkach regionu, środki materialne przeznaczone na ten tak ważny dla kultury i literatury polskiej cel, jak również znakomita kadra bibliotekarzy i pracowników naukowych, o której taki specjalista jak dr Bolay, (pracował w tej dziedzinie w Finlandii i Szwecji), wyrażał się w samych superlatywach. Znając wysoki poziom bibliotekarstwa w Szwecji należy cenić to uznanie. Coraz bardziej we współczesnym bibliotekarstwie jego rolę widzi się w kulturotwórczym działaniu w środowisku, a więc nie tylko gromadzenie i wypożyczanie książek, ale działalność dydaktyczną, wydawniczą, a nawet artystyczną, że przypomnę wystawy malarskie i koncerty kameralne organizowane w bibliotekach. Szczecińskie biblioteki osiągnęły już taki stopień organizacji i mają też odpowiednie pomieszczenia. By zyskać oryginały dzieł plastycznych, warto nawiązać współpracę z niedalekim środowiskiem plastycznym Gdańska (ok. 600 artystów). Interes jest tu wspólny. Tak widzimy również współdziałanie w obu środowiskach literackich. Gdańsko-szczecińskie prezentacje na polu literatury i plastyki mają swój głęboki sens historyczny i ogólnopolski. To w tych województwach przede wszystkim styka się Szwed z naszym krajem, z naszą kulturą. Nasze wspólne działanie jest więc działaniem na rzecz całej naszej kultury.

I jest w tym również nasz środowiskowy interes. Co nie udało się nam niegdyś w latach sześćdziesiątych na większą skalę, w skali mniejszej, w skali zespolonych wysiłków dwóch nie tak małych środowisk kulturalnych, wielkich aglomeracji przemysłowo-rolniczych, może przynieść pożądane rezultaty. Strona szwedzka na przykład jest teraz w Skanii znacznie aktywniejsza od strony polskiej w Gdańsku czy w Szczecinie. Przy poparciu polskiej dyplomacji na terenie Szwecji staramy się wnieść nasz skromny obywatelski wkład, wierząc, iż w niedalekiej przyszłości będzie się on rozszerzał o dalszych reprezentantów polskiej sztuki, o teatr, o muzykę. Projektujemy wspólnie ze szwedzką stroną antologię liryki poetów tworzących na Pomorzu.

Wiersze i utwory pisarzy Skanii publikowano już w prasie i w periodykach gdańskich. Trzeba chyba pomyśleć o podobnych wydawnictwach pisarzy Skanii. Leży to w gestii tłumaczy i samych wydawców, ale inicjatywa należy do środowisk literackich Gdańska i Szczecina. Mówiliśmy już o możliwości współpracy bibliotek. Hasło artoteka, to może być na początek to, o co nam i Szwedom chodzi. Szwedzi mają tu dobre doświadczenia, my mamy możliwości. I potrzeby. Pisarze Skanii proponują wzajemną wymianę, rodzaj odwiedzin pisarzy nadmorskich krain. W mniejszych ośrodkach, w mniejszych, kameralnych grupach, mogą działać muzycy. W Helsinborgu stoi piękny gmach teatru, również teatru muzycznego.

Bezpośrednie, niemal prywatne, z przyjaźni zrodzone kontakty między twórcami obu krajów przyniosły pozytywny wkład w upowszechnienie naszej kultury, naszej literatury, naszej obyczajowości wreszcie. Ten wkład jest oczywiście, pars pro toto, mały, ale i to się liczy, bo jak mawiają Szwedzi, „każdy człowiek jest ambasadorem samego siebie”, a będąc ambasadorem siebie jest ambasadorem społeczności, do której należy.

W karykaturze L. Piosickiego:
TADEUSZ ŻUCHNIEWSKI



W karykaturze L. Piosickiego:
ANTONI SZUBARCZYK



Przy brzegach oceanów i mórz otwartych obserwowane jest wznoszenie i opadanie powierzchni swobodnej wody, przy czym różnica poziomów wynosi często kilka lub kilkanaście metrów. Ogromne masy wody raz napływają, a następnie odpływają od brzegu. Zjawisko to można przyrównać do oddechu olbrzyma, którym jest morze. Ten oddech morza jest rytmiczny. Powtarza się on co 6 godzin i 12 minut. Wymienione zjawisko nazwano pływami. Podnoszenie lustra wody jest przypływem, a jego opadanie odpływem. W czasie odpływu, na przykład przy wybrzeżu Francji, morze odsłania pas łąd o szerokości dochodzącej do 10–20 km. Czyż nie jest to zadziwiające zjawisko? Było morze, był brzeg... Morze ucieka od łąd i po kilku godzinach już go nie ma. To morze zachęca człowieka, istotę rozumną, aby poznać cząstkę jego tajemnic. Lecz ona, obarczona wieloma uprzedzeniami waha się, zastanawia i jakby z bojaźni cofa się przed nim, przed jego poznaniem. Dowodem na to, że człowiek nie poznał dokładnie morza, jest katastrofa szwedzkiego statku pasażerskiego „Lindblad Explorer”, który przy pięknej pogodzie najechał na podwodną skałę 25.12.1979 r. u wybrzeży Południowych Szetlandów (PAP).

Pływy są wynikiem oddziaływania na Ziemię Słońca i Księżyca. Siła oddziaływania jest wyznaczana z siły powszechnego ciężenia. W wyniku działania tej siły następuje piętrzenie wody zwane falą pływową, która przemieszcza się wraz z ruchem obrotowym Ziemi. Siła, z jaką oddziałują Słońce na Ziemię, jest równa 0,432 siły oddziaływania Księżyca na Ziemię. Księżyc znajduje się bliżej Ziemi i dlatego jego oddziaływanie jest silniejsze. Największe pływy zwane syzygijskimi występują co 14 dni. Przyczyną tego jest ustawienie się Ziemi, Księżyca i Słońca w jednej linii. Zjawisko to występuje w czasie pełni i nowiu Księżyca. Przy takim ustawieniu ciał niebieskich ich oddziaływania na Ziemię sumują się i osiągają maksymalną wartość. Najmniejsze pływy występują w czasie pierwszej i trzeciej kwadry Księżyca.

Kto pierwszy obserwował zjawisko pływów w starożytności, nie wiemy. Czas zatarł i zniszczył informacje. Pierwsze źródła na ten temat pochodzą z V w. p.n.e. Herodot opisywał to zjawisko obserwowane na Morzu Czerwonym. Arystoteles (350 r. p.n.e.) napisał: „Mówią jeszcze, że wiele przypływów i odpływów morza zmienia się wraz ze zmianami Księżyca i w pewne określone dni...” Pliniusz Starszy również wiązał to zjawisko z oddziaływaniem Księżyca i Słońca. Długo jednak należało czekać na jego wyjaśnienie. Próbowali je rozwiąć J. Kepler i G. Galilei, ale dopiero po odkryciu prawa powszechnego ciężenia przez I. Newtona w 1687 r. stało się możliwe opisanie tego zjawiska.

W oparciu o wyjaśnienie dokonane przez Newtona, na przełomie XVIII i XIX w. Laplace podał podstawy dynamiki pływów, które rozwinęli w XIX w. Kelvin i Poincare, a udoskonalili ją Darwin w XX w.

Powyższa historia rozwoju teorii pływów mówi sama za siebie. Wymienione zjawisko jest bardzo złożonym procesem fizycznym. Na wysokość i okresowość pływów ma wpływ ukształtowanie pionowe dna morskiego oraz linia brzegowa. W pełnym oceanie wysokość fali pływowej osiąga zaledwie 0,60–0,70 m. Przy zbliżaniu się jej do brzegów, amplituda pływu rośnie wraz ze zmniejszaniem się głębokości w strefie przybrzeżnej i rozmiarów obszaru morskiego w zatokach i cieśninach. Pływy syzygijskie w tych częściach oceanów

osiągają największe wartości i tak np. na Morzu Północnym: Calais (7,2 m), Dunkierka (6,0 m); w Kanale La Manche: St. Michel (15,9 m), St. Malo (12,6 m), Cherbourg (6,6 m); na Atlantyku: Zatoka Fundy (18,0 m), Nowa Szkocja (15,8 m), Puerto Santa Cruz (14,6 m).

Pływy są bardzo złożonym zjawiskiem, nie dającym się opisać żadnym równaniem ani przedstawić przy pomocy żadnego modelu fizycznego. Dopiero teoria analizy harmonicznej pływów stworzona przez Darwina, a rozwinięta w XX w. przez Doodsona A. i A. Defanta dała możliwość teoretycznego opisu tego zjawiska. Stwierdzili oni, że falę pływową można opisać jako wynik nałożenia się na siebie bardzo wielu fal sinusoidalnych. Tablice pływów zostały opublikowane przez Admiralicję Brytyjską w 1833 r., a następnie dołączone do atlasu wydanego w 1875 r.

Zjawisko pływów można było rozwiązać przy pomocy specjalnej maszyny. Skonstruował ją amerykański matematyk Wiliam Ferrel w 1882 r. Uwzględniała ona 19 fal składowych. Posługiwała się nią Brzegowa i Geodezyjna Służba USA w latach 1885–1911. Rollin, Harris i Fisher (1910) brali pod uwagę w swojej maszynie 37 składowych. Obecnie istniejące maszyny uwzględniają ponad 400 fal składowych.

Długość i prędkość fali pływowej zależy od głębokości akwenu. Przy głębokościach akwenu 5000 m prędkość fali wynosi 210 m/s, a długość jej jest równa 9920 km, natomiast na głębokości 50 m, prędkość wynosi 21 m/s, a długość 992 km.

Wraz z przemieszczaniem się fali pływowej na płytkich obszarach powstają prądy pływowe. Największe prędkości osiągają one w strefie przybrzeżnej oraz w cieśninach. W cieśninach między wyspami Japonii, Filipin i Aleutami — prędkości dochodzą do 0,4–0,5 m/s, a w cieśninach wysp Falklandzkich i Kolumbii Brytyjskiej — 0,56–0,70 m/s, w pobliżu Cherbourga 0,30–0,45 m/s. Największe prędkości osiągają one w pobliżu Bode w Norwegii i wynoszą około 0,8 m/s.

Ostatnie dziesięciolecie obfitowało w przypadki braku energii elektrycznej. Nowoczesne miasta ze wspaniałymi mieszkaniami, wyposażonymi w urządzenia elektryczne, mające ułatwić życie człowieka, stawały się bezużyteczne. Ciemne i zimne mieszkania przestawały być przytulnymi i wygodnymi. Czy człowiek zdaje sobie sprawę co będzie, gdy zabraknie prądu elektrycznego? Skąd wziąć tę energię, jeśli wyczerpią się zasoby ropy i węgla? Każdy musi myśleć perspektywicznie. Nie na okres kilku, czy kilkunastu lat, ale przynajmniej na 100 lat, wyprzedzając obecny stan wiedzy w tym zakresie.

Właśnie to perspektywiczne spojrzenie, to spojrzenie w głąb mórz i oceanów, to umiejętność wykorzystania nie tylko łądów ale i morskiej toni wraz ze wszystkimi zjawiskami w niej zachodzącymi.

Oficjalne źródła, raporty ONZ z 1968 r. podawały, że w Europie Zachodniej tylko w 80% zapotrzebowanie na energię elektryczną jest zaspokojone. Deficyt energii będzie wzrastał. Moc, jaką mogą dostarczyć wszystkie rzeki Ziemi, jest oceniana na około $8,5 \cdot 10^8$ kW. Natomiast moc pływów jest oceniana na około $7,5 \cdot 10^{14}$ kW. Stosunek tych wielkości jest taki jak 1 : 1000. Nie wliczamy tu mocy falowania, prądów i wymiany wód między poszczególnymi akwenami. Oceany i morza są więc akumulatorami ogromnej energii, która

— oddech morza

czeka na wyzyskanie. Już w średniowieczu wyzyskiwano energię pływów w młynach zbożowych i tartakach. Na wybrzeżach Morza Północnego w 980 r. działały młyny. Podobnie jak we Francji w XI w.. Pierwsze projekty elektrowni pływowych powstały w latach dwudziestych naszego stulecia we Francji. Realizację projektu takiej elektrowni rozpoczęto w 1935 r. w Zatoce Fundy. Jej budowy nie dokończono, ponieważ błędne były założenia teoretyczne. W 1956 r. przystąpiono do budowy elektrowni w St. Malo w Bretanii i ukończono ją w 1963 r. Elektrownia ta posiadała 24 turbozespoły o mocy 10⁶ kW każdy. Elektrownię tego typu zaprojektowano w Zatoce St. Michel (Francja), gdzie różnica poziomów między pływami wynosi około 12 m. W Zatoce Kislaja, koło Murmańska, uruchomiono elektrownię pływową w 1965 r. Kilka małych elektrowni pływowych pracuje w ChRL. Do 1968 r. wydano kilkaset patentów na projekty rozwiązujące problem wykorzystania energii pływów. Bardzo poważnie zaawansowane są studia nad elektrowniami pływowymi w Argentynie, Kanadzie, USA, Wielkiej Brytanii i ZSRR.

Twórcą elektrowni pływowej był R. Gibrat. On również opracował projekt odwracalnego turbozespołu. W ZSRR taki projekt podał Ljachnickij (1935—1940). Powstały projekty budowy elektrowni pływowych w USA w Maine oraz w ZSRR w Zatoce Mezeńskiej na Morzu Białym. W okresie międzywojennym projektowano elektrownię pływową u ujścia rzeki Severn (Wielka Brytania). Obliczono, że gdyby ta elektrownia została zbudowana, to zaoszczędzono by w ciągu 20 lat jej pracy około 10⁹ ton węgla. Obecnie elektrownie pływowe łączy się w system energetyczny z elektrowniami innego typu. Powstało szereg projektów rozwiązujących systemy energetyczne kilku państw, między innymi Europy Zachodniej. W przyszłości zakłada się, że około 50% energii elektrycznej pochodzić będzie z elektrowni pływowych. Znaczną część energii elektrycznej będzie można uzyskać z pływów w cieśninach między wyspami oraz ładami.

Głównymi i znanymi projektami, które już zrealizowano, są elektrownie hydrotermiczne, pracujące na zasadzie wykorzystania różnicy temperatur między powierzchnią morza a głębinami. Takie elektrownie pracują we Francji, na Wybrzeżu Kości Słoniowej oraz będą realizowane projekty w Brazylii i na Wyspie Trynidad.

Również istnieją projekty elektrowni pracujących na zasadzie różnicy poziomów powierzchni swobodnej morza między dwoma akwenami morskimi. Parowanie wody z powierzchni Morza Śródziemnego i Morza Czerwonego jest większe niż dopływ wody z rzek i opadów atmosferycznych. Po odgrodzeniu tych mórz od oceanów można by zbudować elektrownie: w Cieśninie Gibraltarskiej o mocy 1,2 · 10⁸ kW, a w Cieśninie Bab-el-Bandeb o mocy 3,1 · 10⁷ kW, wtedy gdy największa elektrownia na świecie Bracka na Angarze ma moc 4,5 · 10⁶ kW.

Pływy są zjawiskiem okresowym. Ich okres jest zależny od czasu ruchu Księżyca dookoła Ziemi oraz czasu ruchu obrotowego Ziemi. Oba te ruchy wpływają na okresową zmianę wielkości pływów. Wymieniona okresowość pływów oddziałuje na wiele zjawisk fizycznych i biologicznych, które również stają się wtórnymi zjawiskami okresowymi. Do niektórych z nich musiał się przystosować człowiek i świat zwierzęcy. W tym złożonym zegarze przyrody tkwi wiele nierozwiązanych zagadnień okresowego życia organicznego na Ziemi.

Jednym ze znanych zjawisk wywołanych przez pływy jest zmiana położenia lustra wody, która ma istotny wpływ w strefie przybrzeżnej oraz u ujścia rzek. Wprowadzanie i wyprowadzanie statków z portu w strefie, gdzie występują pływy, jest możliwe tylko podczas przyprływu. W czasie odpływu do wielu portów nie można wprowadzać statków o dużym zanurzeniu lub całkowicie zamknięty jest w nich ruch.

W czasie przyprływu, w ujściu rzek, powstaje fala pływowa zwana bore. Jej wysokość i prędkość przemieszczania się jest różna na różnych rzekach. W Zatoce Fundy bore dochodzi do 3 m wysokości i przemieszcza się w górę rzeki z prędkością 3,0—3,3 m/s. Na Amazonce bore osiąga 5—6 m wysokości i jest obserwowane na 300 km od jej ujścia. Największą wysokość fala ta osiąga na rzece chińskiej Cien-tang-cing pod Hangezou. Wynosi ona 7—8 m i przesuwa się z prędkością 4,1—4,4 m/s. Bore jest wałem łączącym się z szumem wody. Jest ciekawym zjawiskiem. Chińczycy w dniu święta jesieni od 800 lat zjeżdżali nad morze aby je obserwować. Aby zapobiec niszczycielskiemu działaniu bore wybudowali oni ścianę o długości 80 km.

Do pływów w strefie przybrzeżnej musiała się przystosować fauna i flora morska, które są tu najbardziej rozwinięte. Rośliny i zwierzęta wykazują spłaszczenie i opływość kształtów, aby stawiać jak najmniejszy opór. Przykładem tego mogą być kraby, rozgwiazdy i ślimaki. Skorupy muszli są gładkie i opływowe. Rośliny wydzielają lepka ciecz, aby zmniejszyć tarcie. W czasie przyprływu gdy woda pokrywa glony, mięczaki opuszczają swoje siedziby i wyruszają na żerowisko. Okresowość odżywiania się jest zsynchronizowana z okresowością pływów. Pąkle podczas odpływu zamykają swoje skorupy wraz z pewną ilością wody, która im pozwoli ochronić się przed wyschnięciem. W czasie przyprływu pąkla otwiera swoją skorupę. Morski robak Chaetopteurs w czasie przyprływu chowa się w piasku, w czasie odpływu — wylazi na powierzchnię. Ciekawie również zachowuje się mała, świecąca rybka Laurestes, żyjąca w Oceanie Spokojnym. Duże ławice tej ryby wiosną pokazują się przy wybrzeżach Kalifornii i tam pozostają przez całe lato. W czasie przyprływu syzyjnego samica i samiec wydostają się na plażę. Samica, w zrobionym przez nią dołku, składa ikrę, którą zapładnia samiec. Po zakryciu ikry piaskiem ryłki płyną w pełne morza z następną falą. W czasie następnego przyprływu syzyjnego fala zabiera narybek do morza.

W pełnym oceanie jest obserwowane okresowe rozmnażanie robaczka Palolo związane z pływami. Robaczek ten żyje w Oceanie Spokojnym w pobliżu wysp Samoa na dnie wśród koralów i skał. Raz w roku, między październikiem i listopadem, dzieli się na dwie części. Jedna z nich pozostaje na dnie, a druga napęczniona jajeczkami wypływa na powierzchnię oceanu. Podczas rozmnażania Palolo całe morze świeci mlecznym światłem.

Takich zjawisk okresowych w życiu biologicznym związanym z pływami jest bardzo wiele. Wiele z nich człowiek jeszcze nie poznał.

Omówione zjawiska dynamiczne pozwolą człowiekowi w następnym okresie czasu zająć się ich poznaniem i wykorzystaniem. W oceanach i morzach będzie on szukał rezerw energetycznych. Ale aby to stało się możliwe musimy dokładnie poznać zjawisko pływów.

CO DALEJ Z TRZEBIEŻĄ?

Trzebież jest ładna i zadbana. Główna ulica, biegnąca oryginalną pętlą, „City”, na które składa się „SAM” spóżywczy, kiosk „Ruchu”, sklep mięsny, zwykle dość pusty, apteka, kino, kawiarnia, księgarnia. I dwie knajpy — „Portowa” i bardziej młodzieżowy „Zalew”. Wreszcie kościół z plebanią i najbardziej elegancki dom — willa przy ul. Rybackiej. A za nią „Rozeń” i brama ośrodka: Centralnego Ośrodka Żeglarstwa Morskiego, im. A. Benesza.

Ośrodek przeżywał już różne metamorfozy organizacyjne. Miał lata bardziej tłuste i lata chudsze. Ale trwał, i to o czymś świadczy.

O Ośrodku można różnie: Taka prowizorka, amatorszczyzna i koszmarny bałagan. Lub: Jak na te warunki, to wspaniałe osiągnięcie. Albo: Kuźnia, kolebka kadr naszego żeglarstwa. Albo: nieporozumienie i marnotrawstwo. I opinie: „Więcej się nie dam nabrać”. „Wróć tu przy każdej okazji...”. We wszystkich tych opiniach i poglądach można znaleźć jakieś racjonalne jądro. Ale jak jest naprawdę?

Naprawdę jest porządnie wybudowany basen z pirsem, umożliwiający pomieszczenie floty szkoleniowej, nawet na trzy razy większą ilość uczestników; ilu ich teraz można zakwaterować i wyżywić? Jest: charakterystyczny „budynek główny” kryty dachówką, mieszcząca teraz wszystko: i sanitariaty, i biura, i magazyny, i pomieszczenia socjalne, sale wykładowe i sypialnie. Zaprojektowana ładnie stołówka z kuchnią, i najmłodsze dziecko „usługi eksportowej” — szkolenia Arabów — trzy dość luksusowe baraki po 18 pokoi, z sanitariatem i ogrzewaniem. Dotychczasowa baza zakwaterowania — domki kempingowe, już dość leciwe. Poza tym, ładne boisko piłkarskie, kort. Całość terenu ogrodzona bardzo porządnie tudzież okablowana z nową radiostacją.

Jest: Cudowny akwen szkoleniowy, całodobowa parada wszelkiej maści i wielkości statków, sunących z i do Szczecina, dobre miejsce na „ostatni szlif” jachtów przed rejsem i na spokojną noc po powrocie z morza.

Nie ma: pełnej kanalizacji z oczyszczalnią, żadnego zaplecza remontu jachtów, klubu-kawiarni, porządnego miejsca zakwaterowania adekwatnego do naszych warunków klimatycznych, mało sal wykładowych.

Są i nie ma: Jachty szkoleniowe. Trzebież stała się miejscem jednego z ostatnich azylów w Polsce, licznych dawniej szalup „DZ”. Może nawet skansenem. Do tłuczenia jest zbiór drewnianych pięćdziesiątek. Istna historia budownictwa polskich jachtów! Pierwsze szczecińskie „Conrady”, „Vegi”, wreszcie trochę nowości — 6 plastikowych „Nefrytów”, i nowoczesności — nowe „Cartery” i „Sabriny”, choć do „tłuczenia”, wydają się zbyt filigranowe. Duże jachty morskie stanowią też mozaikę:

● Jury X Festiwalu Polskiego Malarstwa Współczesnego, obradujące pod kierunkiem prof. Tadeusza Dominika z Akademii Sztuk Plastycznych w Warszawie, dokonało podziału festiwalowych nagród. Grand Prix Ministra Kultury i Sztuki PRL przyznano Jerzemu Zabłockiemu z Gdańska za prace „Pejzaż wyobraźni”. Nagrodę Wojewody Szczecińskiego — Bogdanowi Walknowskiemu ze Szczecina, a Nagrodę Prezydenta Miasta Szczecina — Stanisławowi Kuskowskiemu z Zakopanego.

● Zakończył amerykańskie tournée po największych ośrodkach polonijnych (Chicago, Cleveland, Detroit, Buffalo, Boston, Nowy Jork) zespół Teatru Polskiego ze Szczecina, który rodakom zza oceanu po-

kazął inscenizację „Pana Tadeusza” w reżyserii Janusza Bukowskiego.

● W szczecińskim kinie „Delfin” odbył się przegląd niektórych filmów nakręconych na podstawie utworów literackich zmarłego niedawno Jarosława Iwaszkiewicza. Widzowie obejrżeli m.in. filmy: „Panny z Wilka”, „Kochankowie z Marony”, „Matka Joanna od Aniołów”, „Ubranie prawie nowe”, „Brzezina”.

● Z okazji X-lecia działalności Zarządu Okręgu Polskiego Towarzystwa Neofilologicznego w Szczecinie w Klubie Związku Nauczycielstwa Polskiego „Starówka” odbyła się sesja naukowa. Na program jej złożyły się referaty: „Cele i działalność PTN” — doc. dr hab. Pfeiffera, „Gramatyka

ponad czterdziestoletni „Chrobry” i sterany, też blisko czterdziestolatek — „Zew Morza”.

Trudne w konserwacji i niezbyt wygodne stoczerdziesiątki, dobiegają już dwudziestu lat intensywnej eksploatacji, a kuter (17 m) „Esperanto” z trudem udaje jacht. Są — co prawda — dwie nowe jednostki: „Boliński” i „Haska”, ale czy to są jachty dobre do szkolenia? Są piękne, ale kosztowne.

Jest więc ta flota czy jej nie ma? Jest, ale... pełna braków w wyposażeniu, trudna w utrzymaniu sprawności eksploatacyjnej. A więc jest, ale to, że jest, zdaje się chwilami graniczyć z cudem.

Są: Ludzie, którzy wiele chcą zrobić, i to robią. Ale jest ich niewiele. Zależy zresztą, na jaki program. Zamiatary są duże, więc się improwizuje. Największą trudność sprawia zorganizowanie dobrej kadry szkoleniowej, kapitanów, oficerów i personelu technicznego, odpowiednio kwalifikowanej i sprawdzonej. I w tym miejscu trafiamy na zasadniczą sprzeczność. Mieć dobrą kadrę, to znaczy: stałą kadrę. A kadra ta jest z samych podstawowych założeń niestała. Przecież to żeglarze — amatorzy, wyrwywający swój czas ze szponów rodziny i normalnej pracy zawodowej. I stąd, ciągle się zmienia.

I tak się to toczy. Ze zgrzytem i oporami, i bynajmniej nie jak w zegarku. Utrzymanie Ośrodka kosztuje drogo, a więc i opłaty za uczestnictwo w kursach są drogie, choć tylko w części pokrywają koszty. Droższe już być nie mogą, bo zabrakłoby kandydatów, a szczególnie młodzieży. Istna kwadratura koła...

Sumując, unikalny Ośrodek w Polsce, zdolny potencjalnie do znacznego rozszerzenia swoich usług, jak również do pełnienia bardzo opłacalnych „usług eksportowych”, pracuje na pół pary, nie zadowolając w pełni nikogo. Ani Zarządu Głównego PZŻ, ani jego administratorów — Zarządu Działalności Gospodarczej PZŻ w Szczecinie, ani kadry instruktorskiej, ani wreszcie jego użytkowników. Ośrodek działa też w oderwaniu od miejscowej młodzieży i pracuje sezonowo, w większości, w prowizorycznych warunkach. Wymaga znacznego doinwestowania (... jakie to niepopularne...) i „doetatowa-

KRONIKA morza i ziemi

pedagogiczna a gramatyka naukowa" — doc. dr hab. Tomasz Krzeszowski, „Najnowsza proza literatury NRD" — dr Włodzimierz Białka, „Revolucja naukowo-techniczna" a język" — doc. dr hab. Alberta Bartoszewicza.

● W międzynarodowym kursie „Auto-Europ'80" w Paryżu II nagrodę zdobył szczyński fotografik — amator Ryszard Dąbrowski.

● Podstawowa Organizacja Partyjna przy Oddziale Związku Literatów Polskich w Szczecinie realizując hasło „Sojusz świata pracy z kulturą i sztuką" zorganizowała w Papierni w Skolwinie otwarte zebranie partyjne, na którym głównym tematem był motyw pracy w literaturze pisarzy szczecińskich. Pisarze zwiedzili papiernię, spotkali się z załogą.

nia" (jeszcze bardziej...). Ale też, aby Ośrodek mógł sięgnąć po te etaty i inwestycje, trzeba też rozszerzyć zakres jego działalności i usług, co znowuż bez tych etatów i inwestycji nie wydaje się realne.

Po pierwsze, potrzebna jest baza sprzętu. Bez możliwości zimowania jachtów pod dachem i posiadania pracującego przez cały rok warsztatu, nie jest możliwe utrzymanie gotowości eksploatacyjnej sprzętu. Potrzebny jest magazyn depozytowy z boksami dla każdego jachtu, wreszcie pracownia żaglomistrzowska i urządzenie wyciągowe dla jachtów. Brak takiego zaplecza ogromnie komplikuje pracę Ośrodka i uniemożliwia stworzenie i utrzymanie kadry szkutników.

Po drugie, zaplecze socjalne: Potrzebne są stałe i ogrzewane budynki wraz z pełnym sanitariatem, nie tylko dla kursantów, ale przede wszystkim dla kadry instruktorskiej. Nie czarujmy się, jeżeli chcemy mieć dobrą kadrę instruktorską, to trzeba zapewnić dobre warunki wczasowe — dla ich rodzin. Wiadomo, że zapalony żeglarz, kapitan jachtowy i jeszcze do tego instruktor — to człowiek najmniej trzydziestoletni, na ogół z żoną i małymi dziećmi. Możliwość połączenia pracy instruktorskiej z wczasami rodziny — to podstawa posiadania dobrej, względnie stałej kadry.

Budynki mieszkalne zaś — to konieczność budowy oczyszczalni ścieków. Wszystko to kosztuje i stąd, aby zapewnić dobrą ekonomikę wykorzystania Ośrodka musi pracować nie tylko sezonowo. I taka możliwość istnieje. Jeżeli Trzebież miałaby ogrzewane budynki, to stałaby się idealnym miejscem dla wszelkiego rodzaju skoszarowanych punktów, nie tylko żeglarskich... Jest to miejsce doskonałe na wszelkiego rodzaju obozy kondycyjne sportowców czy kursy zawodowe dla pracowników gospodarki morskiej.

Wreszcie, Ośrodek musi w większym stopniu, służyć Trzebieży i okolicznemu społeczeństwu. I tu można znaleźć doskonałą płaszczyznę współpracy. Jest nią po pierwsze boisko, które obecnie nie ma żadnego zaplecza socjalnego (szatnie, umywalnie). Gdyby takie zbudować... Wydaje się jednak, że najlepszą płaszczyzną integracyj-

nią byłby zespół basenów pływackich — na początek otwartego, a na koniec krytego — czynnych cały rok. A stąd już jeden krok do własnego, lokalnego trzebiejskiego żeglarstwa. Kryty basen w małej Trzebieży? Ależ tak, za dwa lata połączenie Trzebieży kolejką elektryczną z Policami rozszerzyłoby wielokrotnie potencjalną klientelę...

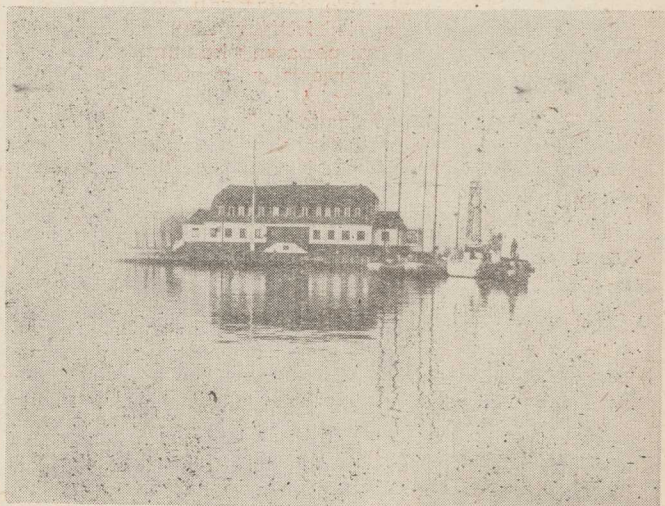
Na koniec, rzecz w Ośrodku bardzo denerwująca — to brak porządnej świetlicy — klubu-kawiarni i czegoś tam jeszcze. To fakt, że poza zarosłym chwastami polemkiem, na którym urządziła się, przemiłe zresztą ogniska — praktycznie miejsca spotkań i imprez w Ośrodku nie ma.

Warsztaty, to jeszcze realność. Pozostałość zaś wygląda na szalone rojenia. Budynki hotelowe o pełnym standardzie, zespół boisk, pływalnia i klub-kawiarnia (prawie dom kultury). Co do tego mają żeglarze?

Otóż można stwierdzić, że jest to pozorny paradoks. Bez tych milionów w zaplecze lądowe, pozornie od żeglarstwa odległe, jedyny i unikalny ogólnopolski ośrodek żeglarstwa morskiego będzie zawsze kulawy i będzie kosztował też miliony, lecz bez możliwości ich zwrotu, i z nieproporcjonalnie mniejszym efektem szkoleniowym. Chyba nie przesadzę, jeżeli stwierdzę, że przy dobrym zapleczu lądowym, ilość kursodni efektywnego szkolenia na istniejącym spręcie można by podwoić, a może i potroić. Szczególnie w pływalniach morskich. Tak zainwestowany ośrodek może zaś zarobić na swoje utrzymanie i to w walucie wymiennej, dzięki szkoleniu żeglarzy zagranicznych. Szkolenie to na zachodzie kosztuje piekielnie drogo i w tej dziedzinie, jak tego dowiodła praktyka, możemy być konkurencyjni przez długie lata, robiąc jeszcze na tym świetny interes. To są już realne, sprawdzone fakty.

Faktem jest też, że tak zainwestowany ośrodek, w warunkach doskonałego dojazdu ze Szczecina, byłby nie tylko wspianą wizytówką polskiego żeglarstwa, ale też mógłby się stać bramą na morze żeglarstwa szczecińskiego. Przecież przy takim programie, znalazłoby się miejsce również dla ekspozytury „Baltony" i sklepu żeglarskiego „Steru" z prawdziwego zdarzenia...

Zaczątki tego nowego już są. Być może, że jak dobrze pójdzie za rok wyrośnie pierwszy hangar na sprzęt. Ale cała reszta wymaga bardzo silnego mecenatu. Może druga, co do wielkości budowa w Polsce — Police? Może coś z funduszy województwa czy miasta Szczecina? Może coś z centralnych funduszy sportowych?



Fot. A. J. Pisz

Z PAMIĘTNIKÓW PIONIERÓW

Zbliżyliśmy się (V batalion Oflagu II C Woldenberg) pod silnym konwojem do Szczecina. Mróz, zamieć, śnieżyca i roztopy... Panoramę miasta ujrzałem 3 lutego 1945 r. maszerując przez Dąbie, Zdroje, potem szosą poznańską do Wstowa. Ramiona Odry, podmianowane mosty, las dźwigów portowych, wieże kościołów, dymiące kominy elektrowni na Pomorzanych, mimo zmęczenia i głodu, wywarły korzystne wrażenie. Nie mogłem jednak poznać bliżej miasta dziecińczych i młodzieńczych marzeń.

Droga moja wiodła na zachód, za Hamburg (Fischbeck)...

Józef Bohatkiewicz, luty 1945 r.

Dowiedzieliśmy się, że Szczecin nie będzie pod administracją polską i Polacy mają opuścić miasto. Z przykrością spakowaliśmy się, i w kilka osób szliśmy pieszo do Stargardu tylko lasami, ponieważ drogi były zajęte przez wojsko. Lasy przedstawiały okropny widok, dosłownie zasiane były trupami żołnierzy. W dodatku było ciepło. Dopiero od Stargardu kursowały pociągi do Poznania. Z wielkim trudem dostałem się na stopnie wagonu i tak dojechałem do Poznania.

Marian Przyborowicz, maj 1945 r.

Przed południem, 5 lipca 1945 r. zostałem zaalarmowany nieoczekiwanym poleceniem postawienia w stan pogotowia Wydziału Oświaty, który rozrósł się w międzyczasie do kilku osób. Prezydent Piotr Zaręba zmobilizował naczelników wydziałów do ponownego oficjalnego przejęcia władzy miejskiej. Zwartą grupą udaliśmy się w towarzystwie przedstawiciela Komitetu Miejskiego PPR do Komendatury Radzieckiej, mieszczącej się w obecnym gmachu Urzędu Miejskiego. W sali bibliotecznego na II piętrze oczekiwali już za długim stołem obrad przedstawiciele „Stettiner Stadtverwaltung” z nadburmistrzem dr. Wiesenerem na czele. Wobec nas zachowywali się, jak gdyby nie dostrzegali naszego wejścia. Chwilę milcząco siedzieliśmy naprzeciw siebie, po czym wkroczył do sali postawny komendant wojenny miasta, świeżo awansowany generał Fiedotow. Stojąc, podał do wiadomości, że rozkazem generalissimusa Józefa Stalina niemiecki Zarząd Miejski przekazuje wszystkie swoje agendy w ręce administracji polskiej. Szczecin jest miastem polskim. Niemcy spuścili głowy w skrajnej rezygnacji. Spekulacje ich oraz działalność propagandowa infiltrujących w skład ich Zarządu Miejskiego czynników faszystowskich załamała się ostatecznie. Dla nas była to chwila szczytnego triumfu, nagroda za cierpienia i upokorzenia doznane od najeźdźcy w długich latach okupacji kraju — nagroda wreszcie za wytrwałość i wiarę w polski Szczecin. Nigdzie przecież w wyzwolonej Polsce nie miał miejsca analogiczny fakt oficjalnego przejęcia władzy nad miastem z rąk okupanta hitlerowskiego.

Bruno Taydel, 5 lipca 1945 r.

Ludzie byli pomęczeni 18-kilometrowym marszem z Kamienia Pomorskiego. Pokładli się w cieniu drzew i odpoczywali. Natomiast ja ze znajomymi wybrałem się poszukać jakiejś nie zajętej wioski. Wyszliśmy ze stacji Wysokiej Kamińskiej i poszliśmy szosą w kierunku Golczewa, ponieważ w tym kierunku było kilka wsi.

Po przybyciu do wsi napotkaliśmy radzieckich żołnierzy — wartowników. Zapytali nas czego my tu szukamy, a po wyjaśnieniu im sprawy kazali nam przejść się po wsi, aby się zorientować jak ona wygląda. Gdy zorientowaliśmy się, że wioska jest dość ładna i nie zasiedlona, wróciliśmy prędko do Wysokiej Kamińskiej, aby przypadkiem ktoś z naszych nie wyjechał. Zdaliśmy im to, co żeśmy widzieli. Zaraz po jednej osobie z każdej rodziny ktoś szedł z nami z powrotem, aby zająć sobie dom i gospodarstwo.

Stanisław Witczak, 10 sierpnia 1945 r.

Tak więc w marcu 1946 r. wyjechałem do Szczecina zaopatrzonego w zaświadczenie ze Sztabu Drugiej Dywizji, że nadaje się do pracy w administracji państwowej i spółdzielczości, jadę z myślą o zatrudnieniu. W pociągu okropny tłok. W korytarzach, na stopniach, wszędzie pełno pasażerów. Co śmielsi wychodzą na dach. Tam jeszcze stosunkowo więcej miejsca. Znalazłem się wśród tych na dachu wagonu. Obecnie wydaje się, że to nie jest prawdą. Wówczas nikt nie zdawał sobie sprawy z tego jak jedzie, ważne było, że się jechało. Mijamy zniszczone wsie i miasta. Czas szybko leci. Towarzystwo dość wesołe. Ktoś z podróżnych dachowych wydobyl półlitrowkę i zaprosił: „Chodź pan, panie żołnierze, wypijemy za nasze zwycięstwo”. Robi się coraz weselej, zaczynają intonować piosenki. Przeważnie wojskowe.

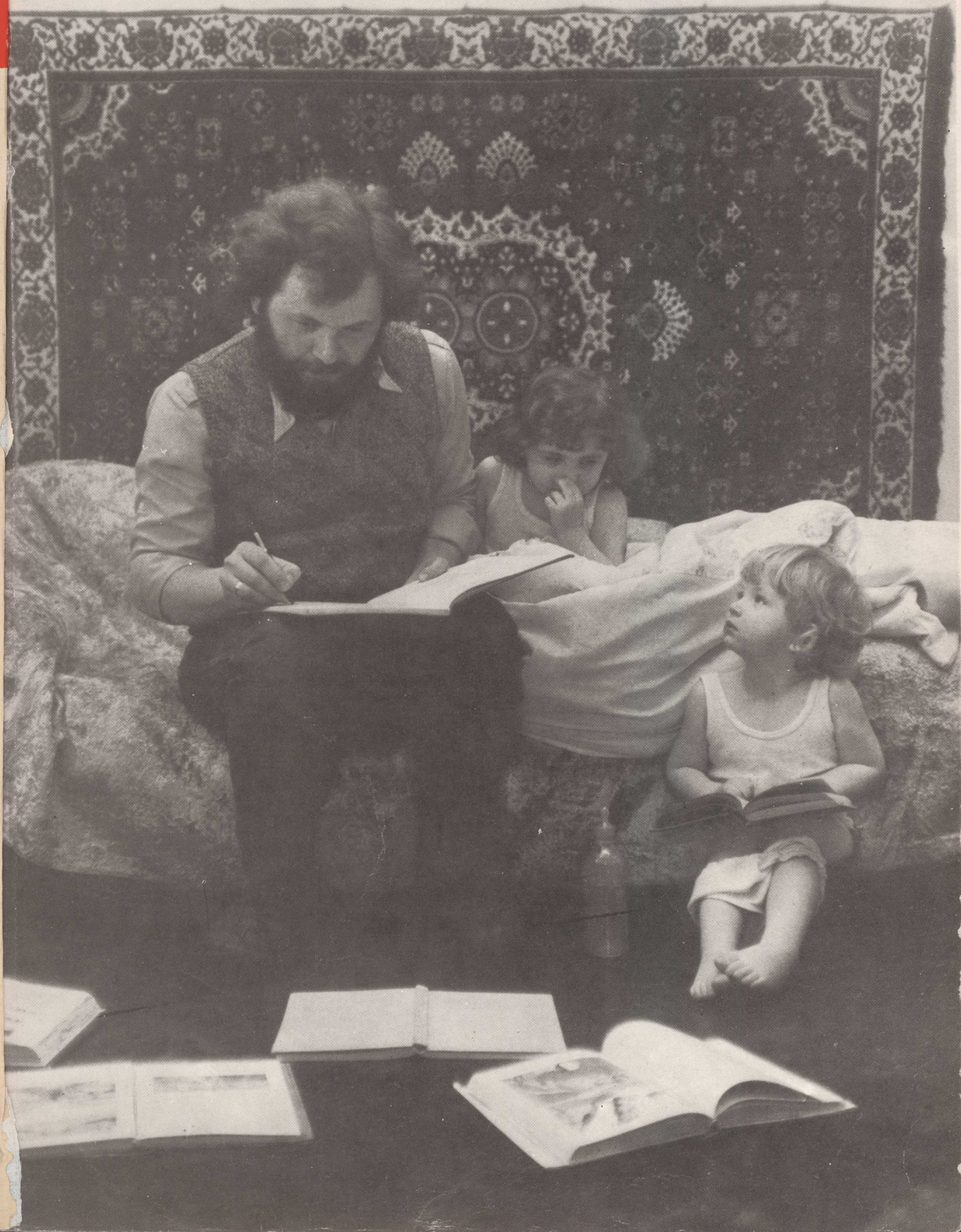
Wjeżdżamy na Ziemię Odzyskane. Wsie i miasta raczej puste. Pola zarosnięte chwastami. Gdzieś widać tylko widać życie. Zbliżyliśmy się do Szczecina. Pociąg zatrzymuje się na stacji Stary Dąb (Obecnie Szczecin-Dąbie). Znaczący geografii mówią, że niedaleko most na Odrze i Szczecin. Podczas przejazdu pociągu przez most na Odrze zmienia się nastrój. Pociąg ledwie się porusza, most trzaska. Na niektórych twarzach widać lęk. Nareszcie oddech ulgi. Już przejechał drugi most. Zbliżyliśmy się do Szczecina.

Henryk Romanowski, marzec 1946 r.

Z uwagi na wkład żołnierzy polskich w dzieło wyzwolenia naszej Ojczyzny, wnoszę o:

- przemianowanie miejscowości Finkenwalde na m. Trauguttowo n/Odrą.
- pozwolenie przemianowania nazw niemieckich ulic i nadanie im nazw polskich związanych z tradycją oręża polskiego zgodnie z punktem 3 poniżej,
- spowodowanie, aby w m. Trauguttowo n/Odrą osiedlano przede wszystkim osadników wojskowych — a jeżeli można — w pierwszym rzędzie uczestników walk o Szczecin i żołnierzy Dywizji im. Romualda Traugutta.

Wojciech Stanisławski



CENA ZŁ 20,—